

Linda Howard

Wzgórze  
spełnionych  
nadziei

Misja

## PROLOG

Najlepszy ze wszystkich okazał się jak zwykle Joe - Joe Mackenzie. I dlatego też mógł jako pierwszy dokonać wyboru, na który już od dawna czekali wszyscy młodzi kadeci. Rzecz jasna zdecydował się na myśliwce. Każdy z nich marzył o tym po nocach i wierzył, że kiedyś będzie mu dane opanować te szalone maszyny. Latając na myśliwcach, najszybciej można było zrobić karierę w siłach powietrznych i awansować. Jednak wszyscy, którzy znali Joego, wiedzieli, że nie o karierę mu chodzi, ale o same maszyny, o ich niemal nieskończone możliwości.

Jak na pilota myśliwca był, niestety, za wysoki, mierzył bowiem równe dwa metry. W związku z tym niecodziennym wzrostem jego przełożeni mieli niejaki wątpliwości, gdyż kabina pilota w myśliwcu nie należy do najobszerniejszych i generalnie lepiej radzą sobie w niej mężczyźni drobnej budowy ciała. Postanowiono jednak dać mu szansę z uwagi na celujące wyniki i nienaganną postawę. Był najlepszy i jeszcze zanim wszedł do myśliwca, stał się legendą, przynajmniej na miarę Akademii Wojskowej w Kolorado Springs. Takiego talentu nie spotyka się codziennie i takiego zapału również. A do tego wykazywał nadzwyczajną wprost wydolność organizmu, zarówno psychiczną, jak i fizyczną, no i, o czym nie wolno zapominać, miał wprost fenomenalny refleks. Podziwiano go do tego stopnia, że nie mówiono o nim inaczej, jak władca przestworzy czy stalowy orzeł.

Już jako młody kapitan uczestniczył w konflikcie zbrojnym w Zatoce Perskiej i w ciągu jednego dnia strącił aż trzy samoloty przeciwnika. Te dokonania zaowocowały bardzo szybkim awansem do stopnia majora. I w ten sposób Mix, bo tak brzmiał jego kryptonim, znalazł się na najlepszej drodze do zdobycia szlifów generalskich. Podczas kolejnego starcia w Zatoce Perskiej stał się chlubą całej armii. Jego osiągnięcia

przeszły wszelkie oczekiwania. I w ten sposób on - Mix - pół-Indianin z małej miejsciny Ruth w stanie Wyoming, w wieku trzydziestu dwóch lat otrzymał awans na pułkownika. Nadspodziewanie szybko wspinał się po szczeblach kariery, mimo że nigdy nie było to jego ambicją.

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

To była najpiękniejsza maszyna, jaką kiedykolwiek widział: szybka, lśniąca i... śmiertelnie niebezpieczna. Na jej widok serce Joego przyspieszało swój rytm.

Pułkownik Mackenzie wyciągnął rękę i z fascynacją dotknął chłodnego, stalowego skrzydła, jak gdyby dotykał ramienia ukochanej kobiety. Nie mógł wyjść z zachwytu. Cóż za wspaniałe, nowatorskie rozwiązanie, pomyślał, co za linia i co za wytrzymałość; to prawdziwa rewolucja w lotnictwie. Miał wrażenie, że nie czuje pod palcami chłodu stali, lecz prężny, tętniący życiem organizm. Zresztą, niezależnie od wszystkiego, każda z tych maszyn stanowiła dla niego swoiste wyzwanie.

Tym razem jednak czekała go szczególna misja. Miał przetestować, pięć prototypów myśliwców o niezwykłych

właściwościach. Nie chodziło już nawet o ich konstrukcję czy moc, ale głównie o nowy system naprowadzania pocisków. Wiedział, że te maszyny są najnowszym osiągnięciem techniki i jako szef całego programu był gotów zrobić wszystko, by trafiły do seryjnej produkcji. Co prawda ostatecznie wszystko zależało od Kongresu, ale generał Ramey był przekonany, że Kongres nie będzie miał zastrzeżeń.

Mackenziemu towarzyszyło więc przekonanie, że uczestniczy w tworzeniu historii. Te samoloty były bowiem naprawdę niezwykle. Specjalne, najnowszej generacji czujniki pozwalały bez trudu wykryć każdego rodzaju przeszkodę, podając natychmiast jej rozmiary i właściwości, a także najlepszą metodę unieszkodliwienia jej, z możliwością zastosowania śmiertelnie skutecznego strumienia laserowego włącznie. Konstrukcja tej maszyny była tak skomplikowana, że tylko najlepsi z najlepszych mogli zasiąść za jej sterem. A całe przedsięwzięcie strzeżone było nieprzepuszczalnym pancierzem tajemnicy państwowej i nikt niepowołany nie mógł się nawet zbliżyć do hal, w których znajdowały się te niezwykle maszyny.

- Wszystko w porządku, sir?

Joe odwrócił się i ujrzał sierżanta Dennisa Whiteside'a, zwanego przez kolegów Whiteyem, który poza tym, że charakteryzował się poczochraną, marchewkową czupryną i morzem piegów, był wprost niezrównanym mechanikiem. Jeśli chodzi o samoloty myśliwskie, właściwie nikt nie mógł z nim konkurować.

- Jak najbardziej - odparł Joe. - Chciałem tylko raz jeszcze zerknąć na to cacko.

- To moja ulubiona maskotka - mruknął Whitey, który niezbyt lubił, gdy ktoś inny się do niej zbliżał. Traktował te maszyny jak własne dzieci. W pewnym momencie dostrzegł na skrzydle ślady palców Joego. Wyciągnął z kieszeni chustkę i nieco ostentacyjnie wziął się za polerowanie. - Pan ją jutro

zabiera, pułkowniku, prawda? - Na jego twarzy malował się niepokój.

- Zgadza się...

- No cóż, pan to przynajmniej dobrze się nią zaopiekuje, można panu zaufać. Nie tak jak inni...

- Co masz na myśli, Whitey? Jeżeli zauważysz tylko, że któryś z chłopaków źle obchodzi się z którąkolwiek maszyną, daj mi natychmiast znać, rozumiesz? - powiedział zaniepokojony.

- Nie to, że źle się obchodzą, ale nie mają do nich tyle serca, co pan.

- Pamiętaj jednak, co powiedziałem. To bardzo ważne - dodał ostro.

- Tak jest, sir - zsalutował sierżant.

Joe poklepał go po ramieniu i oddalił się w kierunku swojej kwatery. Whitey odprowadził go wzrokiem. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Mackenzie rozszarpałby na strzępy każdego, kto postępowałby z którąś z tych maszyn nierozważnie. Ponad wszystko cenił życie i bezpieczeństwo swoich ludzi, ale wymagał od nich całkowitego oddania, a utrzymanie samolotów w nienagannym stanie było dla niego najwyższym priorytetem. Każdy, komu dane było uczestniczyć w tym specjalnym programie wiedział, iż oczekuje się od niego, że da z siebie wszystko. Najmniejszy bowiem błąd mógł spowodować niepowetowane straty.

Joe dostrzegł, że mimo późnej pory w jednym z biur pali się światło. Oczywiście nie zabraniał nikomu pracy wieczorem, ale z drugiej strony, rano wszyscy musieli być nie tylko wyspani i przytomni, ale w najwyższej gotowości. Wiedział, że przy projekcie Nocny Jastrząb pracowało kilku szaleńców, którzy najchętniej w ogóle nie opuszczaliby swojego stanowiska. Był to zespół kilku cywilnych pracowników, zapaleńców i praco-holików, którzy otrzymali niezwykle odpowiedzialne zadanie. Zajmowali się bowiem laserowym

systemem naprowadzania pocisków, a więc tym, co w maszynach najnowszej generacji było najcenniejsze.

Bezszelestnie, jak przystało na Indianina, wszedł do środka. Zresztą i tak nikt nie usłyszałby jego kroków, gdyż niemożliwy upał dawał się wszystkim we znaki, a w związku z tym klimatyzacja pracowała na najwyższych obrotach. Pomimo to wewnątrz było gorąco jak w piekle.

Dziś spodziewano się nowego pracownika, inżyniera, który miał zastąpić kolegę będącego na urlopie zdrowotnym. Joe wiedział, że miała to być kobieta, niejaka Caroline Evans. Słyszał już, że nazywano ją królową piękności, lecz miał wrażenie, że przez te słowa przezierała raczej uszczypliwość niż chęć admiracji. Chciał więc przekonać się na własne oczy, kto to jest i upewnić się, że nie chodzi tu o kogoś, kto mógłby wywoływać konflikty, bo na to w żadnym wypadku nie mogli sobie pozwolić. Postanowił więc jak najszybciej poznać pannę Evans, przyrzeć się jej i wy badać sytuację.

Zatrzymał się przez chwilę przed uchylonymi drzwiami i nasłuchiwał. Gdy jego wzrok padł w końcu na Caroline, poczuł wyraźny skok adrenaliny, a krew zaczęła szybciej krążyć w jego żyłach. Siedziała w fotelu, mocno odchylona do tyłu, a jej bosa stopy spoczywały na biurku. Spódnica przykrywała uda zaledwie do połowy.

Nieźle nogi, pomyślał i przełknął nerwowo ślinę. Była pochłonięta pracą i nie spostrzegła, że stoi oparty o framugę drzwi i przygląda jej się badawczo. Pisała coś na laptopie, który znajdował się na jej kolanach, raz po raz zaglądając do książki leżącej na biurku.

Joe, jak nigdy dotąd, pozwolił sobie na chwilę słabości, na moment zadumy. Jasne włosy Caroline były gładko ściągnięte do tyłu. Nie widział całej twarzy, ale dostrzegł wydatnie zarysowane kości policzkowe i pełne, ponętne usta. Zapragnął, by na niego spojrzała, chciał zobaczyć jej oczy i usłyszeć jej głos.

- Chyba pora na dzisiaj już skończyć?- - odezwał się, by przyciągnąć jej wzrok.

Poderwała się z miejsca, potrącając przy tym stojący na biurku kubek z herbatą i omal nie wypuściła z rąk komputera. Stała tak z szeroko otwartymi oczami, z dłonią przyciśniętą do piersi, jakby próbowała uciszyć oszalałe serce.

- O mój Boże - wymamrotała nieco gniewnym głosem. - Mix... - dodała po chwili już nieco sarkastycznie. - Przestraszył mnie pan.

- Pułkownik Joe Mackenzie. Do usług.

- Proszę, proszę, pułkownik Mackenzie... geniusz z Akademii Wojskowej w Kolorado Springs. Wiele słyszałam o panu. Nieźle, nieźle, szybko pan awansował, biorąc pod uwagę pański wiek.

- Jestem dobry w tym, co robię - odparł, pomijając tę niezbyt miłą nutę sarkazmu.

- A zatem zasłużony awans... - uśmiechnęła się pod nosem.

Reakcja Caroline wydała mu się dziwna. Był przyzwyczajony raczej do tego, że kobiety traciły pewność siebie w jego obecności i to on kreował sytuację. Ona zaś nawet na chwilę nie spuszczała z niego wzroku i nawet w najmniejszym stopniu nie wyglądała na zażenowaną. Rozmawiała z nim jak równy z równym. Podszedł bliżej i wyciągnął do niej rękę. To nic, że to niezbyt stosowne. Chciał poczuć dotyk jej skóry.

- Jestem szefem tego projektu. Bez ociągania podała mu rękę.

- Caroline Evans, zastępstwo za Boyce'a Waltona. Uścisk jej dłoni był mocny, odważny, mimo że należała do drobnych kobiet i była niewielkiego wzrostu. Spojrzał w jej oczy. Były koloru morza i kryły się pod osłoną ciemnych długich rzęs. Brwi miała także ciemne, doszedł więc do wniosku, że nie może być naturalną blondynką.

- Dlaczego pracuje pani o tak późnej porze i to już pierwszego dnia? Czy jest może coś, o czym powinienem wiedzieć?

- Nie sędzę - odpowiedziała zdawkowo, schylając się jednocześnie po rozrzucone wokół biurka wydruki z komputera. - Chciałam po prostu przejrzeć dokumentację i trochę się wdroyć...

- Ale dlaczego o tej porze?

- Bo już pierwszego dnia pracy lubię mieć pewność, że wiem, o co chodzi. Chciałam sprawdzić pewne informacje i upewnić się, że wszystko jest w porządku. Nawet gdy wychodzę z domu, dwa razy sprawdzam, czy wyłączyłam żelazko.

- A zatem wszystko w porządku?

- Już powiedziałam, że tak.

- W takim razie może pani już iść do domu - powiedział, obserwując, jak Caroline ściera z biurka resztki rozlanej herbaty. Nawet podczas wykonywania tak codziennej czynności wydała mu się cholernie seksy. Wrzuciła mokre papierowe ręczniki do kosza i wsunęła stopy w pantofle.

- Miło było pana poznać, pułkowniku - bąknęła, nawet na niego nie patrząc. - Do zobaczenia jutro.

- Odprowadzę panią do pani kwatery.

- Nie ma potrzeby, dziękuję.

Poczuł, że ta natychmiastowa odmowa trochę go poirytowała.

- Jest już bardzo późno, nie powinna pani chodzić sama po nocy.

- Doceniam pańską troskę, ale sędzę, że to zupełnie zbędne i może przysporzyć mi więcej kłopotów niż pożytku. Niech no tylko ktoś zauważy nas o tej porze razem, a już jutro cała baza będzie huczała od plotek. A to na pewno nie jest mi potrzebne do szczęścia.



- Proszę się nie obawiać, tutaj ludzie wiedzą, że osoby skierowane do tej bazy muszą mieć przede wszystkim znakomity umysł, nawet jeśli wyglądają tak jak pani.

- A niby jak ja wyglądam - zapytała, hamując złość.

- Zniewalająco - odparł bez wahania, a jego oczy zaślniły.

Postąpiła krok do tyłu i zatrzepotała rzęsami.

- No, chyba mi pani nie powie, że nie zdaje sobie sprawy z tego, że jest pani niezwykle atrakcyjną kobietą...

- Pan też prezentuje się całkiem nieźle, ale jak widać, nie zaszkodziło to pańskiej karierze.

- Nic podobnego nie miałem na myśli, nie jestem szowinistą. Ale pani wygląd - tu pułkownik rzucił jej jeszcze jedno testujące spojrzenie - zapiera dech w piersi i stąd mogą wynikać pewne nieporozumienia.

- Och! Proszę tak nie mówić - wyrwało się jej. Zagryzła dolną wargę. - Lepiej będzie zakończyć na dziś tę dyskusję.

- Ma pani rację, ale jeśli tylko miałyby pani jakieś problemy, proszę przyjść z tym do mnie, zgoda? - zapytał, jednocześnie kładąc dłoń na jej ramieniu. Skóra Caroline była gładka jak aksamit.

Spojrzała ze zdziwieniem na jego rękę i pokiwała nieznacznie głową.

- Nie żartuję - powiedział spokojnie i powoli wycofał dłoń. - Idę w tym samym kierunku co pani, może więc jednak pozwoli pani, że będę jej towarzyszył.

Widząc wątpliwości malujące się na jej twarzy, dodał po chwili:

- W takim razie będę szedł w niewielkiej odległości za panią. To moja ostateczna propozycja. Nie do odrzucenia.

Caroline zatrzasnęła za sobą drzwi swego spartańskiego lokum i odetchnęła z ulgą. Czowała się tak, jakby udało jej się ująć z życiem przed stadem dzikich zwierząt. Dowództwo sił powietrznych Stanów Zjednoczonych nie powinno pozwolić chodzić temu mężczyźnie na wolności. Powinien być

zamknięty gdzieś w podziemiach Pentagonu, a jego plakaty powinny wisieć na każdym rogu, ku przestrodze wszystkich Amerykanek. Nie wiedziała, co to było, czy to jego głębokie ciemnoniebieskie oczy, czy oliwkowe muskularne ciało, czy może ten niski aksamitny głos... Zawsze umiała trzymać mężczyzn na dystans, więc co, do diabła, miało to wszystko znaczyć? Jedno spojrzenie pułkownika Mackenziego, jedna miła uwaga, i co? - szydziła z samej siebie - i zdrowy rozsądek przestał istnieć?

A może dzieje się tak, gdy zdobywa się tytuły i stopnie naukowe dla rodziców, którzy spostrzegli wysoką inteligencję swego dziecka, czują się w obowiązku zapewnić mu jak najlepsze wykształcenie i blokują jego emocje? Odkąd sięga pamięcią, zawsze była najlepsza w klasie. Do matury nie umówiła się nigdy z żadnym chłopakiem, a na studiach też nie było lepiej. Była za dobra, za inteligentna i za młoda, bo jako genialne dziecko dostała się na studia w wieku lat szesnastu. Nie wzbudzała więc większego zainteresowania wśród swoich kolegów, zwłaszcza że dodatkowo pachniało to prokuratorem. Wyizolowana i samotna poświęciła się całkowicie studiom i już po dwóch latach obroniła pracę magisterską. Nigdy nie należała do żadnej paczki i nie nauczyła się, jak ma radzić sobie z facetami, którzy jawili się jej niczym ośmiornice o tysiącu macek. Całkowita blokada i dystans, to było to, co dawało jej poczucie bezpieczeństwa. Pod tym względem czuła się niewątpliwie przegrana, ale w zamian za to w wieku lat dwudziestu ośmiu miała już doktorat z fizyki i była niezrównaną specjalistką w systemach naprowadzania na cel. Ale mimo to nadal pozostała tą samą idiotką, jeśli chodzi o mężczyzn, i każda uwaga na temat jej atrakcyjności doprowadzała ją na skraj paniki. Wydawała się sobie żałosna. Wyczuwała, że pułkownik Mackenzie nie należy do ludzi, którzy obawiają się przeszkód. W tym więc względzie nie miała na co liczyć. Wręcz przeciwnie, miała wrażenie, że im

większa przeszkoda, tym dla niego większe wyzwanie i tym większa satysfakcja po jej pokonaniu. Może zatem powinna zmienić taktykę i zachowywać się jak słodka idiotka, a nie stawiać wokół siebie murów? Wiedziała jednak, że nie potrafi, że nie pokona samej siebie. Pozostała jej więc wyłącznie walka wręcz, otwarte pole bitwy.

Ależ go ta kobieta zakręciła! Joe sam nie mógł w to uwierzyć. On, zwykle taki opanowany i zrównoważony... Poczul się odrobinę lepiej dopiero wtedy, gdy chłodny strumień wody zaczął obmywać jego rozgrzane ciało. Pustynia w lipcu była naprawdę prawdziwym piekłem, ale czuł, że jedynie tu, w Nellis, w stanie Nevada, pośrodku nieprzebranych tumanów piasku, jego latające diabły były w pełni bezpieczne. A to było bez wątpienia najważniejsze i nie liczyły się żadne niewygody. Cały projekt objęto zresztą tak ścisłą tajemnicą, że nawet nie wszyscy piloci mieszkający w bazie zdawali sobie sprawę, co kryją niektóre hangary. Zwłaszcza że na pierwszy rzut oka nowe modele maszyn zewnętrznie prawie nie różniły się od poprzednich.

Zdał sobie sprawę, że jego myśli, odkąd zobaczył Caroline Evans, coraz częściej wymykają mu się spod kontroli. Teraz też stał pod prysznicem i rozpamiętywał dzisiejszą rozmowę z tą zadziorną, ale jakże pociągającą kobietą. Trzeba będzie jakoś poskromić tę złośnicę, pomyślał. Mimo mocnego strumienia zimnej wody, jego ciało nadal było spięte i gorące. Nagi stanął naprzeciw klimatyzatora, pozwalając, aby zimny powiew powietrza osuszył jego wilgotną skórę. Wciąż nie wkładając na siebie ubrania, poszedł do kuchni, by przygotować sobie coś do zjedzenia. Lubił i doceniał te krótkie chwile relaksu, podczas których mógł wspominać dziecięce lata i Księżycowe Ranczo, na którym się wychował. Zresztą gdy tylko mógł sobie na to pozwolić, wracał tam, by

rozkoszować się przestrzenią i ujeżdżać najbardziej narowiste konie.

Także w kokpicie samolotu czuł się wolny i szczęśliwy, mimo że wtłoczony był w szczelny kombinezon i masywny hełm. Ale ku jego niezadowoleniu, im wyżej wspinał się po szczeblach kariery, tym rzadziej latał. Robota papierkowa i sprawy organizacyjne pochłaniały mu coraz więcej czasu. Tylko dlatego zgodził się pilotować ten projekt, że zagwarantowano mu, że to on będzie testował nowe maszyny. Wiedział, że przełożeni chcą go zatrudnić przy tym projekcie, bo uważają go za swego najlepszego pilota. A on nigdy nie siłił się na fałszywą skromność, jeśli chodziło o własne umiejętności. Miał poza tym ten cudowny dar od Boga, dzięki któremu jeszcze do dziś, mimo swoich trzydziestu pięciu lat, mógł zakasować każdego niemal przeciwnika - niezawodny refleks. Zdawał sobie sprawę, że to atut, który szczególnie w wojsku odgrywał olbrzymie, żeby nie powiedzieć wręcz kluczowe znaczenie. Trudno mu było w ogóle sobie wyobrazić, że mógłby kiedykolwiek zmienić zawód. Lubił wojsko. A poza tym, gdyby nie ono, z pewnością nie spotkałby tej kobiety, która od wczorajszego wieczoru zawładnęła jego myślami. Te jej przepastne niebieskie oczy... Na samo wspomnienie jego ciałem wstrząsnął silny dreszcz, a jego serce zaczęło bić jak oszalałe, gdy tylko spróbował wyobrazić sobie, jak by to było, gdyby Caroline znalazła się w jego ramionach i gdyby poczuł pod palcami jej jedwabistą skórę...

## ROZDZIAŁ DRUGI

Jak co dzień rano Caroline stała bezradnie przed szafą i od dłuższego czasu usiłowała skompletować strój. Nie rozumiała, dlaczego większość sławnych kreatorów mody to mężczyźni. Cóż oni mogli wiedzieć o potrzebach kobiet, co im odpowiada, a co nie i w czym czują się swobodniej Sarkając pod nosem, w końcu wybrała białą bawełnianą spódnicę i lekką bluzkę, którą ściągnęła szerokim pasem w talii. Do tego włożyła białe pantofle na płaskim obcasie. Zadowolona przypatrywała się swemu odbiciu w lustrze. Co było w tym Mackenziem, że wystarczyła jedna jego uwaga, jedno spojrzenie, by tak namieszać jej w głowie? To fakt, że takie oczy nie zdarzały się zbyt często: przesywające jak sztylety błyszczące szafiry na tle lśniącej oliwkowej twarzy. Kiedy na nią patrzył, miała wrażenie, że przenika ją na wylot, że wie o niej absolutnie wszystko.

Wysunęła głowę przez drzwi i rozejrzała się dokoła, by upewnić się, że nikogo nie ma na horyzoncie, i że spokojnie może wyjść z domu. Machinalnie dotknęła kieszeni, chcąc sprawdzić, czy są tam klucze. Sama nie wiedziała dlaczego, ale uwielbiała kieszenie. Za to z całego serca nienawidziła torebek. Od dziecka wszystko zawsze wpychała do kieszeni.

W pracy, chyba już od zawsze, była jako pierwsza, a i ten poranek nie stanowił wyjątku. Napawała się bladym mglistym

świtem i ciszą, i spokojem, które o tej porze otaczały bazę. Jako że znajdowała się na pustyni, wydało jej się to szczególnie ekscytujące. Niebo było tu nieskończenie czyste, a powietrze niewyobrażalnie przejrzyste i dość długo utrzymywał się chłód po nocy.

W biurze przygotowała sobie kubek mocnej kawy, zagrzała w mikrofalówce croissanta i zasiadła za swoim biurkiem. Po chwili zapomniała już o Bożym świecie, po uszy zakopała się w raportach, dotyczących wyników z testowania najnowszych systemów naprowadzających.

Dopiero po pewnym czasie w biurze pojawił się Cal Gilchrist.

- O, już jesteś? - spojrzał na nią zdziwiony. - Nie widziałem cię na śniadaniu.

- Zjadłam tutaj. - Odłożyła na bok papiery i spojrzała na niego.

Cal był bodaj najsympatyczniejszym facetem z całej tej ekipy, przyjacielski i pełen humoru. Zdążyła się zorientować, że prowadzi bardzo intensywne życie towarzyskie. Poznała go już jakiś czas temu, ale po raz pierwszy pracowali razem. Zresztą, jak się okazało, dla różnych firm.

- Pierwszy test jest dziś o ósmej - powiedział, popijając kawę. - Tak więc, gdy tylko pojawią się inni, pójdziemy do kontroli lotów, żeby przysłuchiwać się wszystkiemu na żywo. No wiesz, chodzi o opinię pilotów i tak dalej. Pułkownik Mackenzie też jest dzisiaj na liście lotów. Mamy spotkać się z nim zaraz po zakończeniu testów, to ci go przedstawię.

- Poznaliśmy się już wczoraj. Zajrzał do biura, zanim poszłam do domu.

- I co o nim myślisz? - Zdawał się być rzeczywiście zainteresowany jej opinią.

Na moment zamyśliła się, starając się dobrać odpowiednie słowa.

- W sumie trochę zatrwająco...

Cał roześmiał się głośno.

- Coś w tym jest. Nawet piloci myśliwców, którzy znani są z tego, że nie mają respektu przed nikim i niczym, jemu okazują wyjątkowy szacunek. Mówią, że to najlepszy pilot sił powietrznych Stanów Zjednoczonych. To mówi samo za siebie, bo przecież żaden z nich nie ma się za byle jakiego pilota.

Do biura weszły kolejne dwie osoby: Yates Korleski, niski, nieco otyły, łysiejący facet, który był szefem całej grupy, i Adrian Pendley, wysoki przystojny rozwodnik, będący żdźbłem w oku Caroline. To on właśnie raczej niezbyt chętnie widział ją w grupie. Pamiętał bowiem, jak dała mu kosza, gdy po raz pierwszy pracowali ze sobą. A tego bardzo nie lubił. Caroline wiedziała jednak, że jest doskonałym specjalistą i postanowiła ignorować jego przycinki i zaczepki. Przeszedł bez słowa obok jej biurka i nalał sobie kawę do kubka.

- I co, rozpakowałaś się już? - zapytał ją Yates.

- Tak i miałam przyjemność wczoraj wieczorem poznać szefa programu.

Yates uśmiechnął się pod nosem. - I co o nim myślisz?

- Cał śmiał się ze mnie, gdy mu powiedziałam, że pułkownik Mackenzie wydaje mi się trochę zatrwająmy.

- Jeśli nie popełnisz błędu, nie dowiesz się, jak bardzo.

- A więc wszelkie błędy są wykluczone?

- Zdecydowanie tak. Nie toleruje ich, ale nie martw się na zapas, nie warto. No dobra, kochani, chodźmy już do kontroli lotu.

Po drodze minęli wiele bramek identyfikujących ich tożsamość, by wreszcie znaleźć się w obszernym nowoczesnym pomieszczeniu z urządzeniami monitorującymi loty. W projekcie Nocny Jastrząb wszystko było nowatorskie, by nie powiedzieć rewolucyjne, zasadniczo różniło się od dotychczasowych programów. Projekt obsługiwany był przez wiele różnych firm, ale pomimo to jakaś nadzwyczajna ręka

czuwała nad całością, tak że wszystko zawsze było zgrane do najmniejszego szczegółu.

Czekała już na nich grupa pilotów i kiedy Caroline weszła do środka, na jej widok rozległ się głośny gwizd. Jeden z pilotów chwycił się za serce i z okrzykiem na ustach: - Boże, zakochałem się na śmierć i życie! - zachwiał się i omal nie przewrócił!.

- Proszę na niego nie zwracać uwagi. Zdarza mu się to kilka razy na tydzień - odezwał się młody pilot, stojący obok tego zakochanego.

- Niech mu pani nie wierzy, to nieprawda! - zawołał nieszczęśnik. -Więc co, śliczna, weźmiemy ślub i zamieszkamy w maleńkim białym domku, otoczonym różami?

- Mam alergię na róże - skwitowała beznamyślnie jego słowa.

- I na mężczyzn chyba też - usłyszała za sobą jadowite syknięcie Adriana.

Postanowiła je jednak zlekceważyć.

- Zapomnijmy zatem o różach, najdroższa!

Spojrzała na identyfikator tego żartownisia. Był to major Austin Deale.

- Jestem potulny jak baranek i zgodzę się dosłownie na wszystko - kontynuował rozemocjonowany- pani życie będzie usłane...

- Byle nie różami - skończyła za niego Caroline.

W tym momencie rozległ się głos podpułkownika Erica Picolo i w jednej chwili wszyscy umilkli.

- Witam wszystkich. Dziś w powietrzu będziemy mieli cztery samoloty - informował podpułkownik - dwie maszyny uczestniczące w projekcie Nocny Jastrząb i dwie F-22. Te ostatnie są jedynymi obecnie w produkcji i mogącymi stanowić dla nas wykładnię do porównań z najnowszymi modelami. Mamy zamiar zrobić dziś coś na kształt stymulacji bojowej z wykorzystaniem systemów naprowadzających.



Na olbrzymim monitorze pojawił się obraz i Caroline oniemiała z wrażenia. Zobaczyła bowiem przed sobą pułkownika Mackenziego usadowionego za sterem i usłyszała jego głos.

- Zaczynamy. Dwadzieścia stopni alfa, trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt...

- Co oni robią?- - odezwał się ktoś z tyłu. - Przecież żaden samolot nie był do tej pory testowany powyżej siedemdziesięciu stopni?

- Siedemdziesiąt, siedemdziesiąt pięć... - odliczał dalej spokojny głos.

Wszyscy stali jak zahipnotyzowani, nie odrywając wzroku od ekranu.

- Siedemdziesiąt dziewięć, osiemdziesiąt - ciągnął Joe. - Kontrola?

- Czuję się trochę jak gąbka.

- Zaczynam opadanie. I co?

- Sześćdziesiąt pięć.

W grupie ludzi zgromadzonych w pomieszczeniu było słyhać stłumiony szept.

- O rany, skichałbym się chyba przy pięćdziesięciu - usłyszała czyjś głos.

- Ciekawe czy o własnych siłach wydostanie się z kokpitu - zastanawiał się ktoś inny.

- Jestem więcej niż pewien, że mu nawet nie skoczyło tętno. Ten facet ma lód w żyłach - skwitował te komentarze Yates.

- Dajcie spokój, i te wszystkie przeciążenia... Normalny pilot wytrzyma sześć stopni, po intensywnych treningach do dziewięciu, a pułkownik bez mrugnięcia okiem znosi dziesięć. Niesamowity facet - szepnął z podziwem Cal Gilchrist.

- Opadaj, opadaj! - Major Deale otarł pot z czoła.

- Nie przeginaj, stary, opadaj już.

- Zaczynam opadanie - rozległ się spokojny głos. Prawie wszyscy odetchnęli z ulgą.

- Ten skurczybyk to jakiś genetyczny mutant - szepnął któryś z pilotów. - Nikt normalny nie wytrzymałby tego.

Kolejne testy dotyczyły laserowego systemu naprowadzania pocisków. Caroline niemal przywarła nosem do monitora. Czowała, że jest w środku rozedrgana. Zdawała sobie sprawę, jak bardzo niebezpieczne były te manewry.

Przy takim przeciążeniu mógł nie tylko stracić panowanie nad samolotem, ale także przytomność i już nigdy więcej jej nie odzyskać.

W pewnej chwili Adrian wcisnął się przed nią i całkowicie zasłonił jej widoczność. Oczywiście, że zrobił to złośliwie.

- Czy mógłbyś stanąć za mną - starała się być w miarę uprzejma - bo nic nie widzę. Jesteś wyższy ode mnie.

- To dobry pomysł - odezwał się Yates i uśmiechnął się do Caroline, ignorując całkowicie Adriana.

Testy naprowadzania na cel poszły gładko i wszystkie cztery samoloty bezpiecznie wylądowały w hangarach. Natychmiast rozluźniła się też atmosfera w pokoju kontroli.

Caroline przysłuchiwała się z zainteresowaniem rozmowie podpułkownika ze specjalistą od laserów, gdy nagle poczuła, jak czyjeś ramię obejmuje ją w talii. Zesztywniała. Odwróciła głowę i ujrzała uśmiechniętą twarz majora Deale'a. Wszyscy inni stali nieopodal i przyglądali się z wyczekiwaniem.

- Powiedz, moja śliczna, gdzie chciałabyś zjeść dzisiaj kolację?

- Zabierz swoje łapska, Austin - dobiegł ją ostry, niski głos. - Doktor Evans umówiona jest dziś ze mną.

Nie miała wątpliwości, kto wypowiadał te słowa i poczuła, jak jej serce przyspiesza swój rytm.

Jak na komendę, wszyscy odwrócili się i spojrzeli w tym samym kierunku. W drzwiach stał pułkownik Mackenzie, wciąż jeszcze w kombinezonie, z kaskiem pod pachą, a na jego czole widniały kropelki potu. Od przeciążenia miał zaczerwienione oczy.

- No cóż, myślałem, że jestem pierwszy – burknął pod nosem Austin i wycofał swoje ramię.

Mackenzie nie zwracał już na niego uwagi, podszedł do podpułkownika Picoło i zasypał go gradem pytań.

Major Deale rzucił okiem na Caroline, jakby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu.

- Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby zachował się w ten sposób- powiedział z respektem - a znam go już od piętnastu lat.

- Zawsze jest tak apodyktyczny? - zapytała.

- Ma pani na myśli, czy zawsze rozkazuje kobietom, kiedy pójdą z nim na kolację?

- Coś w tym rodzaju.

- Nie, zwykle lgną do niego, jak muchy do lepu. Ale nie wiem czemu, bo moim zdaniem to zwykły nudziarz - dodał trochę urażony.

- Daffy? - Pułkownik spojrzał na majora Deale'a niecierpliwie, a w jego tonie słychać było ostrzeżenie.

- O co chodzi? Wychwalałem cię tu pod niebiosa i jeszcze ci źle...

- Właśnie słyszałem - przerwał mu Joe. - Daj już spokój z tą dziecinadą.

A tak go prosiła, żeby jej tego nie robił. Już czuła, jak przyklejają jej do czoła kartkę z napisem „Kobieta Mackenziego”.

- Daffy? Czy to pochodzi od kaczora z kreskówki? - spytała po chwili majora Deale'a.

- Nie, to od takiego kwiatka - odparł major niezbyt zadowolony.

- No jasne, Daffodil! - wykrzyknęła. - Żonkil, po prostu żonkil - dodała, śmiejąc się głośno.

Major obrzucił Mackenziego mrocznym spojrzeniem.

- To prezent od jednego z kolegów. Niestety, jakoś się przyjęło.

Mackenzie uśmiechnął się pod nosem i zwrócił się do Caroline:

- Czy mogłaby pani przyjść do mego biura za jakieś pół godziny, doktor Evans?

Po jej plecach przebiegł zimny dreszcz i poczuła, że się czerwieni.

- Jeśli pan sobie tego życzy, pułkowniku...

- Owszem, proszę. A zatem za pół godziny.

Wszyscy zaczęli się rozchodzić do swoich zajęć.

Caroline też miała właśnie opuścić to pomieszczenie, gdy nagle usłyszała za sobą jadowite syknięcie:

- Nieźle sobie radzisz, biorąc pod uwagę, że jesteś tu zaledwie od wczoraj.

Odwróciła się. Jasna sprawa, to był Adrian.

- Taki jeden mały numerek z szefem może uczynić cuda - kontynuował. - Nawet jak spieprzysz swoją robotę, będzie ci to wybaczone.

Nie miała zamiaru z niczego się tłumaczyć.

- Nie mam w zwyczaju chrzanić roboty - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. - Jestem dobra w tym co robię, nie zapominaj.

W tym momencie spojrzał w ich stronę Cal. Od razu wiedział, o co chodzi.

- Nie uważacie - zwrócił się do nich - że doskonale wypadły dzisiejsze testy ? Ciekawe, czy z celami ruchomymi pójdzie nam równie dobrze? - ciągnął dalej, nie czekając na odpowiedź.

Adrian odwrócił się i zmył się bez słowa, w odpowiedzi na co Cal gwizdnął przeciągle.

- Coś mi się wydaje, że nie chciałabyś, żeby został szefem twojego fanklubu? Kiedy dowiedział się, że masz u nas pracować, zrobił kilka jadowitych uwag pod twoim adresem. Nie sądziłem jednak, że to otwarta wojna. Powiedz, o co chodził

- Niezgodność charakterów - ucieła krótko, wcale nie mając ochoty na dalszą dyskusję.

- Jeśli w grupie będą jakieś tarcia, nie będziemy mogli rozsądnie współpracować, a wtedy pułkownik zarządzi zmiany w składzie personalnym grupy, rozumiesz? Te testy są dla nich bardzo ważne, muszą wykazać się przed Kongresem. Domyślasz się, że liczą na duże dotacje.

- Spróbuję go ignorować.

- Będę się starał ci pomóc, ale myślę, że powinniście sobie parę rzeczy wyjaśnić. To jedyna skuteczna droga.

Caroline spojrzała na zegarek. Upłynęło już pół godziny. Postanowiła więc, że natychmiast pójdzie do biura pułkownika. Jednak, jak się okazało, jego tam jeszcze nie było. Nie lubiła czekać na facetów. Pułkownik czy nie, pomyślała, ale w końcu mężczyzna. Zdaje się, że będzie musiała mu parę rzeczy wyjaśnić.

Zjawił się po jakichś piętnastu minutach w letnim mundurze. Wszedł nieco rozbawiony, z lekkim, sarkastycznym uśmiechem na ustach, jakby oczekiwał, że za chwilę wybuchnie, wyrzucając z siebie potok słów. Nawet przez moment miała taki zamiar, ale zdała sobie sprawę, że w ten sposób ułatwiłaby mu tylko zdobycie nad sobą przewagi.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział siadając. - Czytałem pani akta, są imponujące. Zawsze pierwsza, zawsze na czele i to w jakim zawrotnym tempie! Jestem pod wrażeniem, pani doktor. Wiem, że jest pani uważana za jednego z najlepszych fizyków w kraju, a nawet na świecie.

Idąc do jego biura, nie miała żadnych konkretnych oczekiwań, ale z całą pewnością nie tego się spodziewała. Przyglądała mu się teraz okrągłymi, zadziwionymi oczami, zupełnie już nie rozumiejąc, po co ją tu wezwał.

- To naprawdę godne podziwu, całe życie poświęciła pani nauce - podsumował wreszcie. - Z pewnością nigdy nie miała pani czasu na życie towarzyskie...

W głowie Caroline zapaliła się lampka ostrzegawcza. Zastanawiała się, do czego zmierza ten człowiek.

- Wygląda na to, że nie miała pani w życiu zbyt wiele do czynienia z mężczyznami, a w związku z tym nie ma pani pojęcia, jak radzić sobie z bandą napalonych młodzików. Major Deale bez trudu wyprowadził panią z równowagi swoimi szczeniackimi uwagami. Słyszałem już także o Adrianie... Stanowimy tu zgrany zespół i mamy do zrealizowania projekt wagi państwowej, masę roboty i niewiele czasu. Musimy ze sobą współdziałać, gdyż cały projekt oparty jest na ścisłej współpracy wielu specjalistów. Nie możemy pozwolić sobie na niesnaski i nieporozumienia. Mężczyźni, którzy tu pracują, to bardzo specyficzni ludzie. Wciąż żyją na krawędzi bezpieczeństwa, są trudni do opanowania i często aroganccy. Mają nieustannie napięte nerwy, a jeśli już się relaksują, to w sposób raczej mało wyszukany, przy pomocy alkoholu, kobiet czy głupich żartów. Może pani spowodować, że będą czuli dla pani respekt, ale nie będą pani lubili, a w takich warunkach naprawdę nie da się efektywnie pracować. Musi pani jakoś nauczyć się z nimi postępować, uodpornić na ich niemądre zaczepki, zdobyć ich sympatię i zaufanie zarazem. Kobiety przecież potrafią takie rzeczy...

- Kupa Neandertalczyków- burknęła Caroline pod nosem.

- Jest też inne wyjście, jeśli nie czuje się pani na siłach podjąć tego wyzwania... - Zawiesił głos i patrzył na nią przez dłuższą chwilę.

Czego on chce ode mnie, zezłościła się Caroline. A może ma zamiar się mnie pozbyć, może jestem dla niego niewygodna?

- Może pani, jeżeli pani woli, utrzymywać ich w przekonaniu... - zawiesił na chwilę głos - że należy pani do mnie...

Zatkało ją, tego się naprawdę nie spodziewała. Nie podobało jej się to, co usłyszała.

- Wówczas nie będą pani niepokoić – kontynuował Joe. - Wręcz przeciwnie, zaskarbi sobie pani ich przyjazne uczucia i przestaną panią nękać.

- Przecież ja chcę tylko spokojnie pracować - oburzyła się. - Dlaczego miałabym się ukrywać za murem jakiegoś nieistniejącego związku To nonsens!

- Żeby uchronić się przed głupimi zagraniami ze strony dzikich, niewyżytych samców. Wystarczy wykazać trochę sprytu i przebiegłości. Nie mogę sobie pozwolić na to, by cokolwiek zakłóciło pracę w zespole. Nie chciałbym musieć z kogoś zrezygnować, bo cenię wszystkich moich pracowników jednakowo. Nikt nie trafia tu z przypadku, proszę mi wierzyć. Gdyby wyniuchali pani brak doświadczenia w wiadomej kwestii, dopiero by się zaczęło...: Tak więc z uwagi na pani spokój i właściwą atmosferę w zespole, może należałoby się zastanowić nad moją propozycją. Jestem tu jedyną osobą, przed którą wszyscy ci chłopcy mają należyty respekt. Wystarczy więc, że będąc w ich towarzystwie, okaże mi pani niejaką łaskawość i nie będzie próbowała zabić mnie wzrokiem, a będzie pani miała święty spokój.

- Ładnie powiedziane - mruknęła pod nosem. Czowała, jak płoną jej policzki. Dlaczego nie wyśmiała go, kiedy mówił o jej braku doświadczenia? Teraz jest już za późno, nie zaprzeczyła, to znaczy, że potwierdziła jego przypuszczenia. Cholera... Zagonił ją w kozi róg. Spojrzała na niego i natychmiast spuściła wzrok. Mimo że zachowywał spokój, jego oczy świdrowały ją na wylot. Poprawiła się na krześle i odchrząknęła.

- W porządku - powiedziała cicho - jeśli pan uważa, że to konieczne, przyjmuję tę niecodzienną propozycję. - Nie czuła się jednak w tej sytuacji zbyt komfortowo i jedyne, o czym teraz marzyła, to, żeby uciec od tego mężczyzny jak najdalej, najlepiej na koniec świata.

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

Gdy Caroline opuściła biuro, pułkownik Mackenzie siedział dłużej chwilę, nie mogąc poruszyć się z miejsca. Jeszcze bardziej zaintrygowała go i olśniła ta kobieta. Po jego twarzy błądził jednak ledwo dostrzegalny uśmiech satysfakcji. Był prawie pewien, co tam, dałby sobie odciąć rękę, że nie była jeszcze z żadnym mężczyzną. Tak, mimo swojej nieprzeciętnej inteligencji, była zagubiona jak dziecko i nie miała bladego pojęcia na temat związków z płcią przeciwną, a zatem także i na temat seksu.

Jeszcze raz sięgnął po jej teczkę personalną. Pełna pochwał, wyróżnień, rekomendacji stanowiła wielce pasjonującą lekturę. Zawierała też sporo szczegółów z życia osobistego, ale żadnych wzmianek na temat związków z mężczyznami.



Kompletnie nic. A może to po prostu inna orientacja seksualna? Przypomnił sobie, jak zareagowała, gdy Daffy objął ją w tali. No cóż, wprowadzenie planu B wydawało się być w tej sytuacji nieuniknione. Była skłonna przystać na jego propozycję, bo praca stanowiła dla niej cel nadrzędny i miał wrażenie, że nic od tego nie jest dla niej ważniejsze. Nawet plotki na ich temat zdawały się nie mieć żadnego znaczenia. Zresztą życie pokaże, o co w tym wszystkim chodzi. W końcu wyglądało na to, że będą spędzać ze sobą sporo czasu. A sama myśl o ewentualnej możliwości uwiedzenia jej wydawała mu się być najśłodszą misją, jaką miał kiedykolwiek do spełnienia. Już sobie wyobrażał, jak cudownie byłoby poskromić tę małą, drapieżną lwicę i obłaskawić na własny użytek. To równie ekscytujące jak latanie, pomyślał ku swemu zaskoczeniu, a krew zaczęła burzyć mu się w żyłach.

Caroline, w obawie, że zakłopotanie wypisane ma na twarzy i co poniektórzy koledzy nie będą się w stanie oprzeć, żeby tego nie skomentować, skręciła do toalety. Zamknęła się w środku w poszukiwaniu choć odrobiny prywatności i spokoju. Była kompletnie roztrzęsiona i miała wrażenie, że za chwilę się rozplacze. Przerazały ją własne reakcje na uwagi tego mężczyzny, czuła się bezradna i zagubiona. Cholerni faceci! - zaklęła w duchu. Była święcie przekonana, że Mackenzie miał z jej powodu swoistą satysfakcję. Poczula ciężkie gorące krople spływające jej po policzkach. Nieczęsto zdarzało jej się płakać, ale słowa tego mężczyzny ubodły ją do żywego. To nieprawda, że tak zupełnie nie radzi sobie z natrętnymi facetami. Z racji swojego zawodu zawsze miała z nimi do czynienia i jakoś się do tej pory udawało. To tylko on działał na nią tak jakoś dziwnie, że czuła się całkiem rozsypana i rozstrojona. Nie potrafiła mu się przeciwstawić i to przede wszystkim doprowadzało ją do pasji. Niech sobie nie wyobraża, że pójdę z nim do łóżka! Wstrętny kobieciarz i do tego zadufany w sobie do granic możliwości, pomyślała

rozzłoszczona. Pewnie żadna mu się dotąd nie oparła i myśli, że wystarczy, iż kiwnie palcem, a ona będzie leżała u jego stóp. Nic z tego, poprzysięgła sobie w duchu. Nie ma mowy! Z tym mocnym postanowieniem wytarła oczy, wydmuchała nos i wyszła ze swojej kryjówki., Chętnie wracała do pracy, która zawsze stanowiła dla niej swoiste wybawienie. Dopiero w pracy czuła, że jest na swoim miejscu.

Weszła do biura. Wiedziała, że może nie najlepiej wygląda, ale jakie to w końcu miało znaczenie?

Adrian jednak był innego zdania. Jego reakcja była natychmiastowa.

- Nie mogłaś zaczekać do weekendu? - syknął, ledwo usiadła.

Yates spojrział zaskoczony w jego kierunku. Wstał i przechodząc koło jego biurka, szepnął:

- Zachowujesz się jak zazdrosny dupek.

- A nie widzisz, co tu się święci? Za wszelką cenę próbuje uwieść pułkownika. I po co? Może chce storpedować ten projekt? Przyszła tu i mać... Przecież widzisz...

- Dość już - powiedział ostro Yates. - Widzę przede wszystkim, że to ty nieustannie prowokujesz. Przypominam, że nie ma tu miejsca na tego typu zachowania. Jeden telefon pułkownika i masz przeniesienie jak w banku.

Caroline siłą rzeczy słyszała tę rozmowę i zdawała sobie sprawę, że jadą na tym samym wozie. Zmroziło ją to.

- Fantastycznie się zaczyna! - syknął Adrian. Był wściekły. - A więc dobrze, będę próbował trzymać się od niej z daleka. Nie warto się w tym babrać - wymamrotał po chwili, po czym wstał i wyszedł z pokoju.

- Jeśli tylko możesz, ignoruj go. Miota się jak dzikie zwierzę - zwrócił się Yates do Caroline. - Może wiesz, o co mu właściwie chodzi?

- Nie sądzę, aby był to jakiś sekret. Kiedyś już pracowaliśmy razem i zalecał się do mnie, a ja dałam mu kosza.

- A, tu go boli...

- Czy ja wiem, czy go boli? Nigdy nie byliśmy ze sobą. Pewnie nie lubi porażek i nie mógł pojąć, że nie jestem nim zainteresowana - dodała sceptycznie.

- Jeśli będzie cię jeszcze zaczepiał, przywal mu czymś ciężkim w łeb. Masz moje całkowite błogosławieństwo.

Resztę dnia spędzili na sprawdzaniu systemów celowniczych nowych modeli samolotów. Na szczęście wszystko zdawało się być w najlepszym porządku. Nie doszło też do żadnych utarczek, jako że koncentrowali się wyłącznie na pracy.

Skończyli późnym popołudniem.

Caroline była już solidnie zmęczona. Piekielny upał dawał się jej we znaki, a do tego ten dzień zaczął się niezbyt miło i kosztował ją sporo nerwów. Rozmarzyła się na myśl o chłodnym prysznicu.

Nawet nie zdjęła z siebie kombinezonu. Chwyciła tylko sukienkę i szybkim krokiem ruszyła w stronę swojej kwatery. Włączyła klimatyzację, zrzuciła z siebie ubranie i przez chwilę stała naga pośrodku pokoju, rozkoszując się poczuciem wolności. Przeciągnęła się, ogarniając wzrokiem swoje nowe lokum. Właściwie było całkiem niebrzydkie i choć niezbyt duże, bo tylko dwa małe pokoje z aneksem kuchennym, to nawet całkiem funkcjonalne i przytulne. Wszystko w ciepłej zielonej tonacji.

Stała pod prysznicem i miała wrażenie, że woda zmywa z niej całe zmęczenie. Włożyła na siebie luźne lniane spodnie i podkoszulkę. Uwielbiała swobodę. Poczowała straszny głód. Właśnie zastanawiała się, co przygotuje sobie do zjedzenia, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Uchyliła je i ku swojemu zaskoczeniu ujrzała pułkownika Mackenzie.

- Pan? Tutaj? - To jedyne, co udało jej się z siebie wydusić.

Nie miał na sobie munduru, ale zgrabnie leżące dzinsy i luźną koszulę. Jego piękne oczy przysłaniały ciemne okulary. Wyglądał nieźle, to fakt, ale właściwie wcale nie miała ochoty wiedzieć, jaki jest Joe Mackenzie, kiedy nie jest na służbie.

- Przecież jesteście umówieni na kolację - przypomniał.

Takie oczywiste mu to się zdawało? - Co za bezczelność, pomyślała rozzłoszczona.

- Nie mam zamiaru pana żywić - odparła jakby nigdy nic. Zdążyła się w międzyczasie trochę pozbierać, więc stać ją było na taką ripostę.

- I wcale pani nie musi, to przecież ja panią zapraszam - wyjaśnił z uśmiechem.- Czyżby pani już zapomniała? Wyratowałem panią dziś z opresji i coś mi się za to należy. Miała pani spędzić wieczór w moim, jakże miłym, towarzystwie i chciałbym dotrzymać słowa. Nie mogę przecież pani zawieść. Poza tym Daffy nie zostawi pani w spokoju, jeśli się dowie, że zmyśliłem coś na poczekaniu. A dowie się na pewno. - Starał się odwrócić swoją uwagę od jej jędrnych piersi, które apetycznie sterczały pod podkoszulką, ale przychodziło mu to naprawdę z wielkim trudem. Poczul, jak ogarnia go podniecenie. - No, bardzo proszę, to nie musi być wytworna kolacja, nie musi się pani przebierać. Wystarczy wskoczyć tylko w jakieś buty i gotowe. - Właśnie, broń Boże żadnych innych zmian w garderobie. - Niedaleko bazy jest sympatyczny barek, w którym można przekąsić coś małego. Więc jak, idziemy?

Myśl o wydostaniu się poza bazę była w rzeczy samej ekscytująca, zwłaszcza że naprawdę ssała ją w żołądku, a tu na miejscu miała do wyboru tylko dwa rodzaje płatków śniadaniowych i mleko.

- Zgoda - powiedziała w końcu - ale proszę mi dać kilka minut.

- Oczywiście. Czy mam poczekać na zewnątrz?

- Nie, dłaczego, proszę na chwilę usiąść.

Caroline weszła do sypialni i włożyła sandały.

Potem zajrzała na moment do łazienki, spojrzała w lustro, przeczesała włosy. Przyszło jej na myśl, że mogłaby się trochę umalować, ale po chwili wzruszyła ramionami i doszła do

wniosku, że da sobie spokój. Właściwie była już w saloniku, gdy uzmysłowiła sobie, że nie włożyła stanika. Zawróciła i szybko uzupełniła brakującą część garderoby.

Mackenzie nie usiadł. Stał w otwartych drzwiach wejściowych, a na jej widok cofnął się o kilka kroków. Przekreśliła klucz w zamku i z wyraźną satysfakcją wrzuciła go do kieszeni.

Jak się okazało, pułkownik jeździł potężnym czarnym wozem, czymś na kształt małej ciężarówki.

- Nie spodziewałam się, że ma pan taką maszynę - powiedziała, gdy usiadł za kierownicą.

- Wychowałem się na ranczo w Wyoming i tak mi jakoś zostało. Lubię takie furgonetki. Pewnie spodziewała się pani lśniącego czerwonego porszaka nisko zawieszonoego, o nieograniczonych możliwościach. Prędkość cenię sobie ponad wszystko, ale tylko w powietrzu - dodał jeszcze. -A pani, czym pani jeździ? Zapewne czymś bardzo bezpiecznym, czymś, co nigdy nie zawodzi...

- Czymś niskim, czerwonym i lśniącem - wyjaśniła z nieukrywaną dumą. Lubiła komfort i szybkość.

Zapłaciła za to cacko krocie..

Joe spojrział na nią i gwizdnął przeciągle.

- Nieźle - skwitował i jeszcze raz gwizdnął.

Caroline rozejrzała się dokoła i stwierdziła, że taka furgonetka też ma swój urok. Siedzi się wysoko, wygodnie i całą okolicę widać jak na dłoni. Ale jeździć czymś takim na co dzień?

Joe skręcił w ulicę, gdzie ciągle widać było zachodzące słońce. W jego blasku cały świat nabrał czerwono-złotej barwy. Caroline zdawała się być zauroczona tym widokiem.

Nie odzywali się do siebie, ale od czasu do czasu rzucali sobie krótkie, badawcze spojrzenie. Jej wzrok przyciągały osmagane słońcem muskularne ramiona Joe i niezwykle męski, wyrazisty profil z dużym orlim nosem. Działał na nią i w żaden

sposób nie mogła temu zaprzeczyć. Im dłużej na niego patrzyła, tym szybciej biło jej serce i po jakimś czasie już w ogóle nie mogła oderwać od niego zafascynowanego wzroku. Był naprawdę bardzo wysoki, prawie dotykał głową sufitu.

- Jak pan, na litość boską, mieści się do kokpitu? - zapytała niespodziewanie dla samej siebie.

- Zawsze jakoś udaje mi się wcisnąć – powiedział i spojrzał na nią tak, że miała wrażenie, że gdyby nie te okulary, jego wzrok zmieniłby ją w kupkę popiołu.

Zmieszana spojrzała przed siebie i aż krzyknęła z wrażenia.

- O Boże, jakie to cudowne!

Dokładnie przed nimi, zdawało się, że na wyciągnięcie ręki, znajdował się olbrzymi czerwony krążek słońca, jak gdyby ktoś zawiesił je na potężnym niewidocznym sznurze. Cała pustynia oblała się purpurową poświatą.

Podczas gdy ona wpatrywała się w opadające za horyzont słońce, Joe bezkarnie mógł się jej przyglądać. Ciemne okulary stanowiły dodatkową osłonę. Pociągała go i bezsensownie byliby udawać, że jest inaczej. I to jak! A więc jednak włożyła stanik, zauważył po chwili. Wcale nie musiała, pomyślał zawiedziony i dyskretnie zwilżył usta. Ależ byliby cudownie całować te ponętne piersi. Ona nawet nie wie, jaka to przyjemność kochać się z mężczyzną i pozwolić mu się rozpieszczać. O Boże, otrząsnął się i doszedł do wniosku, że lepiej będzie, jeśli skoncentruje się na drodze, bo inaczej może to być ich ostatnia jazda.

Na szczęście do lokalu było naprawdę blisko i ich jazda nie trwała zbyt długo. Na miejscu jej nozdrza podrażnił natychmiast wspaniały zapach smażonej cebulki i frytek.

- Dlaczego wszystko, co jest takie pyszne, musi być takie niezdrowe? - zapytała trochę sfrustrowana.

- A na co ma pani ochotę?

- Na dużego hamburgera z cebulką i frytkami - odparła bez namysłu.

Usiedli przy stoliku i Joe zamówił dwa zestawy z coca-colą. Zdjął okulary, spojrzął jej prosto w oczy i powiedział:

- Kiedy wrócimy do bazy, pocałuję panią.

Serce Caroline omal nie wyskoczyło z piersi. Patrzyła na niego, nie wiedząc, jak powinna zareagować.

- Chciałabym dużo cebuli w hamburgerze, bardzo dużo - wymamrotała w końcu.

- Mamy przecież grać swoje role i musimy to robić przekonywująco, inaczej nikt nie uwierzy. A pani ma takie piękne usta... - ciągnął cicho dalej.

Odsunęła się na drugi kraniec stołu i patrzyła na niego z przerażeniem w oczach.

- Proszę się nie obawiać, nie ma jednak innego wyjścia. Z pewnością pani to rozumie.

- Nie chcę, żeby mnie pan dotykał.

- Ale wszyscy będą tego od nas oczekiwać.

- To mnie zupełnie nie interesuje. Zgodziłam się na wspólną kolację, żeby się wszyscy ode mnie odczepili. A poza tym byłam, a raczej jestem, śmiertelnie głodna. Ale to, o czym pan teraz mówi, to zupełnie co innego...

- Nie lubi pani tego?

Zatkało ją. Na samą myśl, że miałby wziąć ją w ramiona i dotknąć jej ust, serce zatrzepotało jej w piersi jak oszalałe i zaparto jej dech. Wiedziała, że ten facet może okazać się śmiertelnie niebezpieczny, bo miał w sobie coś takiego... coś, czego wprawdzie nie potrafiła opisać słowami, ale doskonale czuła. Tak jak i to, że może wpaść przy nim po uszy w kłopoty.

- W takim razie - kontynuował - skoro pani nie lubi się całować, pozwolę sobie złożyć pocałunek na pani dłoni. Z pewnością ktoś to zauważy i tym sposobem rozniesie się plotka, że coś nas łączy. Może nie płomienny romans, ale lepsze to niż nic. Prawda? - zapytał, spoglądając jej prosto w oczy.

- Zapewne - wydusiła z siebie z trudem, pokonując drżenie głosu. Była przerażona i onieśmielona do granic możliwości.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Na szczęście właśnie podeszła do nich kelnerka z tacą pełną apetycznie pachnących smakołyków.

Nareszcie, pomyślała Caroline. Była rozdrażniona tą wymianą zdań i chciała jak najprędzej znaleźć się znowu sama. Hamburger był wspaniały, świeżutki i pikantny w smaku. Jadała kiedyś równie pyszne podczas odwiedzin u wuja Lee i tylko tam, bo normalnie rodzice wszystkiego jej zabraniali: hamburgerów, lodów, coca-coli i nie wiadomo czego jeszcze, tłumacząc zawsze, że to niezdrowe i nonsensowne.

- Byłaś kiedyś w kasynie? - zapytał niespodziewanie Joe, gdy przełknęła ostatni kęs.

- Nie - ucięła krótko.

- To najwyższa pora to zmienić - oznajmił.

Wstał szybko i podszedł do kasy, żeby zapłacić. Na tyle szybko, że nie zdążyła zaprotestować. Naturalnie, że mu nawrzuca, bo co on sobie właściwie wyobraża? Co jak co, ale nie zamierzała się go słuchać. Tego jeszcze by brakowało.

Ale on zdawał się nie zważać na jej humory, kiwnął na nią ręką i już po chwili ruszał swoją furgonetką.

Nie wiedziała, jak to się stało, po prostu nie zorientowała się, jakim cudem, ale już wkrótce znaleźli się na Las Vegas Boulevard i powoli posuwali się do przodu, zatrzymywani raz po raz przez czerwone światło. Wokół migotały tysiące neonów we wszystkich barwach świata. Niezwykłe, wręcz



trochę otumaniające wrażenie. Po ulicach poruszała się niezliczona ilość samochodów, głównie zresztą na obcych rejestracjach, a więc należących do turystów, którzy jak w amoku przemieszczali się z miejsca na miejsce, chcąc obejrzeć wszystko, co tylko można było zwiedzić. Również na chodnikach panował niezwykły ścisk. Ludzie posuwali się wolno do przodu, tworząc zwarty tłum, jedną zwartą ludzką masę.

- Lubisz hazard? - spytała nagle.

- Nie lubię zbytniego ryzyka - odparł wykrętnie.

- Jasne, nie lubisz ryzyka! I kto to mówi! Widziałam, co dzisiaj zrobiłeś: przeciążenie dziesięć stopni i kąt wznoszenia osiemdziesiąt. Żadnego ryzyka...

- To zupełnie co innego, nie ma to nic wspólnego z ryzykiem hazardzisty. To technika, która daje nam ogromne możliwości. Musimy się nauczyć ją wykorzystywać, inaczej to wszystko nie ma sensu. Takie jest moje zadanie: przetestować maszynę i odkryć jej możliwości, no i oczywiście niedociągnięcia, niedoskonałości. To moja praca i jeżeli tego nie zrobię, nie ruszymy z miejsca, utkwimy w martwym punkcie.

- Ale żaden pilot nie zdecyduje się na takie szaleństwo, słyszałam, co mówili.

- Czasem nie ma wyboru - patrzył na nią spokojnie. - Czasem... tam w chmurach... zaskakuje nas sytuacja i dobrze jest wiedzieć, co jeszcze można, a czego już nie. Na tym polegają testy.

Westchnęła ciężko. Widziała w jego oczach, i teraz, i wtedy, kiedy wszedł do pokoju kontroli zmęczony i spocony, że kocha to, co robi. Błyszczały intensywnym, szafirowym blaskiem, bo palił się w nich ogień, którego nikt i nic nie było w stanie ugasić.

- Myślisz, że masz dziś szczęśliwy dzień? - zapytał, parkując przed jednym z kasyn.

- A po czym można to poznać? Jakie to uczucie? - zainteresowała się.

Zajrzała do środka i poczuła orzeźwiający, chłodny powiew, stanowiący jaskrawy kontrast w stosunku do rozgrzanego powietrza na zewnątrz. W pierwszym, obszernym pomieszczeniu znajdował się salon gier. Niemal przy każdym automacie stali mężczyźni bez reszty pochłonięci grą. W pewnej chwili jej uszu dobiegł brzęk wypadających monet i okrzyki radości.

- Chcesz wejść do środka? - zapytał Joe i nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej: - Pamiętaj, zasada numer jeden, bodaj najważniejsza, jeśli decydujesz się na grę, już na wstępie musisz pogodzić się ze stratą. Nikt nie zagwarantuje ci, że wygrasz. Zasada numer dwa: nastaw się na dobrą zabawę, nie traktuj tego zbyt poważnie.

- Ale ci faceci nie wyglądają na rozbawionych - mruknęła pod nosem Caroline, rozglądając się po sali. - Powiedziałabym raczej, że wyglądają jak desperaci, którzy utracili kontakt z rzeczywistością.

- Zapomnieli najwyraźniej o regułach... Chodźmy, pozwól, że zaopatrzę cię w ćwierćdolarówki.

Przez dłuższą chwilę Caroline stała i przyglądała się graczom. W końcu upatrzyła sobie jedną z maszyn, która, jak jej się zdawało, już od dłuższego czasu nie wypłaciła żadnych pieniędzy. Gdy tylko odszedł od niej gracz, zresztą wyraźnie mocno zdegustowany, zdecydowała się rozpocząć swoją pierwszą grę w kasynie. Bez wahania podeszła do tej maszyny, licząc na szczęście wsparte rachunkiem prawdopodobieństwa. Usiadła na stołku, wrzuciła do otworu ćwierćdolarówkę i w tym samym momencie poczuła się jak idiotka. Ale, co tam, raz kozie śmierć, skoro już tu jest, na pewno nie zrezygnuje. Pociągnęła za rączkę, ale już na samym wstępie nie miała szczęścia. Próbowwała i próbowała, ale za każdym razem bezskutecznie. Joe stał tuż za nią i śmiał się, kiedy zaczynała

się złościć. Ale nie powstrzymało to jej od dalszych wybuchów złości, grózb i zaklęć. Próbowwała przekupić tę diabelską maszynę, ale bezduszna maszyna nie ulegała jej namowom ani presji.

- Nie zapominaj, po co tu jesteś - szepnął Joe. – To tylko zabawa!

Rozzłoszczona, bez ogródek powiedziała mu, gdzie może sobie schować swoje wszystkie zasady i cenne uwagi. Dopiero wtedy umilkł.

Bliżej przysunęła się do ekranu, jakby chciała się odciąć od tego faceta, który stał za nią i marudził, i z całą determinacją pociągnęła za rączkę. Obrazki zawirowały jej przed oczami, a potem jeden po drugim, jak na zamówienie, ustawiły się w zgodnym szeregu. Ze środka maszyny odezwały się głośne radosne okrzyki, dzwonki i skoczna muzyczka, i nagle poczęły się z niej sypać monety szerokim, wartkim strumieniem. Caroline aż podskoczyła z radości. Kilka osób podeszło do nich i przyglądało się z podziwem olbrzymiej stercie monet.

- Wygrałam! Udało się! - wykrzyknęła z przejęciem. - Przecież one nie zmieszczą mi się do kieszeni!

Joe roześmiał się.

- O to nie musisz się martwić.

W tym momencie zbliżył się do niej pracownik kasyna.

- Z miłą chęcią wymienimy je na banknoty - powiedział.

Okazało się, że wygrała trochę ponad siedemdziesiąt dolarów. Zwróciła Joemu dolary, które pożyczył jej na początku, a resztę banknotów wepchnęła do kieszeni.

- No i co, podobało ci się? - zapytał, gdy znaleźli się na zewnątrz.

- Chyba tak - odparła po krótkim namyśle. - Ale brak mi zimnej krwi, więc nie nadaję się na gracza.

- Może masz rację, ale przecież nie o to chodzi. Nikt nie powiedział, że musisz zostać hazardzistką. - Uśmiechnął się szarmancko i delikatnie ujął jej dłoń.

Spojrzała zaskoczona na ich złączone ręce i przeszył ją miły dreszcz, a serce zaczęło szybciej bić. Dopiero teraz zauważyła, że jego dłoń jest naprawdę wyjątkowo duża, lecz mimo to jej uścisk był niezwykle delikatny. To tak, jakby jej właściciel obawiał się swojej siły. Poczula się jednak jakoś nieswojo, bo nigdy nie chodziła z chłopakami za rękę. Właściwie to mogła wyzwolić się z tego uścisku i byłoby to z pewnością rozsądne, ale jakoś nie chciała...

Doszli do samochodu i wtedy zdała sobie sprawę, że robi jej się jakoś dziwnie przykra na myśl o zakończeniu tego wieczoru. Sama nie wiedziała dlaczego, ale potraktowała to spotkanie jak swoją pierwszą randkę i wcale nie chciała, żeby się tak szybko skończyła.

W drodze powrotnej nie rozmawiali ze sobą. Cały czas patrzyła przez okno i myślała o tym, co za chwilę miało nastąpić. Ostrzegał, że ją pocałuje na pożegnanie. A może raczej powinna powiedzieć: obiecywało. Sama nie wiedziała, czy czuje niepokój, czy raczej radość. Jednak niepewność dawała o sobie znać: kręciło jej się w głowie i lekko drżała.

Zaparkował w pobliżu jej kwatery, wyskoczył z samochodu i szarmancko otworzył drzwiczki od strony pasażera.

Caroline dostrzegła kilka osób, które z zainteresowaniem przyglądały się tej scenie. Pomyślała, że jakoś szybko tutaj dojechali, nawet się nie spostrzegła kiedy. Zdecydowanie nie chciała się jeszcze z nim rozstawać, ale przecież nie przyzna się do tego. Nie może mu tego tak zwyczajnie powiedzieć, nie wypada.

Wyciągnęła z kieszeni klucz i otworzyła drzwi. Potem odwróciła się i spojrzała na niego. Jego oczy lśniły, dosłownie pożerał ją wzrokiem. W końcu nie była przecież ślepa, nawet jeśli nie miała zbyt dobrego doświadczenia.

- Podasz mi dłoni - szepnął.

Nie zdążyła jednak nic odpowiedzieć, bo nagle przyciągnął ją do siebie, a ich usta złączyły się w namiętym pocałunku. Nie

bronila się, poddała mu się, bo i tak nie miała najmniejszych szans. A zresztą to było naprawdę bardzo przyjemne. Uczucie, które zawładnęło jej ciałem, takie przejmujące i takie nieznane zarazem, zadziwiło ją. Nie spodziewała się podobnych emocji. Miał niesamowicie miękkie i gorące wargi, a do tego tak niezwykle łapczywe, jakby od lat już pragnęły tego pocałunku. Nagle oderwał się od jej ust i spojrzał na nią z jakąś nieznaną jej dotąd czułością, po czym jeszcze kilka razy musnął delikatnie jej usta, aż wreszcie cofnął się o krok.

Gdyby nie fakt, pomyślał Joe, że jej to obiecał, nie odpuściłby jej teraz na pewno. Jego ciało wyrwało się do niej, ale wiedział, że musi się powstrzymać.

- Miło było - szepnął jej do ucha.

Po plecach Caroline przemknął lekki dreszcz. Spojrzała na niego ze zdziwieniem, a jej oczy zdawały się prosić o jeszcze. Nawet nie drgnęła z miejsca.

Położył więc dłoń na jej ramieniu, odwrócił ją w kierunku drzwi i szepnął:

- Wejdz do środka, Caroline. - Głos Joego brzmiał bardzo spokojnie. - Wejdz już, dobranoc.

- Dobranoc - wymamrotała, wciąż jeszcze niezbyt przytomna, wypełniona bez reszty jakimś nieznanym sobie uczuciem, które uczyniło w jej głowie spustoszenie.

Weszła do środka, machinalnie zapaliła światło i zamknęła za sobą drzwi. Usłyszała warkot silnika j ego samochodu, potem, jak rusza z miejsca i jak odjeżdża. No tak, westchnęła, osiągnął cel swojej misji, więc po cóż miałby zostawać dłużej. Chodziło w końcu o to, by inni byli przekonani, że są ze sobą. A to mieli jak w banku, o to nie musieli się martwić. Była przekonana, że już jutro w całej bazie będzie aż huczało od plotek. Zatem zrealizował swój plan i nie było już żadnego powodu, dla którego miałby z nią zostać. Usiadła na kanapie i przed dłuższy czas nie mogła się poruszyć. Tak ją to wszystko jakoś przedziwnie nastroiło, że nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Było

jej i źle, i dobrze. Po raz pierwszy w życiu poczuła prawdziwe zainteresowanie mężczyzną i pragnęła, żeby i on nie mógł przestać o niej myśleć. Jak to się robić Skąd wiedzą takie rzeczy inne dziewczyny i gdzie się tego uczą? Była świetną specjalistką od laserów, ale nie miała zielonego pojęcia o mężczyznach ani o tym, jak z nimi flirtować i jak zwrócić na siebie ich uwagę. I dlaczego musiał być to od razu taki facet? Twardziel, szaleniak jakiś, skrajny ryzykant? Mężczyzna, który potrafił zaklinać najbardziej skomplikowane maszyny, nie mówiąc już o płci pięknej? U którego stóp mogłaby leżeć niemal każda kobieta, której by tylko zapragnął? Diabelski czarodziej. Nie musiała być ekspertem w sprawach damsko-męskich, by rozumieć, że o takim facecie marzy każda dziewczyna. Krępowiała ją myśl, że tak mocno przywarła do niego ciałem, kiedy ją całował. Nie mogła się jednak powstrzymać. Był taki cudowny, a do tego przez cały wieczór taki miły. Już nie pamiętała, kiedy ostatnio udało jej się tak odprężyć i kiedy tak dobrze się bawiła. Może w dzieciństwie, a może i to nie. Jedno było pewne, teraz miała problem, a ten problem nazywał się Joe Mackenzie. Nie bardzo wiedziała, co ma zrobić z tym fantem. Czowała się trochę jak wygłodniałe zwierzę, ale nie chciała tego okazać po sobie.

W biurze była jeszcze przed świtem. Źle spała tej nocy, jeśli w ogóle można nazwać to spaniem. Przekręcała się z boku na bok i tyle.

Wcześniej rano ubrała się w lekki kombinezon, wiedząc, że będą dziś przeprowadzać kolejne testy, wsunęła na nos okulary, i przygotowując w myślach pytania do Cala dotyczące oprogramowania, ruszyła do biura. Wprawdzie nieźle znała się na komputerze, bo w końcu jako drugi fakultet studiowała informatykę, ale to nie to samo. Wiedziała, że Cal ma wszystko, co łączy się z komputerami, w jednym palcu.

Zalogowała się i zaczęła przeglądać punkt po punkcie program dzisiejszych testów.

Poczuła nagle czyjś dotyk na swoim ramieniu. Zerwała się na równe nogi i zamachnęła się, mając nadzieję, że zdąży unieszkodliwić przeciwnika, zanim on ją unieruchomi. Ale Joe był szybszy, złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie.

- Chcesz przyprawić mnie o atak serca? - wymamrotała. - Nigdy więcej tak nie rób.

- Przepraszam, nie miałem zamiaru cię przestraszyć - wyszeptał miękko. - A tak na marginesie, zawsze od razu walisz po prostu w dziób?

Stali na tyle blisko siebie, że czuła na swoich piersiach jego mocny tors. Joe jednak najwyraźniej nie miał najmniejszego zamiaru wypuścić jej ze swego żelaznego uścisku.

- Puść mnie, jeśli nie chcesz, żebym kopnęła cię w pizszel - próbowała się jakoś ratować. Wiedziała jednak, że nie ma żadnych szans. Przerastał ją przecież o jakieś pół metra.

- Nie jestem bokserem ani żadnym innym zawodnikiem, kochanie. Ale gdybym nim był, nie miałabyś teraz szans. Jesteś mądrą dziewczynką, więc powinnaś zdawać sobie z tego sprawę.

Ostro popatrzyła mu prosto w oczy, ale na nic się to nie zdało. Najwyraźniej nie miała wzroku bazyliuszka.

A poza tym znowu zaczarował ją swoim błękitnym spojrzeniem. I na dodatek ten jego zapach... Nie, teraz wiedziała już na pewno, że nie wygra tej batalii. Poczuła lekki zawrót głowy, serce przyspieszyło swój rytm, a jej piersi stały się pełniejsze. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek reagowała w ten sposób na jakiegoś faceta. Wiedziała, że jeżeli natychmiast nie uda jej się skoncentrować myśli na czymś zupełnie innym, sytuacja może wymknąć się jej spod kontroli. A przecież w końcu znajdowali się w biurze i w każdej chwili ktoś mógł wejść do środka i ich zaskoczyć.

- W takim razie, co powinnam według ciebie zrobić, kiedy mnie ktoś zaatakuje? - zapytała.

- Powinnaś nauczyć się uderzać pierwsza - odparł bez namysłu, ale nie czekał już, co na to powie. Przycisnął ją jeszcze mocniej i pocałował namiętnie.

Najchętniej chciałaby ukryć nawet przed samą sobą fakt, że drżała na całym ciele i raz po raz przeszywała ją gorąca fala podniecenia.

Kiedy wypuścił ją z uścisku, nie bardzo wiedziała, jak ma się zachować. Podeszła do komputera, kliknęła i wyszła z programu, którym jeszcze przed chwilą była całkowicie pochłonięta.

- I co byś mi polecali Jaką sztukę walki? - Ze wszystkich sił starała się, by jej głos brzmiał naturalnie.

- Najlepiej wolną amerykankę. Wszystkie chwytówy dozwolone! - odparł z uśmiechem. - Nie chodzi w niej o to, żeby walczyć fair, ale żeby wygrać.

- To co, piaskiem po oczach i te rzeczy? - zapytała zdziwiona.

- Dokładnie, trzeba zaskoczyć przeciwnika, wymanewrować go.

- I tak zwykle walczysz? - Poczwała, że musi usiąść. Zrobiło jej się jakoś słabo i miała wrażenie, że za chwilę ugną się pod nią kolana. Przycupnęła więc na brzegu biurka. - Więc tak wyglądają szkolenia sił powietrznych naszego kraju? Tego bym się nie spodziewała. - Pokręciła z niedowierzaniem głową.

- O nie, tak wygląda szkoła życia. Nauczyłem się tego, kiedy jeszcze byłem dzieckiem.

- Kto dał ci taką szkołę? - zapytała pospiesznie, ciesząc się, że zmienili temat.

- Mój ojciec - uciął krótko.

Ojciec? Ją ojciec nauczył liczyć.

- Wiesz, czytałam ostatnio artykuł o cechach charakteru pilotów myśliwców. Był szalenie pouczający.



Pasujesz do tego wszystkiego jak ulał: inteligentny, agresywny, arogancki, zdeterminowany, albo może raczej uparty, i chce kontrolować cały świat.

Joe skrzyżował ramiona na piersiach i spojrzał na moment na czubki swoich butów. W tym momencie jego oczy przykryły powieki okolonę długimi ciemnymi rzęsami. Czyżby się zawstydził?

- A do tego macie świetny refleks - kontynuowała, zachęcona swoim drobnym sukcesem. - Piloci myśliwców najczęściej mają niebieskie oczy i tylko ten twój wzrost jest nietypowy. I jeszcze jedno, wiesz, najprawdopodobniej będziesz miał córkę, a nie syna. Tak przynajmniej mówią statystyki.

- W takim razie będę musiał to sprawdzić – podsumował Joe tę jej charakterystykę.

Odchrząknęła trochę niepewnie.

- Myślałam, że już to zrobiłeś!

- A skąd takie pochopne wnioski?

- Nazywają cię Mix, więc myślałam, że nieźle już namieszaleś.

Joe uśmiechnął się pod nosem. Na to nigdy by nie wpadł.

- To mój kryptonim, wybrałem taki, bo jestem półkrwi Indianinem.

Caroline spojrzała na niego uważnie.

- Ach tak? Pół-Indianinem... - dodała zamyślona. Więc stąd ta dzikość w jego oczach, stąd te wyraziste rysy twarzy, gęste czarne włosy i oliwkowy odcień skóry, który wzięła za opaleniznę.

- Ale dodam na pociechę, że zawsze czułem się pełnokrwistym Indianinem i, jak sądzę, nic tego nie zmieni.

Wprawdzie jego głos brzmiał całkiem zwyczajnie, ale czuła, że Joe bacznie ją obserwuje.

- Zaraz, chwileczkę - powiedziała, patrząc mu wprost w oczy.

- A ten niczym niezmacony błękit twoich oczu. Są przecież niebieskie, a niebieski jest kolorem słabszym, recesywnym.

Powinieneś mieć zatem ciemne oczy. Z tego, co wiem, nie było niebieskookich Indian...

- Moi rodzice też byli mieszańcami. Jeśli faktycznie tak cię to interesuje, już ci wszystko wyjaśniam: jestem w dwudziestu pięciu procentach Komanczem i w dwudziestu pięciu procentach Iowa, a w połowie biały.

No tak, to by wyjaśniało tajemniczą barwę jego oczu. Z satysfakcją pokiwała głową. Niech sobie nie myśli, że uda mu się w coś ją wpuścić albo że może wcisnąć jej jakiś kit.

- Masz rodzeństwo? - spytała niespodziewanie.

- Owszem, mam trzech braci i jedną siostrę,

- I też mają niebieskie oczy i - zapytała z zainteresowaniem.

- To moje przyrodnie rodzeństwo. Moja matka zmarła, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Druga żona mojego ojca jest biała i niebieskooka, więc wszyscy moi bracia mają niebieskie oczy. Ojciec zastanawiał się nawet, czy kiedykolwiek urodzi mu się dziecko, które będzie miało czarne oczy. Aż do chwili, kiedy urodziła się im dziewczynka...

- Ale masz szczęście. Jestem jedynaczką, zawsze marzyłam o siostrzyczce czy braciszku. Czulałam się bardzo samotna. Powiedz, fajnie jest mieć liczne rodzeństwo?

Wbił wzrok w ziemię i zajęło mu dobrą chwilę, nim się ponownie odezwał.

- Miałem szesnaście lat, kiedy tata ożenił się z Mary, więc sama rozumiesz, że trudno mi coś na ten temat powiedzieć. Nie wychowywałem się z nimi. Byłem już na tyle duży, że raczej pomagałem się nimi zajmować. W sumie było naprawdę fajne. Nieraz zostawałem wieczorami z całą gromadką. Teraz są już duzi i widzimy się niezbyt często, ale zawsze cieszę się na to spotkanie.

Trudno jej było wyobrazić to sobie. Taki duży, surowy facet otoczony gromadką dzieci. Zauważyła, że kiedy mówił o swoim rodzeństwie, łagodniały mu rysy twarzy, stawał się innym człowiekiem. To nie ten sam Joe Mackenzie, którego

znała z kontaktów służbowych, zauważyła zaskoczona. Zapragnęła nagle poznać bliżej to jego drugie oblicze, o którym do tej pory nie miała zielonego pojęcia, stać się częścią tamtego świata, o którym tak pięknie mówił. Tak bardzo chciała, by wytracał przy niej tę swoją żelazną stanowczość, by zapominał o tym, że życie jest twarde.

Zapadła krótka cisza. Nawet sobie nie zdawała sprawy z tego, że jej policzki oblat lekki rumieniec.

Joe podszedł do niej i spojrzał na nią tak jakoś inaczej, tak ciepło.

- O czym myślisz, kochanie? - zapytał.

Serce Caroline znowu zaczęło mocniej bić. Nie wiedziała, dlaczego jego bliskość wywoływała w niej taką huśtawkę emocji?

- Nic nie wiem o mężczyznach - wyjąkała wreszcie. - I nie wiem, jak się przy nich zachowywać, co ich intryguje, a co zraża...

- Całkiem nieźle sobie radzisz - wyszeptał.

Ciekawe, co też miał na myśli? Była po prostu sobą, a do tej pory jakoś nie wprawiało to mężczyzn w zachwyt.

- Nigdy wcześniej nie spotkałam nikogo, kogo chciałabym sobą zainteresować, więc czuję się cokolwiek niepewnie. Wiem, mamy tylko udawać, ale to wcale nie będzie takie proste, jak nam się zdawało, bo...

- Bo co? - przysunął się bliżej, zaintrygowany.

- Bo... wygląda na to, że mogłoby tak być naprawdę - powiedziała cicho.

- Jak bardzo naprawdę?

Nie bardzo wiedziała, co ma na to odpowiedzieć.

- A skąd ja to mam wiedzieć? Wiem jedynie, że dziwnie się jakoś gubię w twoim towarzystwie, że tracę pewność siebie - powiedziała szczerze. - Działasz na mnie tak jakoś... - nie potrafiła ująć tego w słowa. - I chciałabym, żeby z twojej strony też tak było. - Uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

Dostrzegła w nich płomień, który przyprawił ją o gęsią skórę.  
- Nie znam reguł takiej gry - ostatnie słowa niemal uwięzły jej w gardle.

- Takie gry bywają cudowne - powiedział, kładąc ręce na jej biodrach. Przyciągnął ją do siebie i czas jakiś wtulał twarz w jej włosy, muskał ustami jej oczy, policzki i szyję, aż w końcu mocno przywarł do jej nabrzmiąłych, spragnionych warg.

Poczuła, jak rozplywa się w jego ramionach, jak ogarnia ją fala gorąca. Całkiem się zapomniała i oprzytomniała dopiero w momencie, kiedy delikatnie odsunął ją od siebie. Z trudem otworzyła oczy, wcale nie chciała powracać do rzeczywistości. Przecież on też był podniecony, czuła to wyraźnie, kiedy ich ciała połączyły się w mocnym uścisku.

- Reguły są proste: powinniśmy się wzajemnie respektować, wychodzić sobie naprzeciw i próbować się poznać. Musimy nauczyć się siebie, odkryć, co sprawia nam przyjemność i zrobimy to bardzo powoli, krok po kroku. Dziś o siódmej przyjadę po ciebie.- Złożył na jej ustach jeszcze jeden krótki pocałunek i w jednej chwili, nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, bezszelestnie, tak jak się pojawił, tak znikł.

Caroline długo jeszcze siedziała na biurku, próbując uspokoić oddech i połapać się w tym, co przed chwilą zaszło. Miała problem, i to poważny problem. Po raz pierwszy w życiu spotkało ją coś, z czym nie potrafiła sobie nijak poradzić, coś, co już na wstępie wymykało się jej spod kontroli. Jeśli dobrze zdołała odczytać jego zamiary, to właśnie jej oświadczył, że to początek jakiegoś romansu między nimi.

Boże, ona i romans... To nie do wiary! Nie miała jednak nic przeciwko temu. Wiedziała, że jest na najlepszej drodze, by stracić dla tego faceta i głowę, i serce, ale nic nie było w stanie jej powstrzymać. Nawet fakt, że dla pułkownika Mackenziego to z pewnością tylko kolejna przelotna znajomość.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Następnego dnia wszystkie testy przeszły bez zakłóceń. Caroline była z tego bardzo zadowolona, gdyż nie czuła się zbyt dobrze i nie miałyby głowy, by doszukiwać się ukrytych błędów czy nanosić jakiegokolwiek poprawki. Na całe szczęście nie było to konieczne. Adrian ciągle nie mógł sobie darować i raz po raz, kiedy zostawali na chwilę sami, częstował ją jakąś zjadliwą uwagą. Rzucała mu wówczas lekceważące spojrzenie lub jednoznaczny uśmiech i nie wdawała się z nim w dyskusję. Zresztą dobrze wiedziała, że w ostatnich dniach nie jest w najlepszej formie i ma problemy z koncentracją, jak nigdy dotąd. Woląa więc sobie darować. Dawniej nie wpadłaby na to, że mężczyzna może zakłócić w jakimkolwiek sensie funkcjonowanie jej mózgu. Wiedziała, że to zresztą i tak tylko chwilowy kaprys pułkownika Mackenziego, była tego pewna, więc właściwie nie powinna w ogóle zajmować się tym tematem. Pocałował ją na dobranoc i tyle, a ona usiłowała zrobić z tego jakąś znaczącą historię. Cała baza wiedziała, że jest jego kobietą i o to przecież chodziło. A zatem cel tej strategii został osiągnięty. Nikt nie ośmieliłby się wejść pułkownikowi Mackenziemu w drogę. Na początku i jej wydał się ten plan sensowny, ale teraz dopadły ją niejakie wątpliwości. A może właśnie chodziło mu o to, żeby dla niego zwariowałaś

Po powrocie do biura zajęli się opracowywaniem wyników testów. Wszystko szło gładko, aż do momentu, kiedy Cal zadał jej to pytanie. Odwrócił się nagle i spojrzał na nią tak jakoś przeciągle i zapytał:

- Powiedz, jak to jest być kobietą szefa?

Poczuła, że zaczynają drzeć jej ręce. Oparła je o kolana i odpowiedziała krótko, najkrócej jak to było możliwe:

- Normalnie.

Uniosła głowę i ku swemu zdziwieniu zauważyła, że oczy Cala przepełnione są troską i obawą.

- Dlaczego pytasz? - odezwała się po chwili.

- Wydawało mi się, że... - motał się. - Obawiałem się... to znaczy mam na myśli, że nie należy robić niczego wbrew sobie - wydusił wreszcie. - Wiesz, o co chodzi, wszyscy wiedzą... Pułkownik ma nie tylko tu ogromne wpływy, ma je nawet w Pentagonie.

- Nie rozumiem - wymamrotała. Poczula się dziwnie dotknięta. - To co? Uważasz, że spotykam się z nim, żeby mnie stąd nie wylał?

- Nie wiem, no... może coś w tym rodzaju – dodał zmieszany.

- Bez przesady - rzuciła nieco urażona. – Nie obawiaj się, wszystko jest w porządku.

- To dobrze. - Wyraźnie odetchnął z ulgą. - Mam wrażenie, że Adrian zostawił cię już w spokój - zmienił nagle temat.

- Staram się nie zwracać na niego uwagi i na pewno osiągam w ten sposób lepszy skutek.

- Świetnie, cieszę się - powiedział i odwrócił się do niej tyłem, pochylając się nad swoim biurkiem.

Caroline spojrzała na zegarek. Do siódmej pozostało jeszcze ponad trzy godziny. Denerwowało ją to, że co chwila patrzyła na zegarek. Wcześniej nigdy jej się to nie zdarzało. Kiedy była w pracy, czas przestawał dla niej istnieć. Dlaczego nikt jej nigdy nie uprzedził, że faceci mogą być tak niebezpieczni. Uprzątnęła biurko i postanowiła zakończyć pracę na dziś. I tak to nie miało najmniejszego sensu.

W domu wskoczyła od razu pod prysznic. Co za ukojenie po całym dniu zmagania z upałem. Włączyła klimatyzację i zaczęła rozmyślać nad tym, co powinna na siebie włożyć. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia dokąd iść. Jak więc miała dobrać pasującą garderobę? Spojrzała na telefon. Najprościej byłoby do niego zadzwonić. Co prawda nie знаła jego numeru, ale to nie był żaden problem, mogła przecież

zadzwoić przez centralę. Po chwili wahania doszła do wniosku, że będzie to najrozsądniejsze rozwiązanie.

- Słucham, Mackenzie.

Odebrał już po pierwszym dzwonku. Boże, jego głos przez telefon brzmiał jeszcze głębiej i jeszcze bardziej aksamitnie.

- Tu Caroline. Chciałam zapytać, dokąd masz zamiar mnie dziś zabrać? - Bez długich wstępów, szybko, jasno i węzłowato wyjaśniła, po co dzwoni.

- Rozumiem - mruknął. - Włóż krótką i szeroką spódnicę. - A po chwili dodał: - Tak żebym mógł swobodnie wsunąć pod nią rękę. Do zobaczenia.

Zaraz po tych słowach rozległ się głuchy trzask odkładanej słuchawki.

Co za tupet, pomyślała ze złością Caroline. Jak mógł bez uprzedzenia odłożyć słuchawkę. I co to za pomysł z tą spódnicą i rękami? Nienormalny jest, czy co? Ja mu dam spódnicę i rękę? Jasne, że przy tym upale najchętniej założyłaby krótką spódnicę i lekką bluzkę, albo jakąś zwiewną sukienkę, ale po tym, co usłyszała, na pewno nie! Po moim trupie, syknęła, już ja go pozbawię tej jego pewności siebie. Jeszcze gdyby szalał na jej punkcie i znalazby się lepiej, może by zrozumiała, wybaczyła, ale tak? Bezcelny był, i tyle.

Zdecydowała się wreszcie na luźne oliwkowe spodnie i obcisłą białą koszulkę. Była usatysfakcjonowana swoim odbiciem w lustrze.

Zapukał do jej drzwi punktualnie o siódmej. Kiedy ją zobaczył, wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

- No, nie - wydusił z siebie, kiedy się trochę uspokoił - ty naprawdę myślisz, że jestem żarłocznym wilkiem, który dybie na twoje życie!

- Przyznam szczerze, że po tym telefonie przeszło mi to przez myśl - powiedziała urażona.

Zamknęła drzwi na klucz i nacisnęła dwa razy klamkę, by sprawdzić, czy zamki trzymają. Zawsze była ostrożna i nie uszło to uwagi Joego.

W drodze do samochodu mocno objął ją w tali. Caroline natychmiast poczuła przyjemny dreszcz, przemykający jej po plecach.

- Naprawdę nie musisz się mnie bać, nie zamierzam cię połknąć w całości - powiedział z uśmiechem. A po chwili dodał: - Jeszcze nie teraz... - i spojrzał na nią znacząco.

Widział, jak zdenerwowały ją te słowa. Ta przedziwna mieszanina zupełnego braku doświadczenia i ewidentnej pobudliwości powoli doprowadzała go do szaleństwa. I to, co wyznała mu dzisiejszego ranka też nie dawało mu spokoju. Cały dzień myślał o niej, cały czas czuł jej miękkie usta na swoich, jej delikatną skórę pod palcami i jej ekscytujący zapach. Była tak niezwykle prostolinijna i naiwna. Rozbudzała w nim niepohamowane żądze, w ogóle nie zdając sobie z tego sprawy. Wcześniej nigdy nic takiego mu się nie przydarzyło.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Caroline, kiedy siedzieli już w samochodzie.

- Lubisz kuchnię meksykańską?

- Oj, tak - zamruczała jak kotka - bardzo!

Wiatr rozwiewał jej włosy i wyglądała naprawdę cudownie.

- No, to teraz już wiesz, dokąd jedziemy. Jak chcesz, mogę zamknąć okna i włączyć klimatyzację - zaproponował.

- Nie, lubię wiatr. Jest przecież tak gorąco. Dlatego ja też mam kabriolet.

Dotarli do Las Vegas i Joe zaparkował przed swoją ulubioną restauracją. Aromatyczne wino i przepyszna pizza po meksykańsku pozwoliły jej się zrelaksować. Zapomniała, jak bardzo była zdenerwowana. Całkowicie, się rozluźniła i zauroczona tym miejscem, przyglądała się, jak Joe sączy wodę.

- Sądziłam, że piloci myśliwców to niezłe moczy-mordy i lubią mocne trunki - powiedziała po chwili.



- Dzięki za szczerość, ale jak widać nie wszyscy - odparł ze spokojem.

- A więc jesteś wyjątkowy i pod tym względem - dodała uszczypliwie.

- Lubię mieć nad sobą kontrolę i panować nad sytuacją. Szczególnie się to przydaje w czasie lotów kontrolnych. - Uniósł szklankę do góry. - Więc, jak widzisz, nie piję, i kropka.

- Jeśli to takie niebezpieczne, to dlaczego tylu pilotów pije bez umiaru?

- Czy ja wierni Pewnie po to, żeby się jakoś odprężyć.

Przez chwilę miała ochotę go zapytać o Nocnego Jastrzębia, ale doszła do wniosku, że to nie najlepszy moment i nie najlepsze miejsce. W końcu projekt ten objęty był ścisłą tajemnicą.

- I co teraz? - zapytała, kiedy zjedli kolację, ale natychmiast ugryzła się w język.

- A teraz się zabawimy.

Nie bardzo wiedziała, co ma na myśli, więc trochę się spięła, ale w kilkanaście minut później stali na polu do mini-golfa i od razu się uspokoiła.

- Przecież ja nigdy w to nie grałam - zaprotestowała niepewnie.

- Oj, wygląda na to, że będę musiał nauczyć cię wielu rzeczy.

Wkurzył ją ten mentorski ton.

- A może to wcale nie będzie konieczne? - odgryzła się, przymierzając się do uderzenia w piłeczkę.

Na szczęście wcelowała w nią, ale piłeczka, nie zważając na jej honor, poleciała w zupełnie innym kierunku, niż powinna. Joe odsunął ją lekko na bok.

- A więc lekcja numer jeden - oznajmił. - Popatrz, tak należy trzymać kij - i ustawił się w odpowiedniej pozycji. - W mini-golfie nie chodzi o siłę, lecz o precyzję, właściwą ocenę odległości i koncentrację. - Zamierzył się i wbił piłeczkę do dołka za pierwszym uderzeniem. Natychmiast zauważył, że

trochę ją to rozzłościło. - Nie przejmuj się - pocieszył ją - grasz przecież pierwszy raz, a to wcale nie jest takie proste. Dam ci fory, będziesz miała zawsze jedno dodatkowe uderzenie.

Nie miała zbytnej chęci grać w tę dziwną grę. Wkurzył ją tym swoim mądrzeniem się. Najchętniej rzuciłaby w niego tą piłką i poszłaby do domu. Nie zrobiła tego jednak, tylko roześmiała się i na znak zgody pokiwała głową.

Ku jej zdziwieniu szło jej całkiem nie najgorzej. Nie wiadomo jakim cudem stanęło na tym, że jest remis. To jednak nie dało Caroline żadnej satysfakcji, pominawszy fakt, że miała poważne podejrzenia co do takiego wyniku.

- Okej - powiedziała po chwili - ta gra się nie liczy, zobaczymy, komu uda się jako pierwszemu dojść do dwóch wygranych.

- W porządku.

Zegrali jeszcze pięć kolejnych rund, z których dwie pierwsze zakończyły się remisem, nasuwającym już mniej wątpliwości niż ten pierwszy. Potem wygrał on, potem ona, i tę ostatnią, kończącą grę, znowu on, ale tylko jednym uderzeniem.

Joe spojrział na nią z uznaniem. Miała teraz taki sam wyraz twarzy jak wówczas, w kasynie, kiedy automat za nic w świecie nie chciał wypluć z siebie monet. Nie lubiła przegrywać i on to rozumiał. Pod tym względem byli do siebie podobni.

W drodze powrotnej do bazy zбочył z drogi i przez dobrych kilka kilometrów jechali przez pustynię. Nagle wyłączył silnik i zgasił światła. Do wnętrza samochodu wdarła się czarna noc.

- Jesteś gotowa na kolejną przygodę? – zapytał w ciemności.

- To zależy co masz na myśli - odparła niezbyt pewnie.

- Parking.

- Słucham? Lekcje parkowania mam już za sobą. Przechodziłam je przed egzaminem na prawo jazdy.

- A zatem wiedz, że mam swoje zasady i chcę, żeby twój pierwszy raz odbył się w łóżku, a nie na tylnym siedzeniu samochodu. Tak więc nie będę się tu z tobą kochał. Nie musisz się więc obawiać.

Zatkało ją. Lubiła ludzi bezpośrednich, ale te jego słowa uznała za znaczne przegięcie. Wyglądało na to, że takie gadanie o tych sprawach sprawia mu prawdziwą przyjemność.

- Twoja bezpośredniość zadziwia mnie. - Było na tyle ciemno, że widziała jedynie niewyraźny zarys jego postaci.

Po chwili poczuła na sobie jego ręce i to wydało jej się zdecydowanie bardziej wyraziste. Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Cudowna jest taka wszechogarniająca fala gorąca, pomyślała i zaplotła dłonie wokół szyi Joego. Już po chwili jego dłonie pieściły delikatnie piersi Caroline. Westchnęła głęboko.

- Chcesz, żebym przestał? - zapytał.

Nic nie odpowiedziała. Była tak pochłonięta i zaskoczona tym, co odczuwała, że nie mogła pozbierać myśli. To wszystko było dla niej takie nowe i zadziwiające. Nigdy nie podejrzewałaby siebie o takie reakcje. Wczepiła palce w jego włosy i mocno przywarła do jego ciała.

- Nie przestawaj, proszę, nie - jęknęła cicho.

Powoli rozpiął jej bluzkę i wsunął pod nią rękę. Jej ciałem wstrząsnął silny dreszcz i znowu jęknęła, lecz tym razem przeciągle i rozkosznie.

- Tak... - wyszeptała. - To cudowne...

Czuła jego gorącą dłoń na swojej rozpalonej skórze i miała wrażenie, że cały świat zatrzymał się w miejscu - wszystko przestało się liczyć. Krew krążyła w jej żyłach jak oszalała, a serce waliło jak młot. Zadrżała, gdy poczuła jego rękę pomiędzy swoimi udami. Delikatnie rozsunął je i szepnął, całując ją w szyję:

- To ważne miejsce, szczególnie kiedy będziemy się kochać.

I zaraz potem przylgnął ustami do jej piersi.

- Kiedy będziemy się kochać - szeptał urywanym, zachrypniętym głosem - wejdę w ciebie i będę się poruszał wolno i spokojnie, słyszysz?

W odpowiedzi poruszyła biodrami, chciała błagać, by nie czekał z tym, by zrobił jej to tu i teraz, ale nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Jedyne, co jej się udało, to jeszcze mocniej przycisnąć do niego biodra, jeszcze mocniej wbić palce w jego ramiona.

- A kiedy nadejdzie odpowiedni moment i nie będziemy mogli wytrzymać już ani chwili dłużej, zacznę poruszać się szybciej, gwałtowniej i coraz głębiej - ciągnął dalej Joe.

Czuł jej przyspieszony oddech na swojej szyi, czuł, jak zaplata wokół niego nogi, czuł, jak drży, jak bardzo jest rozpalona, jak niecierpliwie czeka na spełnienie, którego jeszcze nie знаła. Pragnął jej całym sobą, chciał zerwać z niej ubranie i czuć ją pod sobą nagą i drżącą, całować ją i kochać, lecz po chwili opamiętał się. Przecież nie o to chodziło, nie tak miało to wyglądać. Nie chciał wziąć jej tu, na siedzeniu furgonetki, nie tym razem. Pragnął, by mu ufała. Nie było mu łatwo nad sobą zapanować, o nie.

I był tak podniecony, tak rozgniony, że musiał naprawdę ostro wyhamować, użyć całej swojej koncentracji i siły woli. Zamarł na moment w bezruchu, by ,uspokoić oddech. Po chwili krew poczęła wolniej krążyć w jego żyłach.

- Jesteś cudowna, tak cudowna, że muszę przerwać te pieszczoty, bo za chwilę nie będę w stanie nad sobą zapanować. Nie chciałbym zrobić tego tutaj.

- Rozumiem - szepnęła cicho. - Ja chyba też nie.

Choć tak naprawdę przestało ją obchodzić, gdzie się znajdowali. Było jej obojętne, czy będzie to tylne siedzenie furgonetki, czy komfortowe łóżko. Jej ciało płonęło i domagało się spełnienia.

Ujął ją za dłonie i przycisnął do nich usta. Caroline otworzyła powoli oczy i spojrzała na niego.

- Po co więc posunąłeś się tak daleko? - W jej głosie wyczuwał niechęć i zawód. - Chciałeś się tylko zabawić? - Podciągnęła się na siedzeniu i wyrwała dłonie z jego uścisku.

- Cholera... - zaklął pod nosem Joe. Gdyby wiedziała, ile go to kosztowało. - Bo się zagalopowałem - próbował się usprawiedliwić.

- Na to wygląda - rozzłościła się na dobre.

Wtedy chwycił jej dłoń i poprowadził ją między swoje nogi.

- Czy to wygląda na żart? - Pod wpływem tego dotyku, krew oszalała w jego żyłach.

Ona jednak natychmiast cofnęła dłoń.

- Nie prosiłam cię, żebyś przestawał - powiedziała z wyrzutem.

- Nie chciałem, żebyś swój pierwszy raz przeżyła w samochodzie. Czy to takie dziwne? Chcę, byśmy mieli dla siebie dużo czasu i swobodę - szepnął. - Kiedy już będę w tobie, nie mam zamiaru szybko się wycofać. Na nic nie zdałby ci się taki szybki numer i nie o to mi chodzi. Nic byś z tego nie miała, wierz mi.

Caroline nie odezwała się ani słowem. Odwróciła się do okna, zaplotła ręce na piersiach i uporczywie wpatrywała się w ciemność.

On też w końcu umilkł. Wkurzyła go. Zachowywała się jak niesforne, rozpieszczone dziecko i sam się dziwił, jak szybko potrafiła wyprowadzić go z równowagi. Był zły na siebie, że w ogóle jej dotknął, ale przyciągała go z tak magiczną siłą, że w żaden sposób nie udało mu się nad sobą zapanować. Dotąd nigdy nie miał podobnych problemów, zawsze kontrolował sytuację i swoje poczynania. W związkach z kobietami to on wodził prym i on decydował o tym, kiedy i na ile dopuści je do siebie oraz kiedy zakończy znajomość. Jeśli zaś chodzi o Caroline, już po pierwszym spotkaniu wiedział, że wywiąże się między nimi romans. Nie spodziewał się jednak takiego obrotu sprawy. To on przecież do tej pory dyktował zasady i nie

przyszło mu nigdy do głowy, że może być inaczej. Zawsze udawało mu się zachować zimną krew i trzeźwość umysłu. Dlaczego więc teraz z takim trudem panuje nad sobą? Co ma w sobie ta kobieta?

- Moja kwatery - odezwał się jako pierwszy - znajduje się w rejonie objętym szczególną ochroną. Nie mogę cię tam zabrać. U ciebie też nie powinienem zostawać na noc. Nie wyglądałoby to najlepiej. Ale jutro jest piątek, a ja mam przepustkę na weekend. Pojedziemy do Las Vegas, do hotelu, i spędzimy tam dwa długie dni.

Jaki bezczelny, pomyślała z wściekłością Caroline. Ciekawe, na jakiej podstawie wyobraża sobie, że wciąż jeszcze mam na niego ochotę? Chciało jej się płakać. Ten facet doprowadzał ją do szału, ta jego obrzydliwa pewność siebie i nonszalancja. Najgorsze w tym wszystkim jednak było dla niej to, że pragnęła go, pragnęła, by jej dotykał, pieścił ją i całował. Ta sprzeczność wywoływała w jej głowie wielkie zamieszanie, była zawiedziona własnym zachowaniem. Marzyła o tym, by móc mu wykrzyknąć, że to jego przekonanie o własnej męskiej wartości przyprawiają o mdłości i nie ma zamiaru poddawać się jego rozkazom, ale brakło jej na to siły. Wiedziała, że mogłoby to oznaczać ich ostatnie spotkanie, a tego jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić. Ten facet naprawdę miał wszystko i wszystkich pod kontrolą. Może należało się z tym pogodzić?

Była tak wściekła, że najchętniej udusiłaby go własnymi rękami.

- Świetny pomysł - rzuciła posepnie przez zaciśnięte zęby.

Ruszyli w drogę powrotną. Było bardzo ciemno, więc Joe koncentrował się na jeździe, podczas gdy Caroline siedziała naburmuszona, z nosem przytkniętym do szyby. Nie odzywali się do siebie i bynajmniej nie przypominali w niczym pary, która właśnie zdecydowała się na romans.

Kiedy znaleźli się pod jej domem, Caroline wyskoczyła z samochodu, nie czekając, aż podejdzie i otworzy jej drzwiczki. Szybkim krokiem ruszyła w stronę swojego mieszkania.

Joe, niewiele myśląc, pobiegł za nią. Nawet nie wyłączył silnika. Dogonił ją i złapał za rękę.

- Chwileczkę, a mój pocałunek na dobranoc? - upomniał się. Przyciągnął ją do siebie i po chwili ich usta zetknęły się ze sobą.

Próbowała stawiać opór, ale nie trwało to zbyt długo. Jego pocałunek był tak gorący, że zapomniała o swoim buncie i niechęci.

Uniósł dłonią jej podbródek i popatrzył na nią z pożądaniem. Jego oczy błyszczały.

- Nie pakuj nocnej koszuli - powiedział cicho, odwrócił się i ruszył w stronę furgonetki.

Stała w osłupieniu i patrzyła, jak wsiada do samochodu i odjeżdża.

- I tak nie miałam takiego zamiaru - burknęła pod nosem, ale on już tego nie słyszał.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Następnego poranka, gdy Caroline była już gotowa do wyjścia, zorientowała się nagle, że nie ma swojego identyfikatora. Przeszukała cały apartament, zaglądając nawet do lodówki i do kosza z brudną bielizną, lecz wszystko na nic. Przysiadła więc na łóżku, próbując spokojnie przypomnieć sobie, kiedy widziała go po raz ostatni. Siedziała tak przez jakiś czas, ale w głowie miała tylko pustkę. Kompletnie nie pamiętała, co z nim zrobiła i gdzie mógł się podziać. Wiedziała, że nie może poruszać się po bazie bez identyfikatora, nie dostanie się ani do biura, ani w ogóle nigdzie. Niemal wszędzie znajdowały się czytniki. Ogarnęło ją przerażenie na myśl, że mogła go zgubić. A odtworzenie go, w związku z obowiązującymi wymogami bezpieczeństwa, nie było możliwe. Pozostało więc ubiegać się o wydanie nowego, z nowym kodem, a cała sprawa nabrałaby rozgłosu, na którym Caroline wcale nie zależało. Szef całej bazy, generał Tuell, musiałby wyrazić swoją zgodę i w ogóle byłoby z tym mnóstwo zamieszania.

- Gdzie to paskudztwo się podziało? – mruzczała pod nosem, raz jeszcze przeglądając wszystkie rzeczy w swoim mieszkaniu.

Przecież nigdy nie wychodzi z domu bez identyfikatora, zawsze przypina go do bluzki. Czyżby pocałunki Joego do tego stopnia namieszały jej w głowie, że kompletnie straciła panowanie nad sytuacją? Nie mogła przestać myśleć o tym facecie i wiele zwykłych spraw poszło w zapomnienie. Może ten nieszczęsny identyfikator leżał teraz gdzieś na podłodze w



biurze... Zaraz, ale przy wyjściu musiała przecież wczytać swój kod. Więc może leży gdzieś na ulicy. Nie miała pojęcia, co ma o tym sądzić. Właściwie powinna zgłosić to ochronie, ale wtedy musiałaby stawić się do raportu, a tego wolała, póki co, uniknąć. Postanowiła, że zadzwoni do Cala i poprosi go o pomoc. Jeżeli nie będzie mógł jej pomóc, to trudno, stawi się do raportu.

Cal jakoś nie spieszył się z odebraniem telefonu. W końcu podniósł słuchawkę i odezwał się zaspianym głosem:

- Halo

- Cal? Tu Caroline. Bardzo przepraszam, że cię budzę, ale mam poważny problem: nie mogę znaleźć identyfikatora. Nie chciałam tak od razu tego zgłaszać, mam nadzieję, że rozumiesz. Pomyślałam, że może ty mi jakoś pomożesz.

- Co? - jęknął Cal. - Co ty mówisz? To ty, Caroline?

- Tak, Caroline. Czy ty w ogóle zrozumiałeś, co powiedziałam? Zgubiłam identyfikator! Śpisz jeszcze czy co?

- Nie śpię, nie śpię. Rozumiem. - Cal ziewnął przeciągle do słuchawki. - Mam ci pomóc w odnalezieniu twojego identyfikatora. Jak ci się udało go zgubić?

- Sama się zastanawiam - westchnęła Caroline.

- Dlaczego nie nosisz go na szyi? To najlepsze rozwiązanie.

Pewnie miał rację, ale ona nie znosiła łańcuszków, wisiorków i koralików. Pewnie jest trochę stuknięta, ale za to naprawdę bardzo ostrożna. Jak to się mogło stać?

- Caroline? Jesteś tam jeszcze?

- Jestem, ale powiedz, co mam robić? Podejrzewam, że mogłam zgubić go w biurze. Może wpadłbyś tam i się rozejrzył?

- Daj mi pięć minut - wymamrotał i ziewnął raz jeszcze. - Która jest godzina?

- Za piętnaście szósta.

- Rany boskie! - jęknął głośno Cal. - Co ty! Spać nie możesz? No dobra, poczekaj, ubiorę się i zaraz tam pójde. Ale pamiętaj,

jesteś moją dłużniczką, nie dla każdego chciałoby mi się zrywać w środku nocy.

- Dzięki - powiedziała cicho i odłożyła słuchawkę.

Wkrótce Cal stał u jej drzwi. Miał na sobie wygnieciony podkoszulek, spodnie od dresu i był nieogolony, a jego oczy, wciąż jeszcze lekko opuchnięte, wyglądały jak dwie wąskie szparki. Na szyi Cala, na srebrnym grubym łańcuszku dyndał sobie w najlepsze jego identyfikator. Bez słowa wszedł do środka i bezceremonialnie zaczął rozglądać się po pokoju.

- Oto on! - powiedział, tryumfalnie trzymając w ręku małą tabliczkę.

Caroline nie mogła wprost uwierzyć.

- Jak to? - bąknęła. - Skąd go masz?

- Był pod twoim biurkiem, leżał tuż koło nogi, może dlatego nie zauważyłaś - oświadczył Cal i z uśmiechem na twarzy wysłuchał jej dziękczynnej litanii.

- Po co tak wcześniej idziesz do pracy? - zapytał, wciąż jeszcze trochę nieprzytomny.

- Wcześniej? Zawsze zaczynam o tej porze. - Trochę ją zaskoczył tym pytaniem.

- No, no, no - gwizdnął przeciągle. - Chyba będę musiał zmienić zdanie o pułkowniku Mackenzie. Czyżby odstawiał cię do domu przed zmierzchem? Chyba jestem rozczarowany.

- Wydaje mi się, że praca jest dla niego najważniejsza, tak jak i dla mnie - wyjaśniła.

- No, no, coś takiego. Już nic nie rozumiem. Dobra, dobra, tylko uważaj, żebyś się nie przepracowała. Wracam do siebie. Muszę się umyć, ogolić i jakoś postawić na nogi. W tym celu wypiję chyba wiadro kawy. Pamiętaj, dziś pełna koncentracja, będziemy robić testy z ruchomymi celami. To wielka odpowiedzialność, a ja ledwo widzę na oczy.

Caroline złożyła na jego zarośniętym policzku szybki pocałunek.

- Wielkie dzięki, Cal. Przepraszam, że cię zbudziłam, ale taka byłam przerażona. Sam wiesz, ile by to trwało, żeby wyrobić nowy identyfikator. I te wszystkie tłumaczenia, przesłuchania...

- Nie ma sprawy, naprawdę nie ma sprawy, Caroline. - Puścił do niej oczko i rzucił jej szelmowskie spojrzenie. - Ale powiedz, dlaczego właściwie nie zadzwoniłaś do Adriana?

- Wołałabym już chyba pluton egzekucyjny- roześmiała się Caroline.

- No, trudno, nie ma chłopak szczęścia. - Pomachał jej ręką, odwrócił się i szybko wyszedł.

Caroline odetchnęła z ulgą. Zaciśnęła rękę na identyfikatorze. Dzięki Bogu znalazł się, pomyślała.

O szóstej trzydzieści, kiedy przeglądała plan testów, usłyszała, że ktoś pogwizduje na korytarzu skoczne melodyjki. Jeszcze nim pojawił się w drzwiach, poznała, że to Joe. Miał na sobie kombinezon i to uzmysłowiło jej, że już wkrótce będzie uczestniczył w bardzo niebezpiecznej akcji. Serce podskoczyło jej do gardła, ogarnęła ją prawdziwa panika. Nagle zdała sobie sprawę, że podczas każdego z tych testów mogą wystąpić nieprzewidziane okoliczności, że za każdym razem Joe naraża swoje życie, mimo że zawsze był pewny siebie i nie okazywał najmniejszego nawet niepokoju. Wiedziała, że Joe kocha to, co robi, tę zastraszającą prędkość i przerażające ryzyko. Mówił, że czuje się jak wolny ptak, przekonany o swojej nieśmiertelności... No tak, ale przecież był tylko człowiekiem. Obawiała się o niego.

- Nic nie mówiłeś, że dzisiaj testujesz... - Te kilka słów ledwo przeszło jej przez zaciśnięte gardło.

Uniósł brew.

- Owszem, testuję. A co w tym dziwnego? Przecież to moja praca - dodał z uśmiechem.

I co mu miała na to odpowiedzieć? Ze jest przerażona, że boi się o niego, bo właśnie zdała sobie sprawę, że to, co on robi, jest śmiertelnie niebezpieczne? Nie miała prawa mu tego

mówić, a tym bardziej zarażać go swoim strachem. Właściwie nic ich jeszcze nie łączyło. Póki co, to była tylko taka zapowiedź romansu, czegoś, co być może się wydarzy, a być może nie...

W końcu jakoś się pozbierała.

- Nie, nic, ja tylko... sama nie wiem... Tak niesamowicie wyglądasz w tym kombinezonie, że obleciał mnie strach. Co masz pod spodem? – zainteresowała się nagle.

Zadziałało. Joe uniósł teraz do góry brwi i spojrzał na nią pytająco.

- Podkoszulkę i bokserki - odparł po chwili. - A co, myślałaś, że jestem nagi?

- Nie, nic takiego. Po prostu byłam ciekawa, co wkłada się pod spód... zresztą to bez znaczenia - zmieszała się nagle.

- I pomyśleć, że właśnie udało mi się skoncentrować... Najlepiej będzie, jeśli stąd znikniesz i dasz mi trochę popracować.

- Świetnie, ja po wczorajszym wieczorze w ogóle nie mogłam się za nic wziąć - powiedziała z wyrzutem. Po chwili jednak zdała sobie sprawę, że Joe ma przed sobą nieco inne zadanie niż ona i zrobiło jej się głupio. Trzeba mi było lepiej ugryźć się w język, skarciła się w duchu. - Okej, już znikam - dodała potulnie.

Joe chwycił ją jednak za rękę i mocno, namiętnie pocałował.

- Nie dałaś mi spać dzisiejszej nocy - szepnął z pretensją i raz jeszcze ją pocałował. - Co założysz na wieczór?

- Nie mam pojęcia - wyjąkała. - Nie zastanawiałam się jeszcze.

- Masz rację, to i tak nie ma znaczenia, bo gdy tylko znajdziemy się w hotelu i tak wszystko z ciebie zedrę.

Jeszcze nigdy jego oczy nie były tak niebieskie i tak płomienne. Po jej plecach przemknął rozkoszny dreszcz. Zwilżyła lekko wargi i przymknęła na moment oczy. Kiedy je wreszcie otworzyła, nie było go już przy niej.

Boże, nie wyspał się i będzie teraz rozkojarzony, pomyślała z przestraczem. I to przez nią. Nigdy by sobie nie wybaczyła, gdyby... Nie, nie może. o tym myśleć. Otrząsnęła się. Jest niepokonany w tym, co robi, na pewno da sobie radę. Latanie to przecież jego największa miłość i całe jego życie.

Siedziała w biurze, w oczekiwaniu na resztę ekipy, gdy nagle zjawił się Adrian. No nie, pomyślała, tego mi jeszcze brakowało. Normalnie Cal był zawsze przed nim, ale dziś, no tak, dziś zakłóciła jego poranny harmonogram i teraz ma za swoje. Adrian bąknął cicho „dzień dobry” i nalał sobie kawy. Na szczęście wyglądało na to, że nie jest w nastroju prowadzić z nią jakieś gierki. Zresztą dziś akurat było jej to obojętne. Miała tak zaprzątnięte myśli tym, co wydarzy się za chwilę i potem wieczorem w hotelu, że i tak na jego zaczepki pewnie nie zwróciłaby uwagi.

- Co, marzysz o ukochanym? - odezwał się w końcu Adrian. Jak zwykle ton jego głosu brzmiał nieprzyjemnie.

- Słucham? - zapytała nieprzytomnie i zatrzepotała rzęsami.

- Pytałem, czy marzysz o ukochanymi - powtórzył dobitnie. - Muszę przyznać, że jestem trochę zaskoczony, sądziłem, że nie lubisz mężczyzn. A może to potrzeba odmiany?

Posłała mu lodowate spojrzenie i nagle przyszedł jej do głowy świetny pomysł. Wydawało się jej, że to jedyne, co może naprawić stosunki między nimi.

- Zastanawiałaś się kiedyś nad tym, że zawsze byłam sporo młodsza od swoich szkolnych kolegów, że i zawsze traktowano mnie jak kogoś, kto nie dorósł do pewnych spraw? Na studiach było to samo. Nie brałam udziału w żadnych studenckich imprezach i przyjęciach, bo byłam zwyczajnie za młoda. A potem, ze względu na brak doświadczenia, robiłam wszystko, żeby utrzymać mężczyzn na odpowiedni dystans. Po prostu bałam się ich... Przyszło ci to kiedyś do głowy? - Caroline była z siebie zadowolona. Jej wyznanie było czyste i klarowne. Nikt

nie mógłby jej zarzucić, że kłamie. Spojrzała na Adriana. Jego oczy wyrażały niepomierne zdziwienie.

- To co, chcesz powiedzieć, że bałaś się także i mnie? - zapytał z niedowierzaniem.

- A jak myślisz? Atakowałeś mnie nieustannie i nie potrafiłeś zaakceptować odmowy.

- Bez przesady, brzmi to tak, jakbym był co najmniej gwałcicielem! - wykrzyknął.

- A niby skąd miałam wiedzieć, kim jesteś, a kim nie jesteś? Gdybyś nie był taki namolny i tak cholernie pewny siebie, to może dotarłoby do ciebie, że jestem zwyczajnie przerażona.

- Nie okazywałaś tego.

- Jasne, tego by jeszcze brakowało! - Stała naprzeciw niego, ciskając z oczu błyskawice. - Jeśli chcesz wiedzieć, pułkownik Mackenzie był pierwszym mężczyzną w moim życiu, który nie próbował zdobyć mnie szturmem i nie zachowywał się jak wygłodniałe zwierzę. - Oszczędziła sobie kilku kolejnych uwag, które zdecydowanie nie były przeznaczone dla uszu Adriana. - I mam dosyć twoich wrednych uwag pod moim adresem, rozumiesz? Następnym razem wepchnę ci je z powrotem do gardła. Jasne?

- Więc co, może powinienem czuć się winny? Nie masz tego, o czym teraz mi mówisz, wypisanego na czole... I wiedz, że nie tylko ty masz problemy. Inni ludzie też. Właśnie przeszedłem przez koszmarny rozwód i mam wszystkiego dość. Moja żona zostawiła mnie dla jakiegoś zdechlaka, który ma dwa razy więcej kasy, więc wybaczone, proszę, jeśli nie dostrzegłem tych wszystkich niuansów twojej delikatnej psychiki. Ale do ciebie nie dociera najwyraźniej, że inni, a więc i ja, także mają uczucia.

- Świetnie, zatem jest remis. - Z impetem usiadła na krześle przy swoim biurku. - A więc możesz się wreszcie ode mnie odczepić.

- Z przyjemnością - syknął Adrian.

Odczekała chwilę, aż uspokoił się jej oddech.

- A z powodu twojej żony jest mi naprawdę przykro - dodała już spokojniej.

Adrian wyprostował się i oparł o fotel.

- Przepraszam, jeśli cię wystraszyłem - powiedział i spojrzał na nią jakoś inaczej, jakoś cieplej. - Naprawdę nie miałem takiego zamiaru.

- Nie ma sprawy - mruknęła pod nosem.

Coś jeszcze dopowiedział, ale już nie dosłyszała. W każdym razie odetchnęła z ulgą i miała nadzieję, że ta krótka wymiana zdań oczyści nieco atmosferę między Adrianem i nią. Wzięła trzy głębokie oddechy i zabrała się do pracy.

Wkrótce pojawili się w biurze pozostali pracownicy. Caroline zauważyła, że Cal wciąż jeszcze jest zaspany. Ale nie wyglądało na to, żeby był na nią zły. Uśmiechnął się do niej i puścił oczko.

Po chwili wszyscy udali się do pomieszczenia kontroli lotów. Piloci, w pełnej gotowości, czekali już na nich. Joe Mackenzie i kapitan Bowie Wade mieli wziąć Nocne Jastrzębie, a Daffy Deale i Szalony Kot mieli dosiąść F-22.

Caroline z ulgą stwierdziła, że Joe jest całkowicie skoncentrowany na zadaniu, które miał za chwilę wykonać. Próbowwała nawet nie patrzeć w jego stronę, żeby go nie rozpraszać. Ale wcale nie było to takie proste, bo przyciągał jej wzrok z jakąś magiczną siłą. Był jak prawdziwy wojownik: chłodny, opanowany i śmiertelnie niebezpieczny. Tak go odbierała i wiedziała, że to nie wyobraźnia podsunęła jej ten obraz. Wszyscy wiedzieli, że pułkownik Mix nie zna strachu. Miała wrażenie, że to ona boi się i za niego, i za siebie, zdawało jej się, że nie może oddychać, że strach całkowicie ją sparaliżował. Nie było sensu dłużej się okłamywać. Kochała tego nieustraszonego wojownika. Po raz pierwszy w życiu kochała mężczyznę. To dlatego tak bardzo bała się o niego, w tym tkwiła prawdziwa przyczyna jej przerażenia.

Kiedy Joe i trzech inni piloci wychodzili z pokoju, odwróciła wzrok. Najchętniej rzuciłaby się za nim i nie pozwoliła mu nigdzie odejść. Gdyby dostrzegł jej przerażone oczy, i jemu mógłby udzielić się ten niepokój. A on potrzebował teraz spokoju i absolutnej koncentracji.

Zdawała sobie sprawę, że wszystkie uczucia wypisane ma na twarzy. Spojrzała na ekran. Każdy z nich wsiadł do swojej maszyny i po chwili wszyscy czterej oderwali się od ziemi. Już po kilku minutach gotowi byli do przeprowadzenia testów.

Caroline zawsze liczyła się z tym, że w czasie testowania prototypu samolotu mogą pojawić się jakieś problemy. Z jej doświadczenia wynikało, że ! w praktyce żaden system nie pracuje tak, jak wcześniej przewidywano. Jednak, jako że ostatnie testy wypadły bardzo pomyślnie, udało jej się zdobyć na nieco większy optymizm. Była więc dobrej myśli, miała nadzieję, że i tym razem nie pojawią się żadne kłopoty.

Niestety, już po kilku minutach zaczął wariować system naprowadzania na cel. Nikt nie był na to przygotowany, bo przecież poprzednim razem funkcjonował bez zarzutu. Caroline z wypiekami na twarzy śledziła dalszy przebieg wydarzeń. Pułkownik Mackenzie jednak nigdy nie tracił głowy, nigdy nie wpadał w panikę. Nie rozumiała, jak w takiej sytuacji można było zachować zimną krew. Ale on wydał tylko krótką komendę:

- Powrót do bazy! I już wkrótce cztery testowane maszyny stały w hangarach.

Gdy trzech piloci, trochę bladzi i zmieszani, znaleźli się w pomieszczeniu kontrolnym, pułkownik Mackenzie wyjaśnił:

- W poniedziałek powtórzymy testy. Mam nadzieję, że do tego czasu uda się wykryć przyczynę zakłóceń podczas dzisiejszych lotów.

Powiedział, co wiedział, pomyślała Caroline, i sobie poszedł. Żadnych ceregieli, żadnych uśmiechów, żadnego powitania.

- No, no, no - Cał gwizdnął przeciągle. - Nieźle.



Yates westchnął ciężko, a wszyscy wyglądali tak, jakby uszło z nich powietrze.

- No dobra, nie ma co tak stać, wkładamy kombinezony i idziemy do hangaru - powiedział w końcu Yates. - Musimy dać z siebie wszystko, jasne?

Jasne, że jasne, przyznała w duchu Caroline. Jej mózg teraz już pracował na najwyższych obrotach. Co też to mogło być? Może jakaś awaria czujników zamontowanych w hełmach pilotów, a może... jakieś drobne spięcie, albo któryś z kondensatorów? Ale dlaczego aż w dwóch maszynach narazi? Spojrzała na Cala. I on pogrążony był w myślach. Właściwie to ten dzień od samego początku nie zapowiadał się dobrze. Czyżby i wieczór, który zamierzała spędzić z Joem, też miałby być nieudany?

Pracowali już od wielu godzin bez przerwy, uważnie i systematycznie kontrolując po kolei wszystkie urządzenia. Ale każde urządzenie z osobna zdawało się funkcjonować bez zarzutu. Jak dotąd więc nie udało im się znaleźć przyczyny, z powodu której mogłyby zawieść lasery uruchamiające systemy sterowania na ruchome cele.

W hangarze, jako że było już po południu, zrobiło się piekielnie gorąco. Mimo klimatyzacji temperatura przekraczała czterdzieści stopni. Cal jako jedyny dłubał coś jeszcze przy jednym z urządzeń. I nagle rozległo się jego głośne wołanie:

- Mam, ludzie, mam!

Okazało się, że w mechanizmie uruchamiającym lasery było małe przebicie. Usterka była na szczęście na tyle niewielka, że bez trudu poradzili sobie z jej usunięciem.

- Żeby nad czymś takim spędzić tyle godzin w tym wściekłym skwarze - jęknął Adrian.

Caroline miała wrażenie, że za chwilę ujdzie z niej życie. Była skrajnie wyczerpana. Nie ma co, pomyślała ze złością, cudowny dzień na romantyczne uniesienia. Dosłownie się lepiła, była wykończona i głodna. Pomacała się po kieszeni i

gdy z całą pewnością stwierdziła, że jest w niej identyfikator, pożegnała się i ruszyła do siebie. Długi chłodny prysznic przyniósł jej niejaki ukojenie. Wyjęła z szafy torbę podróżną i wepchnęła do niej bez większego namysłu kilka rzeczy: jakieś ubrania, kosmetyki i buty. Zjadła dyżurny jogurt, który zawsze w razie czego czekał na nią w lodówce, i położyła się na kanapie.

Krótko po szóstej usłyszała pukanie do drzwi. Od dłuższego czasu była już gotowa, jedynie miała jeszcze trochę wilgotne włosy.

- Cześć, pułkowniku - powiedziała niezbyt przyjaźnie. - Pracowaliśmy do późnego popołudnia, bez przerwy na lunch, i muszę przyznać, że jestem ledwo żywa. Na szczęście okazało się, że to było jakieś głupstwo, po prostu małe przebicie, ale tyle godzin w tym upale zrobiło mi wodę z mózgu. Wszyscy padaliśmy już na nos - wyrzucała z siebie, nie dopuszczając go do głosu. - Byliśmy tak zmęczeni i głodni, że trudno było się w tych warunkach skoncentrować.

Oparł się o futrynę i patrzył na nią z lekkim uśmiechem na ustach.

- Zawsze się tak złościysz, kiedy jesteś zmęczona i głodna?

- Jasne, że tak! To chyba oczywiste. A co, może wydaje ci się to dziwne?

- Nie, dlaczego, ale nie każdy reaguje w ten sposób. No już dobrze, chodź - ujął ją za rękę i wziął stojącą na podłodze torbę - pójdziemy coś zjeść i zaraz poprawi ci się humor.

- Mam mokre włosy.

- To nic, jest gorąco, wyschną ci w czasie jazdy. Wzięłaś wszystko?

- Nie mam pojęcia, czy wszystko. Coś tam wzięłam, ale nie pytaj mnie o szczegóły.

- Masz rację, najwyżej coś się dokupi.

Caroline, jak zwykle przed wyjściem, rozejrzała się po mieszkaniu, by sprawdzić, czy na pewno wszystko jest

powyłączane z kontaktu. Potem zamknęła drzwi, a klucz wrzuciła do kieszeni.

- W porządku, wygląda na to, że jestem gotowa - powiedziała z nieukrywanym zadowoleniem.

Joe postawił torbę na tylnym siedzeniu i pomógł Caroline wsiąść do furgonetki. Kiedy nachylił się nad nią, przeszła go fala gorąca. Miała na sobie lekką bluzkę i spódnicę. Pomyślał, że cudownie byłoby wsunąć teraz rękę pod tę spódnicę i popieścić jej uda, ale szybko zapanował nad sobą. Wiedział, że mogłoby to wszystko popsuć. Uśmiechem chciał pokryć swoje nieczne myśli, ale zdradziły go oczy, które lśniły pożądaniem. Caroline dostrzegła to i poczuła w sobie jakiś dziwny głód, inny niż ten przed chwilą. Serce zaczęło jej mocniej bić, a oczy zaszły mgłą. Gdy już siedziała, Joe delikatnie pogładził ją po udzie i pytająco spojrzął jej w oczy, jednoznacznie dając do zrozumienia, co chciałby teraz zrobić.

Z piersi Caroline wydobył się cichy pomruk.

- Najpierw musisz coś zjeść - szepnął zadowolony z tak uroczej odpowiedzi. - Z tym możemy jeszcze trochę poczekać, choć wcale nie będzie to łatwe.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Była tak głodna, że zjadłaby wszystko, co by jej podano, a do tego miała szalone zamieszanie w głowie. W ogóle z pobytu w restauracji pamiętała tylko tyle, że wino było wyśmienite i że mężczyzna, z którym miała już wkrótce iść do łóżka, cały czas siedział naprzeciwko i nie spuszczał z niej ani na chwilę oczu. Igrały w nich niebezpieczne ogniki; na tyle niebezpieczne, że nie potrafiła przestać myśleć o tym, co miało się wkrótce wydarzyć.

I jego myślami całkowicie zawładnęły erotyczne marzenia. Zresztą wcale nie usiłował się z tym kryć, chciał, żeby Caroline widziała to i czuła.

A można było to dostrzec w każdym jego geście i słowie, w niskiej, miękkiej barwie głosu, i kiedy jego wzrok ześlizgiwał się wzdłuż jej ciała w dół, poświęcając szczególną uwagę jej ustom, szyi i piersiom.

Czuła, jak rozbiera ją wzrokiem, jak ją pieści i całuje, i zapragnęła całą sobą, by się to wreszcie stało, by wreszcie do niego należeć. Każda sekunda, która oddalała ją od momentu spełnienia doprowadzała ją do pasji; nienawidziła każdego dzielącego ich centymetra. Po skończonym posiłku siedzieli bez słowa, wpatrując się w siebie.

- Na co właściwie czekamy?- Caroline nie wytrzymała i odezwała się pierwsza.

- Żebyś się wyciszyła - szepnął. - Żeby zapadła ciemna noc i żeby nic wokół nie było widać. Ciemność sprawi, że poczujesz się pewniej.

- Skąd wiesz, że mi na tym zależy? - Wstała z miejsca i przybrała bojową postawę. - Może uda ci się znaleźć jakiś inny sposób, bym się zrelaksowała.

Zapadło milczenie. Joe uniósł się powoli z krzesła i wolno podszedł do kelnera, by zapłacić rachunek.

Na zewnątrz było gorąco i parno. Zachodzące słońce pokryło wszystko purpurową poświatą. Piękny był taki świat i tajemniczy. Caroline przypomniała sobie horror dzisiejszego poranka, kiedy Joe miał kłopoty z maszyną. Na samo wspomnienie przeszył ją dreszcz i ogarnęło przerażenie. Tak bardzo bała się o niego... Wiedziała jednak, że nigdy mu się do tego nie przyzna.

Zaparkowali przed Hiltonem, w którym Joe zarezerwował dla nich apartament. Zgłosili się w recepcji i już po chwili wjeżdżali windą na górę. Portier postawił ich bagaże w przedpokoju, odsłonił kotary i zniknął z pięciodolarowym banknotem w rękę, cicho zamykając za sobą drzwi.

Caroline stała na środku salonu i starała się nie patrzeć w kierunku sypialni i olbrzymiego łóża, które widoczne było przez uchylone drzwi.

Joe wolno podszedł do niej i zaczął bez słowa rozpinąć jej bluzkę i spódnice. Po chwili spódnica zsunęła się na podłogę, bluzka i biustonosz pofrunęły za nią, a Caroline została tylko w koronkowych majtkach. Joe wziął ją na ręce i ruszył do sypialni. Położył ją na łóżku, zaciągnął zasłony i wyjął z torby pudełeczko z prezerwatywami.

- Aż tyle?- jęknęła z przerażeniem.

- Nigdy nie wiadomo - mruknął tajemniczo Joe i jednym zgrabnym ruchem ściągnął z niej stringi.

Z jej piersi wyrwał się cichy sprzeciw, ale gorące spojrzenie jego błękitnych oczu natychmiast ukoilo jej lęk. Patrzył przez chwilę, studiując jej zgrabne, ponętne ciało, a potem pochylił się nad nią i dotknął ustami jej sterczących brodawek. Z satysfakcją patrzył, jak wstrząsa nią dreszcz rozkoszy i jak jej oddech staje się coraz bardziej urywany. Piersi miała krągłe i jędrne, a teraz pod wpływem pieszczot zrobiły się jeszcze pełniejsze i jeszcze twardsze. Jego ręce zaczęły niespokojną

wędrówkę wzdłuż jej bioder i nóg, by dotrzeć po jakimś czasie między uda. Nagle wstał i zrzucił z siebie ubranie. Znowu czas jakiś mierzył ją wzrokiem, a potem nagle pochylił się i z całej siły przywarł do jej ust.

Podniecała ją ta jego przeogromna siła, żelazne mięśnie, potężna klatka i płaski brzuch. Tyle zdołały wybadać jej nieśmiałe jeszcze ręce. Lecz już po chwili zapomniała się bez reszty, zdawało się jej, że jego dłonie są dosłownie wszędzie. Czując narastającą rozkosz, nie protestowała, kiedy znalazły się między jej udami, i kiedy zaczęły pieścić to najczulsze miejsce.

O niczym innym nie marzył, jak tylko o tym, by być już w niej, ale chciał ją dobrze przygotować, by sprawić jej jak najmniej bólu. Wreszcie sięgnął w kierunku nocnej szafki i wyciągnął z pudełka prezerwatywę.

- Nie, nie tym razem - szepnęła. - Proszę, chcę cię czuć.

Odłożył zawiniątko, pochylił się nad nią i mocno ją pocałował.

Tak bardzo go pragnęła, chciała należeć do niego, tylko do niego.

- Teraz, zrób to teraz, nie chcę już dłużej czekać - powiedziała błagalnym głosem.

- Tak, kochanie, teraz. - Wsunął się pomiędzy jej uda i zaczął cicho szeptać uspokajającym tonem: - Ciii, nie bój się, będę delikatny, ciii...

Była nadszpiewanie wąska. Poczuł, jak wbija mu paznokcie w ramiona. Och, jakież to słodki ból, pomyślał. Jeden mocniejszy ruch i było po wszystkim. Usłyszał, jak cichutko krzyknęła, ale nie pozostawił jej czasu, wiedział, że tak jest lepiej. Poza tym nie mógłby już nad sobą zapanować. Poruszał się z początku powoli i miarowo, a potem coraz szybciej i intensywniej. Ciało Caroline wygięło się w łuk, a jej oddech stał się głośny i ciężki.

- Tak, kochanie, tak - szeptał jej do ucha. – Jesteś cudowna, właśnie tak. Czujesz, czujesz mnie? To dobrze, a teraz uważaj...

Wykonał jeszcze kilka mocnych ruchów i nagle jakaś dzika, nieopisana rozkosz ogarnęła całe jej ciało. Z jej piersi wyrwał się głuchy jęk. Dłużej nie wytrzymał i po chwili powietrze rozdarł ochryply krzyk wydobywający się z jego krtani. Nigdy wcześniej nie przeżył czegoś podobnego. Czuł się tak, jak gdyby ich złączone ciała przeszła błyskawica. Cały świat zdawał się wirować w zawrotnym tempie. W końcu opadł obok niej, wzdychając głęboko. Caroline długo jeszcze nie mogła powrócić do rzeczywistości. Wciąż drżała na całym ciele i wciąż miała zamknięte oczy, jakby chciała zatrzymać tę chwilę na zawsze.

- Caroline... - Joe pogładził ją po policzku i pocałował. - No co, moja mała, wszystko w porządku? - zapytał troskliwie.

Pokiwała głową, ale nadal nie była w stanie zmusić się do wypowiedzenia choćby jednego słowa.

Przytulił ją do siebie i czas jakiś leżeli tak, stanowiąc jedno ciało i jedną duszę.

Kiedy się wyciszyła i ukoila w jego ramionach, raz jeszcze cmoknął ją w czoło i poszedł do łazienki. Musiał wziąć chłodny prysznic, było naprawdę piekielnie gorąco. Gdy wrócił z wilgotnym ręcznikiem okręconym wokół bioder, Caroline leżała jeszcze w łóżku.

Zdjął ręcznik i zaczął delikatnie pocierać nim jej ręce, nogi, brzuch. Powinna czuć się zawstydzona, ale jakoś nie była. Kilka razy przeciągnęła się jak zaspany kociak, a kiedy skończył, zwinęła się w kłębek.

- Bardzo tu nabrudziłam? - zapytała po chwili.

- Nie, tylko trochę - powiedział i pogładził delikatnie jej pośladki. Nigdy wcześniej tak bardzo nikogo nie pożałował i nie czuł się dla nikogo taki ważny. Sam się dziwił, że nie przeraził Caroline swoją dzikością. Niejedna kobieta zwyczajnie by

przed nim uciekła. Ale nie Caroline. Wcześniej nigdy się tak nie zachowywał, zawsze miał sytuację pod kontrolą. A tym razem nic się nie liczyło, przestał się kontrolować. Przecież Caroline równie dobrze mogła zająć w ciąży. Powinien być wściekły na siebie, ale jakoś mu to nie wychodziło. Uczucie spełnienia było tak wszechogarniające, że nie żałował niczego. A sama myśl, że Caroline mogłaby nosić jego dziecko, spowodowała, ku jego własnemu zdziwieniu, że znowu poczuł podniecenie. Spojrzał na nią czule i przykrył ją prześcieradłem. Zasnęła.

Odniosł ręcznik do łazienki i po chwili wśliznął się do łóżka, obok Caroline. Gdy poczuła jego gorące ciało tuż przy swoim, zaczęła mruczeć jak kotka i przyłgnęła do niego, wtulając twarz w jego mechaty tors. Objął ją ramionami i po chwili oboje zasnęli.

Zbudził się po jakichś dwóch godzinach. Czując pod palcami jej rozgrzaną, aksamitną skórę, miał wrażenie, że nigdy się nie nasyci tą niezwykłą kobietą. Był całkowicie gotów do dalszego boju. Jego spragnione ręce zaczęły się niespokojnie poruszać wzdłuż jej ponętnego ciała i po chwili zbudził ją tymi pieszczotami.

Caroline poczuła, że znowu jest gotowa na przyjęcie mężczyzny, którego kochała. Tym razem jednak Joe sięgnął po zabezpieczenie, a ona nie protestowała. Jęknęła, kiedy w nią wszedł, ale już wkrótce w ciszy pokoju słychać było ich urywane oddechy, głębokie westchnienia, aż do jęku spełnienia. Potem znowu zasnęli w objęciach. Po trzecim razie, kiedy Joe opadł bez tchu na poduszkę, zastanawiał się, czy taki głód może kiedykolwiek przejść.

Następnego poranka, gdy Joe otworzył oczy, było już dobrze po ósmej. Słońce stało wysoko i przedzierało się do pokoju przez grube zasłony. Panował w nim jednak nadal półmrok i przyjemny chłód. Czuł w mięśniach słodkie zmęczenie po tej rozkosznej, gorącej nocy. Przez przymrużone oczy spojrzął na



Caroline. Wciąż jeszcze spała zwinięta w kłębek i zwrócona twarzą do niego. Czas jakiś przyglądał się jej delikatnym rysom i filigranowemu ciału. Była piękna. Zastanawiał się, jak taka drobna istota wytrzymała uniesienia ostatnich kilku godzin, a sądząc po tym, jak wyglądało łóżko, odbyła się tu naprawdę rozkoszna zabawa. Kołdra i poduszki leżały bezładnie porzucane, częściowo także na podłodze, a pościel była zmierzwiona i wygnieciona. Caroline naciągnęła na siebie kawałek kapy, której większa część spoczywała na dywanie. Wokół łóżka rozsiane były ich ubrania.

- Nieźle - mruknął pod nosem i uśmiechając się, podrapał się po głowie.

Nagle zdał sobie sprawę, że jest okropnie głodny. Poglądził więc Caroline po włosach i z nadzieją, że ją obudzi, głośno zapytał:

- Hej, śpiochu, nie jesteś głodna?- Powiedz, że tak, jeżeli nie chcesz, żebym umarł z głodu. No, co zjesz na śniadanie? Zamówimy coś do pokoju, a później możemy się razem wykapać. Co ty na to?

Caroline otworzyła jedno oko.

- Poproszę kawę - powiedziała, przeciągając się.

Była wciąż jeszcze mocno zaspana.

- Kawę i co? - dopytywał się Joe.

- No i coś do zjedzenia - ziewnęła przeciągle i znowu zamknęła oko.

- To znaczy?- Zechce pani sprecyzować zamówienie?

- Okej, nic zielonego. Rano nigdy nie jem zieleniny - wyjaśniła. - Czy to dość precyzyjne?

Joe popatrzył na nią trochę zdziwiony, ale wkrótce uświadomił sobie, że przecież i on nie jadał rano żadnych warzyw. Po chwili zrozumiał, że nic więcej nie uda mu się z niej wycisnąć. Wykręcił numer do serwisu hotelowego i zamówił jajka na bekonie, grzanki, kawę i sok pomarańczowy.

Śniadanie miało być za jakieś pół godziny, mieli więc wystarczająco dużo czasu, żeby doprowadzić się do porządku.

Pochylił się nad Caroline i pocałował ją w czubek głowy.

- Pryszyć czy wanna? - próbował ją dobudzić.

- Wanna - mruknęła Caroline. - Nie mam siły stać pod prysznicem.

Poszedł do łazienki i odkręcił kurki z wodą. Mimo że wanna była olbrzymia, napełniała się wodą w zadziwiająco szybkim tempie. Wrócił więc do sypialni i wziął Caroline na ręce.

Zaplotła ręce wokół jego szyi, cichutko jęknęła i lekko skrzywiła się, marszcząc nosek.

- Coś cię boli? - zapytał z przejęciem.

- Nie, nie, chyba nie jest aż tak źle - odparła trochę zmieszana. - Po prostu nie mogę chodzić.

Joe, wciąż trzymając na rękach Caroline, wszedł do wanny i powoli usiadł. Westchnęła głęboko, kiedy jej obolałe ciało zetknęło się z ciepłą wodą. Przez moment wyrzucała sobie, że jest bezwstydną, i że powinna się czuć nieswojo. Jednak ta intymność, która połączyła ich ostatniej nocy, wcale jej nie krępowała. Wiedziała, że tak właśnie powinno być. W końcu nie było się czego wstydzić, należała do niego, był jej mężczyzną, więc dlaczego miałyby czuć się przy nim zażenowana?

Joe namydlił gąbkę i zaczął nią delikatnie pocierać najpierw jej ramiona, potem plecy, piersi, brzuch, aż wreszcie dotarł do tych najbardziej intymnych części ciała i poświęcił im nieco więcej uwagi niż pozostałym. Przeszył ją dreszcz podniecenia, lecz nie miałyby teraz siły kompletnie na nic. Wzięła więc z jego ręki gąbkę i zaczęła powoli obmywać jego muskularne ciało.

- Umyć cię całego, to nie lada sztuka – westchnęła ciężko. - Zwłaszcza gdy człowiek jest zmęczony - dodała dla wyjaśnienia.

Po chwili usłyszeli mocne stukanie do drzwi.

- To z pewnością serwis hotelowy- powiedział Joe.

- Wreszcie przynieśli śniadanie. - Prędko się opłukał i wstał.

Wyszedł z wanny, włożył szlafrok i podszedł do drzwi.

Nie mylił się. I już po chwili wózek z jedzeniem znalazł się w sypialni.

Nozdrza Caroline podrażnił aromatyczny zapach kawy. Nie była w stanie mu się oprzeć. Wyszła szybko z wanny, owinęła się ręcznikiem i weszła do pokoju.

Joe spojrział na nią z zachwytem. Taka naturalna, bez makijażu, z rozczochranymi włosami wyglądała jeszcze piękniej niż zwykle. Była po prostu urzekająca. Nic dziwnego, że faceci, z którymi pracowała, dostawali na jej punkcie bzika i nazywali ją królową piękności. Ale to nie chodziło tylko o jej urodę. Caroline miała w sobie coś zmysłowego, nawet kiedy jadła. Z apetytem pochłaniała wszystko, co wpadło jej w rękę, zachowując się jak młody, wygłodniały wilczek. Patrząc, jak ona je, czuł, że znowu rośnie w nim pożądanie.

Po śniadaniu Caroline oparła się wygodnie o poduszkę i westchnęła leniwie.

- Co mamy w planach na dziś? - zapytała, jakby nigdy nic.

Joe uniósł ze zdziwieniem jedną ze swoich ciemnych brwi, a jego oczy zapłonęły jasnym blaskiem. Dostrzegła w nich niebieski ogień.

- Nie należy liczyć się z tym, że opuścimy ten apartament przed końcem weekendu - wyjaśnił z uśmiechem. - Chyba że skończą się nam prezerwatywy - dodał rzeczowo.

- Och, to dla ciebie chyba żaden problem. - Z uśmiechem łypnęła na niego okiem. - Jak znam twoją życiową zaradność, poprosisz obsługę hotelową, żeby ci dostarczyła kolejne pudełko, prawda? - zapytała zadziornie, spoglądając mu prosto w oczy, po czym wybuchła głośnym śmiechem, widząc jego przerażoną minę.

## **ROZDZIAŁ ÓSMY**

Z całą pewnością był to zupełnie wyjątkowy weekend dla Caroline i ten obcy hotelowy apartament w mgnieniu oka zmienił się w przyjazne i bliskie pomieszczenie, zwłaszcza że faktycznie nie opuścili go przez te dwa dni ani na chwilę. Śniadanie przyniesione przez służbę hotelową było nie tylko bardzo wykwintnie podane, ale także wyjątkowo smakowicie przyrządzone. Niby zwykła jajecznica, żaden cymes, a jednak tym razem wydawała się Caroline naprawdę wyśmienita.

Siedzieli więc naprzeciw siebie i delektowali się każdym kęsem, raz po raz mlaskali smakowicie, śmiejąc się przy tym i przekomarzając nawzajem.

To najrozkoszniejsze śniadanie mego życia, pomyślała w pewnej chwili Caroline. Nie miała doświadczenia z mężczyznami, ale czuła, że takie rzeczy zdarzają się naprawdę rzadko. Ich wzajemne pożądanie zdawało się nie mieć końca.

Jeszcze bardziej zadziwiało to Joego, który poznał już w życiu wiele kobiet i z niejedną zdążył nawiązać bliższą znajomość. Caroline miała w sobie coś fascynującego, jakieś nadzwyczajne, wrodzone wycucie erotyczne i gdyby nie to, że czasem nie wiedziała o rzeczach zdawałoby się oczywistych, wcale nie musiałby się zorientować, że jest jej pierwszym mężczyzną. To było zachwycające. Mimo braku doświadczenia, nie protestowała, jak często robiły to inne kobiety, gdy chciał ją kochać w łazience czy na kanapie. Kochali się po prostu wszędzie, na parapecie okiennym, na stole, na podłodze. Zadziwiała go własna sprawność. Normalnie nie odznaczał się aż tak nadzwyczajną formą. Był przekonany, że z całą pewnością pobili niejednego rekord, a kto wie, może nawet mogliby dostać się do księgi Guinnessa. Nic na to nie mógł poradzić, ale gdy tylko przebrzmiały ostatnie westchnienia Caroline po kolejnym razie, niemal natychmiast był gotowy do następnego. Miał wrażenie, że to się nigdy nie skończy. Działała na jego zmysły w magiczny sposób i dawała mu ten rodzaj spełnienia, którego nigdy dotąd nie doświadczył.

Na nią zaś jego męska siła zadziałała jak narkotyk, bo choć nigdy niczego nie brała, tak właśnie wyobrażała sobie odczucia wywołane przez mocniejsze używki. Czuła się prawdziwą kobietą; kobietą podziwianą i kochaną przez mężczyznę swoich marzeń, ogarniętą bez reszty uczuciem spełnienia i miłością. Jakie to było cudowne.

Następnego ranka, który okazał się równie pogodny jak poprzedni, Joe nie pytając jej już o nic, zamówił śniadanie.

Zrozumiał, że kiedy jest głodna, ucieszy ją wszystko, co będzie świeże i smaczne. Z wyjątkiem zieleniny, oczywiście.

Aby zniwelować poczucie odcięcia od świata, włączyli na chwilę telewizor. Chcieli obejrzeć wiadomości. Caroline wtuliła się w jego miękki szlafrok i przymknęła oczy. Joe odruchowo zaczął gładzić ją po włosach.

- Powiedz coś o swoich rodzicach - odezwał się niespodziewanie dla samego siebie. - Gdzie są teraz?

- Teraz, znaczy w tej chwili, czy tak w ogóle? - zapytała. - Co masz na myśli?

- No, powiedzmy jedno i drugie.

- A więc teraz są w Grecji, na urlopie, ale normalnie mieszkają w Nowej Karolinie, gdzie pracują w szkole. Mówili, że chcą spędzić w Grecji całe lato i wrócić dopiero w połowie września.

- Czułaś się samotna, kiedy byłaś mała? - zapytał ciepło.

- Nie, chyba nie. Zawsze, odkąd pamiętam, lubiłam się uczyć i jedynym moim problemem było, że nie idzie mi to dostatecznie szybko, to znaczy tak szybko, jakbym chciała. Nie byłam łatwym dzieckiem do wychowania. Dziś wydaje mi się, że od czasu do czasu bywałam nie do zniesienia.

- Z tego, co mówisz, chyba tak - powiedział z uśmiechem i cmoknął ją w czubek głowy. - Takie małe geniusze bywają okropnie zarozumiałe i przemądrzałe... I chyba niezbyt lubiane przez rówieśniki

- Być może, czasem miałam takie wrażenie - westchnęła. - A ty? Jaki byłeś ty, jako dziecko?

Joe zamyślił się. O lataniu mógł i potrafił rozmawiać w nieskończoność, ale jego życie osobiste to zupełnie co innego. Nie lubił opowiadać nikomu o swoim dzieciństwie, zwłaszcza że po części były to sprawy bardzo bolesne. A jej i tak powiedział już bardzo dużo, jak na swoje możliwości, rzecz jasna. W końcu wiedziała już, że jest pół-indianinem, że ma czworo przyrodniego rodzeństwa, których matką jest drobna,

urocza Mary, jego była nauczycielka. Nie czuł potrzeby opowiadania niczego więcej o tamtych czasach.

- Nie byłem potworem - skwitował więc krótko.

- A co z twoim rodzeństwem? Jak się dogadywałeś ze swoimi braćmi?

Po co te pytania, pomyślał, czy to ważne? Wziął głęboki oddech i ku swemu zdziwieniu poczuł, że jego mięśnie się rozluźniają, a niechęć do wspomnień roztapia się pod wpływem jej ciepłego spojrzenia.

- A więc na przykład moja siostra - zaczęła po chwili - jest zdeterminowana, by osiągnąć to, czego chce i co sobie zaplanuje.

W jego głosie dostrzegła wyraźnie nutę tęsknoty za rodziną i zrozumiała, jak bardzo jest do nich wszystkich przywiązany. Chyba sam sobie z tego nie zdawał sprawy. Poglądziła delikatnie jego nagi tors, jakby chciała go zachęcić do dalszej opowieści.

- W jakim wieku są twoi bracia?- No i oczywiście twoja siostra?

- Wszyscy są ode mnie sporo młodszy. Michael ma osiemnaście lat i jest bardzo dumny ze swojej pełnoletniości. Właśnie skończył szkołę i wkrótce zaczyna studia. Ma prawdziwego świra na punkcie hodowli zwierząt, jesteśmy przekonani, że zostanie na ranczo i tam założy własną rodzinę. Joshua - ciągnął dalej Joe - ma wspaniały charakter. Jak na szesnastolatka jest wyjątkowo wrażliwy i dobry. Ma absolutnego bzika na punkcie samolotów i latania, zupełnie jak ja, kiedy byłem w jego wieku. Myślę, że rośnie mi następca. Tyle, że on chce latać w wojskach marynarki wojennej. Zane ma dopiero trzynaście lat i jest wyjątkowo skryty. Małomówny i tajemniczy, zupełnie jak tata. Nie mówi o sobie wiele, więc tym samym niewiele o nim wiem. I w końcu Maris, mała i delikatna. Gdy się na nią patrzy, ma się wrażenie, że każdy silniejszy podmuch wiatru mógłby ją porwać w siną dal. Ale

mimo swojej drobnej budowy to jest ktoś! Ma niezwykle silny charakter. Coś takiego widać już w dzieciństwie. - Joe zamyślił się na chwilę. - Wszyscy wychowywaliśmy się na ranczo, razem z końmi, bo mój ojciec jest najlepszym treserem koni, jakiego kiedykolwiek poznałem. To prawdziwy zaklinacz koni. I podobną zdolność odziedziczyła po nim nasza mała Maris.

- A twoja macocha? Zawsze tak ciepło o niej mówisz. - Chciała jak najdłużej słuchać jego niskiego aksamitnego głosu i dowiedzieć się o nim jak najwięcej.

- Mary? Nigdy nie myślałem o niej: macocha. Mary jest nieduża, chyba nawet drobniejsza od ciebie...

- Jak to, przecież ja nie jestem wcale taka mała! - Caroline aż usiadła z oburzenia.

- No wiesz, zbyt wysoka to ty raczej nie jesteś - rzucił z zaczepnym uśmiechem Joe. - Jestem wyższy od ciebie o ponad dwie głowy. No chodź, nie złość się. - Przyciągnął ją do siebie i przytulił. - Więc jak, chcesz dowiedzieć się czegoś o Mary czy nie?

- Zamieniam się w słuch - mruknęła udobruchana.

- Mary jest dobra, mądra, ciepła, otwarta i kochająca. Kiedy się na coś raz zdecyduje, nikt jej nie powstrzyma. Jest nauczycielką, bez jej pomocy nigdy nie dostałbym się do Akademii Wojskowej.

- A więc nie przeszkadzało ci, że chcą się pobrać?- zapytała.

- Przeszkadzało? Zrobiłem wszystko, co potrafiłem, żeby byli razem. Nie znaczy to, że było to jakieś wyjątkowo trudne, gdyż ojciec był całkowicie zdeterminowany, by ją zdobyć.

Caroline uśmiechnęła się pod nosem. Naprawdę ta historia brzmiała wyjątkowo cudownie. Nieczęsto spotykało się takich ludzi, jak ci, o których opowiadał Joe. No, choćby jej rodzice, nie dostrzegła nigdy, by łączyła ich jakaś namiętność. Łączyły ich zawsze jedynie wspólne zainteresowania intelektualne.

- A jaki jest twój ojciec?



- Twardy, niebezpieczny i tajemniczy - wyrecytował Joe jednym tchem. - Jest najlepszym ojcem na świecie. Nawet gdy byłem jeszcze bardzo mały, wiedziałem, że nie zawahałby się walczyć o mnie na śmierć i życie.

Dziwnie i niezwykle zabrzmiało to w jej uszach, bo to był bardzo nietypowy opis cech swego rodziciela, ale nagle wydało jej się, że pewnie ojciec i syn byli bardzo do siebie podobni.

- No, starczy już tych opowieści o mnie – przerwał nagle Joe i westchnął głęboko, mimo że przecież tak naprawdę niewiele o sobie opowiedział.

Kiedy otwierał się przed kimś, budził się w nim jakiś bliżej nieokreślony niepokój. Sam nie wiedział, dlaczego. Posadził więc sobie Caroline na kolanach, rozwiązał pasek jej szlafroka i delikatnie objął dłonią jej pierś. Bez trudu się w niej mieściła.

- Dowiedzmy się teraz czegoś o tobie - mruknął, dotykając koniuszkiem języka jej ucha.

Zadrżała.

- Wydaje mi się, że to nie stanowi już dla ciebie dziewiczego terytorium - szepnęła namiętnie, czując nadchodzącą falę podniecenia.

- Nie? Jesteś pewna?- Niebieskie oczy Joego nabrały jeszcze bardziej intensywnej barwy, podczas gdy jego dłoń powoli zsuwała się wzdłuż jej brzucha. - Nie byłbym tego taki pewien. A nawet jeśli nie - szepnął, coraz intensywniej drażniąc płatek jej ucha językiem - to z pewnością jest coraz bardziej ekscytujące. Przedtem mogłem sobie jedynie wyobrażać, co czujesz i jak reagujesz na pieszczoty, a teraz już wiem. Wiem, jaka jesteś wąska, tam w środku, jak drżysz, kiedy cię dotknę tak jak teraz, w odpowiedni sposób. Widzisz, twoje ciało przesywają niekończące się, rozkoszne dreszcze.

Caroline jęknęła głośno. Podniecały ją wypowiedane przez niego słowa i ta ręka, która zsunęła się jeszcze niżej i pieściła teraz najczulsze miejsce jej ciała. Ruchy palców Joego stawały się coraz szybsze i coraz bardziej intensywne, a Caroline z

coraz większym trudem łapała oddech. Jej mięśnie zaczęły drżeć i spinać się na przemian. Rozchyliła uda i bezwolnie poddała się pieszczotom. Joe drugą ręką zsunął z niej szlafrok i po chwili był już głęboko w niej. Jęknęła głośno i mocno zaplotła mu ręce na szyi.

- I wiem, jaka jesteś gorąca - szepnął - i jak cudownie drzysz, kiedy w ciebie -wchodzę. – Dłonie Joego mocno przywarły do jej pośladków i ich ciała zaczęły poruszać się w jednym rytmie, aż do samego spełnienia.

Kiedy ich oddechy uspokoiły się, a emocje nieco opadły, Joe odgarnął z twarzy Caroline niesforne kosmyki włosów i mocno ją do siebie przytulił.

- Przepraszam - szepnął - znowu zapomniałem o zabezpieczeniu. Nie powinienem tak postępować, to egoistyczne z mojej strony.

- Ale ja tego chciałam, sama prosiłam cię o to. Chciałam wiedzieć, jak to jest, tak naprawdę...

- Wtedy... za pierwszym razem... tak, choć i wówczas powinienem był zachować rozsądek. Ale teraz nie ma już dla mnie wytłumaczenia, zachowałem się jak smarkacz... jak zwykły dupek - dodał szorstko.

Słyszając te ostre słowa, Caroline usiadła.

- Nie jestem ani małym dzieckiem, ani idiotką i wyobraź sobie, że zdaję sobie sprawę z konsekwencji, jakie ewentualnie mogą z tego wyniknąć i, co więcej, zamierzam w razie czego je ponieść. Tego właśnie chciałam, a więc biorę na siebie całą odpowiedzialność. Zresztą, to jest tylko takie zwykłe gdybanie - rzuciła w końcu rozzłoszczona. - Znam swój organizm i nie sądzę, aby to, o czym tu mówimy, miało w ogóle jakieś realne podstawy. Zapewniam cię, że ryzyko jest na tyle niewielkie, że nie spędzę kolejnych dni i nocy, wpatrując się nerwowo w kalendarz.

- Ale dobrze wiesz, że pewności mieć nie można - drażył dalej Joe. - Z wami, kobietami, nigdy nic nie wiadomo,

jesteście nieprzewidywalne, zawsze może się wam coś poplątać, a ja przyznam, że nie mam natury hazardzisty.

- Czyżbyś mi chciał zasugerować, że robię to specjalnie? A poza tym, czy rzeczywiście aż tak bardzo zakłóciłoby ci to twój porządek rzeczy?

Ale co?

- Co? No, wiesz co... a zresztą już nic, nie ma o czym gadać.

Joe posłał jej lodowate spojrzenie, aż przeszły ją ciarki. Poczuli się mocno nieswojo. Miała nadzieję, że zapyta ją jeszcze raz, że będzie nalegał na dalszą rozmowę, że powie, jak bardzo mu zależy na niej. Ale zamiast tego padło tylko jedno krótkie zdanie, które zabrzmiało jak rozkaz:

- Chcę, żebyś mnie powiadomiła, jeśli spóźni ci się okres choćby o jeden dzień.

Poderwała się na równe nogi. Wkurzył ją tym. Co on sobie właściwie wyobraża, rozeźliła się w duchu. Na głos jednak powiedziała tylko:

- Tak jest! Rozkaz, to rozkaz!

Joe roześmiał się w końcu i klepnął ją lekko po pośladku.

Caroline poczuła się jakoś głupio, siedząc tak przed nim nago, narzuciła więc na siebie szlafrok i przewiązała go paskiem.

- O której musimy zwolnić pokój? - zapytała rzeczowo.

- Około szóstej, już wszystko załatwiłem - odparł spokojnie.

Zostało im zatem zaledwie kilka godzin, a jutro wszystko powróci do normy, znowu będą kolegami z pracy. Ona na ziemi, a on w powietrzu. I znowu dopadnie ją śmiertelny strach, że przytrafi mu się coś okropnego i już nigdy nie powróci ze swojej kolejnej misji. I znowu będzie czuła się kompletnie bezradna. Zresztą, cóż ona mogłaby zrobić w chwili zagrożenia? Sama ta myśl wydała jej się naiwna. Jeśli on - orzeł nad orłami - nie sprostałby jakiejś sytuacji, to z pewnością i ona nie byłaby w stanie niczego zmienić. Wiedziała, że tylko śmierć albo ciężka choroba byłaby w stanie

przykuć go do ziemi. A przecież tego nie chciała mu życzyć. Nie było więc sensu o tym myśleć i roztrząsać ponurych wizji jakiejś katastrofy. Teraz byli razem i tylko to się liczyło. Nie chciała stracić ani jednej sekundy więcej na snucie smętnych rozmyślań. Nie wiedziała do końca, co znaczy ten weekend dla niego, ale doskonale wiedziała, czym jest dla niej. Krok po kroku poznawała samą siebie, swój organizm i swą naturę, i to było dla niej wiele warte. Czuła, że te dni spędzone z Joem zmieniły ją, że nie jest już tą samą Caroline, co przedtem. Czuła się wyzwolona, dojrzała i szczęśliwa. Miała wrażenie, że do tej pory przyglądała się życiu przez grubą nieprzepuszczalną szybę. Teraz zaś znalazła się w samym jego jądrze, w wirze wydarzeń, które przybliżyły ją do rzeczywistości. Po raz pierwszy dostrzegła jej prawdziwy, urzekający smak, zauważyła jej barwy i odcienie i już nie miała wrażenia, że stoi na uboczu, na skraju wszelkich wydarzeń, i że jest samotna. Czuła się autentyczną częścią tego świata, nawet gdyby z ich związku nic nie wyszło i nie miałyby być na zawsze u jej boku Joego, i tak będzie dla niej kimś bardzo ważnym i do końca Życia pozostaną jej piękne wspomnienia. W tym momencie zdała sobie sprawę, że jednak w skrytości ucha liczyła na to, iż pomyliła się co do swego cyklu okaże się, że nie były to bezpieczne dni. A wtedy nosiłaby w sobie jego dziecko, rozmarzyła się na dobre. W chwili obecnej wydało jej się to być najwyższym szczęściem.

- O co chodzi? - zapytał Joe, widząc dziwny wyraz jej twarzy. Jedna z jego czarnych jak noc brwi uniosła się przy tym do góry.

Zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy, od dłuższego już czasu stała przed nim i wpatrywała się w jego skupioną twarz. Na jej ustach pojawił się marzycielski uśmiech.

- Nic takiego, po prostu nad czymś się zastanawiałam - wyjaśniła enigmatycznie. Ale cała była jakaś dziwnie rozpromieniona. - Wiesz, tak sobie myślę - dodała z

szelmowskim uśmiechem - że gdyby do kampanii rekrutacyjnej użyto plakatów z twoim zdjęciem bez ubrania, to mnóstwo kobiet bez wahania zaciągnęłoby się do wojska.

Joe popatrzył zaskoczony na Caroline, a potem wybuchnął na całe gardło śmiechem. Chwycił ją za pasek szlafroka i przyciągnął do siebie.

- Mam rozumieć, że zgodziłabyś się dzielić mnie z innymi kobietami?- spytał, patrząc jej prosto w oczy.

- W życiu! Chyba żartujesz? - zgaśniła go wzrokiem.

- Nawet dla dobra kraju nie? - nie dawał za wygraną.

- Nie - oznajmiła zdecydowanym tonem, nie znoszącym sprzeciwu.

- A gdzie twój patriotyzm?

W odpowiedzi przyłgnęła do niego całym ciałem i delikatnie wsunęła nogę pomiędzy jego uda. Zamruczał jak kocur i pocałował ją w szyję.

- W tym wypadku mamy do czynienia wyłącznie z patriotyzmem lokalnym - odpowiedziała słodziutko.

Z satysfakcją poczuła, jak jego ciało reaguje na jej i dotyk.

- Daję ci maksymalnie dwa dni, a potem dzwonię na policję - powiedział, udając wzburzenie.

- Dwa dni? Nie mamy dwóch dni - wyjaśniła spokojnie i spojrzała na zegar. - Mamy zaledwie kilka godzin - szepnęła.

- Zatem nie traćmy ani chwili - wyszeptał i uniósł ją do góry, a potem nie zastanawiając się długo, ruszył w stronę sypialni.

Zaklinała los, by czas stanął w miejscu, by ten dzień i słodkie chwile spędzone z Joem nigdy nie miały końca.

Gdy opuszczali hotel, towarzyszyło jej dziwne przeczucie jakby wydostawali się z kokonu, którym zdołali się otoczyć przez te ostatnie dwa dni. Dopadł ją jakiś dziwny nastrój, podczas jazdy Siedziała głęboko zamyślona i już teraz boleśnie dokuczała jej samotność. Jak miała znieść te wszystkie kolejne samotne noce, aż do następnego weekendu? .może i to nie, nie miała przecież żadnej pewności, że zechce powtórzyć jeszcze

to szaleństwo. Nie wspominał przecież ani słowem o tym, co będzie z nimi dalej. Zauważyła pewną prawidłowość: Joe bardzo zmieniał się w zależności od tego, gdzie się znajdowali. Im byli bliżej bazy, tym bardziej stawał się pułkownikiem Mackenziem, a mniej jej mężczyzną i kochankiem. Czuła wyraźnie, jak jego myśli oddalają się od niej i koncentrują wokół Nocnego Jastrzębia. Z tego prosty wniosek, pomyślała, spoglądając na niego z niejakim rozgoryczeniem, samoloty były mu bliższe niż ona. To jasne, dostarczały mu emocji i skoku adrenaliny, których ona nigdy nie będzie w stanie mu dać. Nie miała prawa być zazdrosna o samoloty. Mogła tylko liczyć na to, że będą go chronić swoją mocną konstrukcją i za każdym razem zwrócą go jej zdrowego i całego.

Stali teraz pod drzwiami jej apartamentu i patrzyli na siebie jak nastolatki, zafascynowani sobą nawzajem i nie wiedzący, co mają z tym fantem począć. On wpatrywał się w każdy szczegół jej twarzy, jakby chciał nauczyć się jej na pamięć.

- Nie pocałuję cię na dobranoc - szepnął w końcu. - Nie potrafiłbym wtedy odejść. Tak bardzo przyzwyczailem się, że jesteś blisko mnie, i że w każdej chwili możemy... no, wiesz... A zatem tak będzie bezpieczniej... dobranoc, Caroline.

Nie chciała, żeby tak po prostu odszedł, pragnęła, by powiedział coś więcej, coś, co dałoby jej nadzieję na przyszłość, a przynajmniej na następne dni. Chciała go zatrzymać, już wyciągnęła nawet rękę w jego kierunku, ale natychmiast ją cofnęła. Wiedziała, że może to znaczyć o jeden dotyk za dużo. Między nimi przecież wciąż iskrzyło i każde muśnięcie mogło wywołać lawinową reakcję. A poza tym ten krok należał do niego, to on powinien zabiegać o jej względy, dbać o dalsze losy ich związku.

- Dobranoc - szepnęła więc tylko i odwróciła się, by otworzyć drzwi. Nie chciała patrzeć, jak Joe odchodzi.

Szybko weszła do środka i poczuła, że się dusi. Wewnątrz panował bowiem nieprawdopodobny zaduch, przez dwa dni nie

była włączana klimatyzacja. Jednak nawet to ciężkie powietrze nie zabiło w niej uczucia pustki, które wywołało rozstanie z Joem.

Tej nocy nie spała zbyt dobrze, kręciła się niespokojnie, nękana złymi snami. Wciąż, jakby podświadomie, szukała go obok siebie i natrafiając na puste miejsce, budziła się i przerażona siadała na łóżku. Brakowało jej jego gorącego, muskularnego ciała i ciepła, które z niego emanowało.

Na dobre obudziła się jeszcze przed świtem i w żaden sposób nie mogła już zasnąć. Jakiś czas walczyła ze sobą, ale wreszcie zrezygnowała. Wstała więc, wzięła prysznic i ubrała się. W końcu praca była dla niej zawsze wybawieniem, a ona przyjechała tu właśnie do pracy, a nie po to, żeby zabawiać się z szefem projektu.

I to myślenie pomogło. Wzięła się za przygotowanie dzisiejszych testów i po chwili pochłonęły ją bez reszty. Joe nie wpadł do niej w drodze do swego biura i była mu za to naprawdę bardzo wdzięczna. Co by było, gdyby wszedł tu i ją pocałował? Kochaliby się na podłodze na oczach wszystkich?

Jako pierwszy pojawił się w biurze Cal i od razu, niemal od drzwi, zapytał:

- Gdzie byłaś w czasie weekendu? - W jego głosie wyczuła odrobinę pretensji. - Próbowałem się do ciebie dodzwonić.

- Do mnie? - powtórzyła jego słowa z niedowierzaniem.

- Tak, do ciebie. Chciałem porwać cię do kina.

- Byłam w Vegas – odpowiedziała po chwili.

- Spędziłam tam cały weekend. Nie przyszło mi nawet do głowy, że będziesz próbował się do mnie dodzwonić.

- A szkoda. Fajne miasto, prawda? Zrobiłaś turę po kasynach?

- Nie mam duszy hazardzisty, wolę mini-golfa - odparła z uśmiechem.

- W takim razie uważaj na siebie, Vegas to szalone miasto, a zbyt dużo ekscytacji może każdego zabić, ciebie też.

Och, gdyby wiedział... Musiałaby umrzeć w ciągu tego weekendu co najmniej dziesięć razy, a tymczasem czuła się lepiej niż kiedykolwiek, była pełna energii i naładowana jakąś dziwną siłą.

W końcu Cal jej odpuścił i gdy już wszyscy pojawili się w biurze, udali się razem do pomieszczenia kontroli lotów. Tam także nie było Joego. Okazało się po chwili, że piloci przygotowują się już do testów, a gdy silniki zaczęły wyć jak opętane, nie było już najmniejszych wątpliwości, co za moment nastąpi. Strach zacisnął jej gardło, ale przymusiła się do koncentracji. Powtarzali dziś testy po piątkowej nieudanej próbie. I znowu Joe i Bowie pilotowali Nocne Jastrzębie, a Daffy i Marick lecieli na F-22.

Wszyscy obecni w sali kontroli lotów, jak jeden mąż zgromadzili się wokół monitora. Pośród nieprawdopodobnego huku samoloty wzbiły się w powietrze. Z początku wszystko poszło gładko i Caroline mogła odetchnąć z ulgą. Lasery i wszystkie pozostałe urządzenia działały prawidłowo. Oczywiście nie była na tyle nierozsądna, żeby sądzić, że już nic złego nie może się przydarzyć. Ale póki co, liczyła na łut szczęścia, przynajmniej jeszcze tym razem.

Testy przebiegły sprawnie i wszyscy uśmiechali się do siebie z zadowoleniem, a samoloty zawróciły do bazy. Caroline jednak wciąż nie odrywała oczu od ekranu. I nagle, ku swemu przerażeniu, zauważyła, że w samolocie Bowiego zapaliła się lampka naprowadzania pocisku na cel. To nie było zabawne, zwłaszcza że cały czas siedział Daffiemu na ogonie.

- O rany, co on robi? Zwariował? To niemożliwe! - krzyknęła. - On uruchomił system! - Co się dzieje? - spytał Yates i podbiegł do monitora. Zaraz za nim podszedł Adrian. - Co jest? - zapytał Cal, słysząc zamieszanie.

- Zobacz sam, nie wiem, co się tam dzieje - odparł Adrian.

Cal ponownie włączył komputer. Na jego ekranie ukazała się natychmiast informacja o wystrzeleniu pocisku.



- Matko jedyna! - szepnął Cal i już po chwili całe pomieszczenie wypełniło się przeraźliwym krzykiem Daffiego:

- Rany, dostałem! Dostałem!

Jednocześnie z jego krzykiem słychać było urywane, nerwowe nawoływania Bowiego:

- Co się dzieje? Jakim cudem... uruchomił się... system? Słyszysz mnie ktoś? Baza? Baza! Odezwij się!

- Tracę panowanie nad samolotem! Słyszycie? Halo! - darł się Daffie. Jego głos stawał się coraz bardziej odległy i przytłumiony.

- Katapultuj się! To rozkaz! - rozległo się w głośnikach. - To rozkaz! - Głos Joego brzmiał spokojnie, choć bardzo stanowczo.

- O Boże - jęczał Daffie. - A co z maszyną?

- Przestań pieprzyć, Daffie! - krzyknął Bowie. - Ratuj się!

W głowie Caroline powstał nieprawdopodobny mętlik. Głosy nakładały się jeden na drugi i nie wiedziała już, co się tam właściwie dzieje i kto co mówi.

- Natychmiast katapultuj się! Teraz! - krzyknął raz jeszcze Joe, nadal nie tracąc kontroli nad nerwami.

I po chwili na ekranie komputera pojawiła się informacja, że pilot samolotu F-22 katapultował się.

- Widzę czasę spadochronu! - zameldował Marick. - Ale jest za nisko! O Boże, za nisko!

W tym momencie dal się słyszeć przerażający huk eksplozji. To F-22 roztrzaskał się o piaski pustyni.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Joe zamaszystym krokiem wszedł do pomieszczenia kontroli lotów. Na jego twarzy malowała się wściekłość. Rozjuszony spojrzenie kierował po kolei na twarze pracowników zespołu zajmującego się laserami.

- Co, do jasnej cholery, się stało- - rzucił w końcu pytanie do wszystkich i każdego z osobna. – Coście tam zmajstrowali? Zapłon nie mógł się przecież uruchomić samoistnie! - ryknął.

Nie mieli pojęcia, co mogło się stać. Cały system był uważnie przeglądany w piątkowe popołudnie.

- No, słucham? Co macie do powiedzenia? Niemal bym stracił jednego z pilotów! To nie żarty! - huknął. - A samolot za osiemdziesiąt milionów dolarów właśnie roztrzaskał się o ziemię i został rozrzucony po całej pustyni! No, co jest? Czy ktoś z was może się odezwać i coś mi wyjaśnić?

Zapadła prawdziwie grobowa cisza. Nikt nie ośmielił się nawet poruszyć. Po dłuższej chwili odezwał się Yates.

- Nie mamy w tej chwili nawet żadnych przypuszczeń, nie wiemy, co się mogło stać.

- No to się dowiedźcie - syknął jadowicie Joe. - W waszym interesie jest, bym jak najszybciej miał na biurku raport w tej sprawie. Macie na to maksymalnie trzydzieści sześć godzin! Chcę mieć szczegółową analizę problemu: co się stało i

dlaczego, i jak temu zapobiegać! Do tego czasu wszystkie loty są wstrzymane. Jasne?

Było na tyle jasne, że nikt nawet nie mruknął nic pod nosem. Zresztą Joe nie czekał na potwierdzenie rozkazu, obrócił się na pięcie i wyszedł. Był nieprawdopodobnie wściekły i nawet nie spojrzął w kierunku Caroline.

Ktoś gwizdnał przeciągle przez zęby.

- Czeka nas bezsenna noc - odezwał się Yates matowym głosem. Jego twarz była szara, jakby od płynęła z niej cała krew.

Strata kosztownego samolotu była ogromnie stresująca, ale w porównaniu z zagrożeniem życia wyśmienitego pilota była jednak mniej ważna. Daffie za długo czekał, może liczył na to, że uda mu się jakoś wyprowadzić maszynę i za późno się katapultował. Spadochron nie zdołał w pełni się rozwinąć i Daffie zbyt mocno uderzył o ziemię. Został natychmiast przewieziony do szpitala. Stwierdzono wstrząs mózgu i złamanie lewej nogi. Ale na szczęście wiadomo już było, że jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

Bowie wyglądał jak cień człowieka, trząsał się jak osika i zaklinał raz po raz, że niczego nie dotykał, ani przycisku uruchamiającego system naprowadzania pocisków, ani tym bardziej spustu. Nie było najmniejszych wątpliwości co do tego, że mówi prawdę. Joe znał go jako doskonałego, ale i ostrożnego pilota, więc nie miał podstaw, aby sądzić, że mówi nieprawdę. Jednak to cholerne działo laserowe uruchomiło się jakimś cudem i co do tego nikt nie mógł mieć żadnych wątpliwości. Roztrzaskany na drobne części samolot i pobyt Daffiego w szpitalu były wystarczającymi dowodami. To nie była wirtualna katastrofa. To się naprawdę stało.

Ale co się stało? Komputery musiały znać odpowiedź na to pytanie, a więc i Joe chciał ją znać. Podejrzał, że dzisiejszy wypadek miał coś wspólnego z problemami, które wystąpiły w piątek. Zastanawiało go, czy to możliwe, że było to jedynie

zwykle drobne przebicie, jak mówiła Caroline. Wyglądało raczej na to, że problem był dużo poważniejszy, niż się jej mogło zdawać.

Najgorsze zaś było przeświadczenie, że ten wypadek omal nie doprowadził do śmierci jednego z jego najlepszych ludzi. Nie miał zamiaru chronić Caroline przed odpowiedzialnością za to, co się stało, tylko dlatego że była kobietą i to w dodatku jego kobietą.

Tym gorzej. Była przede wszystkim członkiem zespołu, który zajmował się w projekcie laserowym naprowadzaniem pocisków i w równym stopniu powinna odpowiadać za błędy, co inni pracownicy. Ich związek nie mógł mieć najmniejszego wpływu na ocenę pracy zespołu. To chyba było oczywiste i miał nadzieję, że nie tylko dla niego. Nie zamierzał stosować wobec niej żadnej taryfy ulgowej. Zresztą cały zespół był zamieszany w ten wypadek i cały zespół ponosił odpowiedzialność, a w szczególności on, jako szef tego projektu. Niełatwo będzie wyjaśnić tę sprawę dowództwu sił powietrznych Stanów Zjednoczonych. Tak poważny wypadek, w którym doszło do straty maszyny i hospitalizacji pilota, będzie długo i dokładnie badany i analizowany. Z pewnością jako szef projektu Nocny Jastrząb będzie musiał napisać szczegółowy raport i przedłożyć go nie tylko komendantowi bazy, ale i w Pentagonie. Nie mogli pozwalać sobie na tak poważne straty, a zwłaszcza teraz, kiedy Kongres jeszcze nie zatwierdził budżetu. Musiał za wszelką cenę szybko dokończyć te testy i to z pozytywnym skutkiem. Każdy dzień zwłoki kosztował krocie, a zatem trzeba było dołożyć wszelkich starań, by nie przeciągać raz ustalonych terminów. Doskonale zdawał sobie sprawę, że gdyby wdrażanie tego projektu w znacznym stopniu przekroczyło przyznany na ten cel budżet, a w dodatku nie przyniosło oczekiwanych rezultatów, dalszy rozwój lotnictwa amerykańskiego mógłby utknąć w martwym punkcie.

Rozmowa z generałem Ramsayem tylko potwierdziła jego obawy.

- To nie przelewki - wycodził generał przez zęby - to bardzo poważna sprawa. Musicie poznać przyczyny tej katastrofy i dojść do konstruktywnych wniosków, jeśli chcecie, by Kongres poparł wasze dalsze badania.

Joe dobrze znał generała i wiedział, że nie rzuca słów na wiatr. Zresztą i bez jego opinii zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Kongres swego czasu bardzo zainteresował się ich projektem. Uznano wówczas, że taki samosterujący system laserowy miałby bardzo istotne znaczenie dla obronności kraju, ale tylko pod warunkiem, że będzie można mieć go pod kontrolą. Co komu po działach laserowych, które ni z tego ni z owego uruchamiają się same<sup>^</sup> Debata nad budżetem, a następnie głosowanie w Kongresie miało odbyć się lada dzień, a więc tym bardziej nie wolno było teraz dopuszczać do tego rodzaju wpadki.

- Pułkowniku Mackenzie - dodał generał - to bardzo ważny projekt i nie możemy pozwolić sobie na przegraną.

- Tak jest - zsalutował Joe.

Wiedział, że lepsza maszyna, to większe bezpieczeństwo dla pilota i przewaga dla armii amerykańskiej, a co za tym idzie - pozytywnie dla Stanów rozstrzygnięte konflikty, przy mniejszych stratach w ludziach. I o to właśnie chodziło. Miał trzydzieści pięć lat i przeżył już dwie wojny. Na świecie aż buzowało od przeróżnych konfliktów i w wielu miejscach sytuacja była dużo bardziej napięta niż w okresie zimnej wojny, gdy zaczynał studia na akademii. Niemal każdego dnia wybuchały nowe konflikty na świecie, a każdy z nich mógł doprowadzić do konfliktu zbrojnego na większą skalę. Przy obecnym postępie technicznym, konsekwencje mogły być nieobliczalne i nie do przewidzenia.

- Czy nasuwa się choćby najmniejsze przypuszczenie sabotażu? - zapytał generał.

- Służby specjalne badają właśnie tę sprawę.  
- A co podpowiada ci twoje przeczucie? - Generał miał niemal nieograniczone zaufanie do pułkownika Mackenziego.

Joe zamyślił się na chwilę.

- Ten wypadek całkowicie nas zaskoczył, nie było wcześniej żadnych podejrzeń czy wątpliwości. Nie wiemy jeszcze, czy chodzi tylko o ten jeden samolot, czy o wszystkie. Myślę, że z wnioskami lepiej byłoby poczekać przynajmniej do wstępnych wyników ekspertyzy. Ale z pewnością nie można całkowicie wykluczyć czyjś świadomego działania, z całą premedytacją, na jaką stać tylko -wroga... lub przekupionego zdrajcę. Niestety, uważam, że zawsze trzeba się liczyć z możliwością sabotażu. Więcej będę mógł powiedzieć po przejrzeniu analizy komputerowej.

- Gdy tylko będziesz miał jakieś podejrzenia, zadzwoń do mnie natychmiast.

- Tak jest - raz jeszcze zasalutował Joe, odprowadził generała do drzwi i usiadł z powrotem na krześle.

Przymknął oczy. Sabotaż, pomyślał z niejakim przerażeniem, to ohydna sprawa. Wolałby nie brać takiej ewentualności pod uwagę, ale z drugiej strony nie było podstaw, żeby ją odrzucić. Rozwój techniki mimowolnie otwierał wrota także przed ludźmi nieuczciwymi i nieodpowiedzialnymi. Wprawdzie ochrona tego typu obiektów była coraz doskonalsza, ale potęga ludzkiego umysłu zdawała się być nieograniczona. Dlatego też projekt Nocny Jastrząb utrzymywany był w najgłębszej tajemnicy i do każdego pomieszczenia było kodowane wejście, kontrolowane przez czujniki, które podłączone były do komputera centralnego. Nikt nie mógł przemknąć tam niepostrzeżenie. Było to zwyczajnie niemożliwe. A do tego jeszcze zatrudnieni byli strażnicy, którzy dzień i noc pilnowali hangarów z samolotami. A zatem nie było podstaw ku temu, by sądzić, że ktoś niepowołany mógłby dostać się choćby w pobliże maszyn. A

skoro nikt spoza zespołu nie mógł dostać się do środka, wnioski nasuwał się sam. A mianowicie, że jeżeli faktycznie był to sabotaż, to sabotażysta znajdował się wśród nich.

Joe, zwykle taki twardy i nieugięty, nigdy nie poddający się złym emocjom, sposepniał nagle. No cóż, jeśli dopisze mu szczęście, ludzie z zespołu odpowiedzialnego za pracę laserów wykryją powstałą usterkę i na tym zakończy się wówczas cała sprawa. Będzie to na przykład coś mechanicznego, namacalnego i jednoznacznego, co nie nasuwa innego rodzaju podejrzeń czy wątpliwości. Ale jeśli się to nie uda, i to szybko, sprawa skomplikuje się po stokroć i na nic nie będzie czasu, znowu więc spędzi noc bez Caroline, a już tej dzisiejszej nie zniósł zbyt dobrze. W ciągu zaledwie dwóch dni tak bardzo przyzwyczał się do jej obecności w łóżku, jakby znali się od nie wiadomo kiedy. Tak bardzo pragnął jej i pożywał, że trudno było mu z tym żyć. Już po krótkiej chwili zdał sobie sprawę, że myśleć teraz o niej było błędem. Poczucie napięcia wzrosło do wartości granicznej, a spodnie stały się, oględnie mówiąc, wyjątkowo mało komfortowe. Hej, stop, kolego, zganił samego siebie, to ani miejsce, ani czas na takie zachcianki.

Mijała godzina za godziną, a oni już nie wiadomo który raz od początku przeglądali cały system. Wszystko na nic, bezskutecznie. Nikt z nich nie znalazł choćby najmniejszej przyczyny, z powodu której laser mógłby się samorzutnie uruchomić. Każdy w zespole miał swój zakres odpowiedzialności, w przypadku Caroline był to sam laser. Niestety, dzieliła tę odpowiedzialność jak na złość z Adrianem, który czuwał nad jego mechaniką. I w tym wypadku, jak zwykle zresztą, odbijał swoje frustracje na niej.

- Czegoś tu nie rozumiem, przyciągasz złe moce, czy co? - szydził z niej pod nosem, po raz kolejny sprawdzając śrubkę po śrubce. Tracił już powoli cierpliwość i im bardziej zdenerwowanie dawało mu się we znaki, tym więcej sobie

pozwałał. - Do chwili, kiedy się tu pokazałaś, wszystko szło jak po maśle. Ledwo tylko cię tu zatrudnili - wszystko zaczęło się pieprzyć.

- Mechanizmy to nie moja działka - syknęła Caroline, ale zrobiło się jej przykro. Powstrzymała się od wybuchu złości i nie nawymyślała temu gburowi, ale tylko dlatego, że nie chciała robić wokół siebie zamieszania, Adrian spojrział na nią pytająco, zdziwiony, że się nie broni. Poczul się tak, jak gdyby to właśnie jego winiła za cały ten wypadek.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał, ściągając brwi.

- Nic szczególnego, tylko tyle, że zawiodły mechanizmy, to w nich tkwi błąd.

- Przestańcie już - wtrącił się Yates. - Nikt nie ma nastroju, żeby słuchać waszych kłótni. Udało ci się coś znaleźć w komputerze?- zwrócił się do Cala.

Cal wyglądał jak z krzyża zdjęty. Miał potwornie zaczerwienione oczy od ciągłego wpatrywania się w monitor i kompletnie szarą twarz. Obok niego leżała cała sterta wydruków z ostatnich kilku godzin.

Zaprzeczył tylko ruchem głowy, jakby nie miał już siły wydobyć z siebie choćby jednego słowa.

Wszyscy zgromadzili się wokół sekcji laserowej, podwieszanej pod brzuchem samolotu, którym leciał Bowie. Wszystko wydawało się być w absolutnym porządku, podobnie zresztą jak mechanizm spustowy. Wszelkie zabezpieczenia działały bez najmniejszego zarzutu. Co do tego nikt nie miał wątpliwości. Lecz nikt również nie potrafił wytłumaczyć, jak to się stało, że mimo wszystko uruchomił się i wystrzelił pocisk w kierunku Daffiego, by potem samoistnie się wyłączyć. Wciąż nie potrafili znaleźć rozwiązania tej skomplikowanej zagadki. Przejrzeli już chyba tysiąc razy wskazania komputera. Zgodnie z nimi Bowie nie dotykał absolutnie niczego, co mogłoby wywołać taką katastrofę. A zatem było oczywiste, że mechanizmy dotyczące uwalniania



pocisku i kierowania go na określony cel zadziałały automatycznie, choć przecież teoretycznie w ogóle nie było ich jeszcze w programie. Miały się tam pojawić dopiero za około dziesięć dni. Cały więc wypadek praktycznie w ogóle nie powinien mieć miejsca, a tymczasem laser aktywował się jakimś cudem, naprowadził pocisk na samolot Daffiego i na dodatek wystrzelił. Każda z tych czynności była nieprawdopodobna, wszystkie zaś w połączeniu wykraczały poza wszelkie granice logicznego myślenia.

No właśnie, Caroline z zadumą pokiwała głową. Skoro nie było najmniejszych przesłanek do tego, by sądzić, że zawiodły urządzenia, to pozostawało tylko jedno rozsądne wyjście... Nie podobało się jej, że w takim kierunku zmiernają jej myśli, ale jeśli coś nie może zdarzyć się przypadkiem, a nie mogło, to istnieje przypuszczenie, że zostało skrzętnie zaplanowane, a potem zakamuflowane. Aktywacja laserów może mieć miejsce dopiero po szeregu bardzo precyzyjnych komend, następujących po sobie w ściśle określonej kolejności. Dojście do komputerów i komendy znają tylko oni. Oni, to znaczy ich zespół. Ku jej przerażeniu wniosek nasuwał się tylko jeden: ktoś z ich zespołu musiał aktywować laser. Jednak nie chciała uwierzyć, że coś podobnego mogło faktycznie mieć miejsce. Przecież było ich zaledwie czworo, ona i trzech mężczyzn, z którymi pracowała. Wydało jej się to nieprawdopodobne, nie mogła wprost uwierzyć w narzucającą się konkluzję i szybko doszła do wniosku, że zanim podejrzenie padnie na któregoś z kolegów pracujących przy systemach laserowych, muszą dokładnie sprawdzić, czy nie mógł tego zrobić ktoś z zewnątrz, ktoś obcy. Mimo że zostały podjęte wszelkie środki ostrożności, mogło się zdarzyć, że ktoś niepowołany dobrał się do ich bazy danych. Nie ma rzeczy niemożliwych, pomyślała z rozgoryczeniem. Dla osoby obeznanej z tematyką mogła to być dziecinna igraszka. W bazie nie brakowało ludzi, którzy doskonale radzili sobie z komputerem i takich, którzy w

jednym palcu mieli całą wiedzę dotyczącą problemów współczesnego lotnictwa wojskowego. Kto wie, o co w tym wszystkim chodziło? Może Bowie już od dłuższego czasu latał na tykającej bombie, która tylko czekała na sprzyjające warunki? Co to było, naturalnie na razie nie wiadomo, ale mogłoby to być na przykład niewielka odległość między maszynami. Jeszcze nikt nigdy nie siedział nikomu tak bardzo na ogonie jak dziś Bowie Daffiemu. Ale przecież to nie musiało wcale chodzić o niego, równie dobrze mógł to być Marick albo nawet i Joe. Yates już od kilku minut przyglądał się badawczo Caroline. Stała bez ruchu, zapatrzona w niezliczoną ilość kabli, ale oczywiście było dla niego, że nie widziała w ogóle niczego. Całkowicie była pochłonięta własnymi myślami. Jako najwyższej rangi specjalista od strategii mógł dosłownie wyczytać na jej twarzy, jak jej umysł odrzuca kolejne rozwiązania, coraz bardziej zawężając liczbę tych, które wykazują jakiś sens.

- O co chodzi, Caroline? - zapytał, nie mogąc dłużej wytrzymać tego napięcia. - Wygląda na to, że coś ci chodzi po głowie. Powiesz, co to takiego?

Caroline zamrugnęła nerwowo oczami. Poczuli się trochę jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku.

- Myślałam właśnie, że jeśli to nie sprawa mechaniki, to może powinniśmy przejrzeć cały program komputerowy.

- Program? Wiesz, ile to zajmie czasu? - zapytał, zaskoczony.

- To wiele dni pracy od świtu do zmierzchu. To najbardziej skomplikowany program, na jakim kiedykolwiek pracowałem.

- Można by zastosować Cray - wyszeptała, wpatrując się w urządzenie laserowe.

- Cray? - wydusił z siebie Yates. - To cholernie droga zabawa

- wolno dodał po chwili, myśląc jednocześnie, że to wcale niegłupi pomysł i zastanawiając się, jak przekonać szefa i zdobyć na to przedsięwzięcie pieniądze.

- Na pewno tańsza niż wstrzymanie całego programu - wycodziła przez zęby.

- Załatwienie tego wszystkiego zabierze nam wieki, a czas nagli, dobrze o tym wiesz.

- Chyba, że pomogłby Pentagon - dodała cicho.

- To naprawdę dobry pomysł - wtrącił się niespodziewanie do rozmowy Adrian. - Zapominacie jednak o tym, że dostaliśmy od szefa zaledwie trzydzieści sześć godzin na rozwiązanie tej zagadki. A więc nie sądzę, żeby był zachwycony takim pomysłem. Czas leci.- Jak dotąd, mamy zero wyników. Żadnych usterek, żadnych pomyłek, żadnych choćby poszlak, nie mówiąc już o konkretach. Chyba że ty masz jakiś lepszy pomysł. - Caroline spojrzała na Adriana badawczo. - Jeśli masz, to mów!

Nic nie odpowiedział, tylko westchnął i znacząco pokręcił głową.

A zatem prawda była taka, że nie mieli innego wyjścia, jak starać się o zgodę na zastosowanie Craya. Nie podzieliła się z nimi swoimi podejrzeniami, miała wrażenie, że na to jest jeszcze za wcześnie. Ale nawet jeśli wykryją błąd w programie, to trzeba będzie znaleźć odpowiedź na pytanie, skąd się tam wziął. Być może okaże się wówczas, że został tam specjalnie wprowadzony, że ich program różni się od oryginalnego. I co wtedy? Tego Caroline nie wiedziała. Wiedziała jednak z całą pewnością, że zastosowanie Craya umożliwiłoby im odpowiedź na tak postawione pytanie. Jedno jest pewne. Byłby to niezbity dowód na to, że ktoś grzebał przy programie służącym do testowania prototypu samolotu Nocny Jastrząb i z premedytacją zmienił niektóre komendy. Musieliby wtedy wkroczyć do akcji agenci FBI i przeprowadzić śledztwo, które powinno doprowadzić ich do winnego... albo nie.

- Więc co w końcu robimy? - odezwał się Cal.

- Przestajemy szukać błędu, licząc na to, że znajdziemy go w programie? Czy też siedzimy tu dzień i noc w nadziei, że uda

nam się natknąć na coś, o czym nikt z nas nie ma zielonego pojęcia.

- I tak już się ledwo trzymasz na nogach - uśmiechnęła się pod nosem Caroline.

- No, właśnie - wymamrotał rozgoryczony Cal.

- Kiedy byłem młody, mogłem nie spać trzy noce pod rząd. A teraz? Teraz czuję się jak swój własny cień.

- Widzę, że poczucie humoru was nie opuszcza. To jasne, w końcu sprawa jest tak banalna, że nie ma powodu do zdenerwowania - rzucił sarkastycznie Adrian.

- Przestań! - uciął krótko Yates. - To nie czas na głupie docinki. - Zwykle potrafił trzymać nerwy na wodzy, ale teraz wszyscy byli zmęczeni i poirytowani. - Skończcie z tymi złośliwościami, nie prowadzą do niczego dobrego, tylko dekoncentrują zespół i rozstrajają robotę. Kilka razy przejrzelśmy wszystkie podzespoły urządzeń laserowych i nic nie znaleźliśmy. Tak więc trzeba wreszcie odrzucić wszystkie możliwości związane z mechaniką. Dłużej taka robota nie ma sensu. Trzeba się wziąć za oprogramowanie. To jedyna szansa na znalezienie błędu.

Przedtem jednak konieczna jest przerwa. Musimy się odświeżyć, coś zjeść, a może i przespać. Potrzebne nam będą sprawne mózgi. Porozmawiam o tym wszystkim z pułkownikiem Mackenzie.

- Pułkowniku Mackenzie - zaczął bez ogródek kapitan Ivan Hodge, szef ochrony - jest coś, co wzbudziło nasze wątpliwości, pewien istotny ślad, który wywołał podejrzenia.

Mackenzie uniósł głowę i spojrzał na kapitana Hodge'a. Twarz Joego nie wyrażała kompletnie nic, żadnych emocji, choć nie mógł się uwolnić od rozlicznych pytań i sprzecznych myśli. Miał nadzieję, że kapitan jednak nie ma dowodów na to, że jeden z jego ludzi jest sabotażystą, a więc zdrajcą. Przeniósł wzrok na generała Tuella, szefa bazy. W końcu to on był

odpowiedzialny za wszystko, co miało tutaj miejsce. Rysy Tuella zaostrzyły się jeszcze bardziej, przez co jego twarz nabrała niezwykle surowego wyrazu. Zamienił się w słuch. Nic dziwnego, że był zainteresowany nawet najmniejszą poszlaką, która mogłaby doprowadzić do znalezienia przyczyny wypadku F-22.

- Proszę nam powiedzieć, co pan znalazł – powiedział Joe.

Kapitan Hodge położył na biurku Joego plik wydruków z komputera i otworzył na zaznaczonej na żółto stronie.

- Tutaj - wskazał palcem oznaczone miejsce – jest numer kodu jednego z członków zespołu zajmującego się laserami. To kobieta, Caroline Evans, przybyła do naszej bazy przed tygodniem. Pełni zastępstwo pracownika, który wziął urlop zdrowotny po przebytym ataku serca.

Joe poczuł, jak kurczy mu się żołądek, ale milczał. Przymknął oczy i czekał na to, co powie kapitan Hodge.

- Ma zwyczaj przychodzić do biura jako pierwsza i wychodzić jako ostatnia.

Joe odetchnął z ulgą. Nie mogli o tym wiedzieć, że była pracoholiczką, a to na szczęście nie podlegało karze. Wielokrotnie wchodził do niej do biura bez żadnego uprzedzenia i nigdy nie widział, żeby zajmowała się czymś podejrzanym. Choć nie, kiedyś zdarzyło się, że gdy tylko go ujrzała, natychmiast wyłączyła ekran. Wówczas jakiś czas zastanawiał się nad tym, ale wkrótce zapomniał o tym incydencie, aż do tej właśnie chwili.

- Pan zresztą, pułkowniku, też ma podobny zwyczaj - powiedział po chwili Hodge, spoglądając na Joego. - Ale w zasadzie nie o to chodzi, samo w sobie nie ma żadnego znaczenia. Proszę jednak spojrzeć tutaj, w czwartek wieczorem, a właściwie w nocy, z czwartku na piątek, czujniki pokazują obecność panny Evans w biurze. Weszła tam przed północą i nie wyszła prawie do godziny czwartej. Pytam się, co robiła tam tyle godzin- A rano w piątek przyszła do pracy

normalnie, zgodnie ze swoim zwyczajem, o godzinie szóstej. I właśnie tego dnia zarejestrowano pierwsze problemy z laserami.

Ciałem Joego wstrząsnął zimny dreszcz. Poczuł się tak, jakby tysiące strzał przeszły go na wylot. Nie odezwał się ani słowem, ponieważ nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

- Tego popołudnia - kontynuował kapitan - wyszła ze wszystkimi i nie pojawiła się już więcej aż do niedzieli. W niedzielę znowu przyszła do biura na krótko przed północą i wyszła o czwartej trzydzieści. A rano w poniedziałek pojawiła się w pracy jak zwykle o godzinie szóstej. Był to dzień, kiedy samolot F-22 został zestrzelony. Przyznacie, panowie, że to bardzo podejrzane zachowanie. Te nocne pobyty panny Evans w biurze w połączeniu z problemami, które miały miejsce wkrótce po jej przyjeździe, niestety, ale nie kojarzą mi się zbyt dobrze - zakończył kapitan Hodge, coraz bardziej zmieszany, widząc ponury wyraz twarzy pułkownika Mackenziego. - Wiadomo mi - tu kapitan wziął głęboki oddech - że łączą pana osobiste stosunki z panną Evans.

- To prawda, umówiliśmy się kilka razy. - Bardzo lapidarne stwierdzenie, pomyślał Joe, nawet w najmniejszym stopniu nie odzwierciedlające rzeczywistości. Oddała mu się, jak żadna inna kobieta, by wkrótce potem, jeszcze tego samego wieczoru, pójść do biura i potajemnie uaktywnić laser w samolocie Bowiego? Czy to możliwe?

Twarz kapitana Hodge wyrażała współczucie. Być może dostrzegł bezmiar bólu, który przez moment był wyraźnie widoczny w oczach Mackenziego.

- Przykro mi, pułkowniku, ale muszę zadać panu kilka pytań w związku z zaistniałą sytuacją. - Kapitan odchrząknął nerwowo. - Czy podczas tych spotkań panna Evans pytała o coś, co mogłoby mieć związek z całą sprawą Powiedzmy o ochronę lub o sam projekt Nocny Jastrząb?

- Nie, z całą pewnością nie. - O pracy rozmawiali niewiele i bardzo ogólnie. - Zresztą - dodał po chwili - po co miałyby mnie o cokolwiek pytać, miała przecież dostęp do całej bazy danych, wszystkiego, co związane było z projektem.

- To prawda, ale być może powiedziała coś, co teraz z perspektywy czasu wyda się panu podejrzane, choć wówczas nie wzbudzało żadnych podejrzeń i nie nasuwało wątpliwości.

- Nic takiego sobie w tym momencie nie przypominam. Poza tym jest za mądra i zbyt inteligentna, żeby zadawać nierozsądne pytania. Jestem głęboko przekonany, że jeśli chodzi o jej potencjalne możliwości, bez problemu mogłaby uruchomić laser. Jest nie tylko ekspertem wysokiej klasy, ale dysponuje także wszelkimi kodami dostępu. Ma zatem nie tylko konieczną wiedzę, ale i dojście do źródła.

- Czy jest coś jeszcze, o czym chciałby pan powiedzieć? - zapytał kapitan Hodge.

- Nie, ale interesuje mnie, czy w jej przeszłości miało miejsce coś, co mogłoby w obecnej sytuacji odgrywać jakąś rolę?

- Jest czysta jak łąza - przyznał kapitan. - Wszystko dokładnie sprawdziliśmy. Dlatego nie należy wyciągać zbyt pochopnych wniosków. Musimy przede wszystkim udowodnić, że stawiane jej zarzuty mają sens.

- Bardzo proszę o możliwie jak najszybsze wyjaśnienie tej sprawy. To bardzo istotne dla dalszych prac nad naszym projektem - odezwał się w końcu generał Tuell.

- Naturalnie, panie generale. Mam jeszcze jedno pytanie do pana pułkownika - zwrócił się kapitan do Joego. - Czy istnieje takie prawdopodobieństwo, że panna Evans mogła aktywować laser z pomieszczeń biurowych, a nie bezpośrednio w samolocie? Samoloty są przecież strzeżone dzień i noc.

- Jeśli ma się odpowiednią wiedzę, można tego dokonać za pośrednictwem komputera.

- No tak, a panna Evans dysponuje taką wiedzą, ma przecież podwójny dyplom: doktorat z fizyki i magisterium z informatyki, więc wie, jak sobie radzić z komputerami...

- Tak, ale to jeszcze o niczym nie świadczy - przerwał mu Joe. - Choć zgadzam się z panem, że panna Evans z pewnością potrafiłaby tego dokonać.

Generał Tuell westchnął ciężko.

- Sprawa wymaga więc szczegółowej analizy - kontynuował kapitan. - Możemy wprowadzić udowodnić, że panna Evans przebywała na terenie instytutu w dziwnych porach, ale nie znaczy to jeszcze, że faktycznie przeprogramowała komputery, powodując tym samym ten wypadek w poniedziałek. Oczywiście, wciąż istnieje możliwość, że to defekt mechaniczny, ale...

- Ale pan, panie kapitanie, nie wierzy w to?- rzucił trochę zaczepnie Joe.

- Nie wierzę - odparł krótko kapitan. - Problemy pojawiły się od dnia, w którym panna Evans rozpoczęła tu swoją pracę, a dokładniej: zaraz po tych kilku godzinach, które spędziła w nocy w biurze. Jest cywilem i uważam, że należy powiadomić o sprawie FBI, mimo że nie możemy jej jeszcze zatrzymać. Najlepiej byłoby, żeby cały zespół na jakiś czas został odsunięty od projektu.

- Dlaczego, jeśli można wiedzieć? - zapytał szybko generał.

- Na wszelki wypadek. Nikt z nas nie wie jeszcze, kto tak naprawdę stoi za całą sprawą.

- Nikt inny jednak nie pojawiał się wraz z nią w biurze - zaproponował Tuell.

- To prawda, ale to nie znaczy jeszcze, że nie podjęła z kimś współpracy. Myślę, że pułkownik Mackenzie zgodzi się ze mną, że mniej kosztowne będzie wstrzymanie testów na kilka dni niż strata kolejnej maszyny.

- To oczywiste - mruknął Joe. - Czy zamierzacie przesłuchać pannę Evans?



- Naturalnie.

- Chciałbym przy tym być obecny - powiedział Joe.

- Oczywiście, panie pułkowniku - zaszalutował kapitan.

Joe nie musiał prosić o pozwolenie, był przecież szefem projektu i zgodnie z przepisami miał do tego prawo, a kapitan dobrze o tym wiedział.

- A więc kiedy?

- Mogę wysłać swoich ludzi po pannę Evans choćby teraz, jeśli pan sobie tego życzy - oznajmił kapitan Hodge.

- Doskonale - powiedział Joe. - To chyba najlepsze wyjście.

- Panowie - generał wstał i spojrzał znacząco na pułkownika i kapitana - pozostawiam sprawę w waszych rękach i liczę na to, że się nie zawiodę. Zróbcie wszystko, co w waszej mocy, żeby jak najprędzej wyjaśnić tę sprawę.

- Tak jest - zaszalutowali obaj jak na komendę.

Gdy zamknęły się za generałem drzwi, kapitan Hodge wskazał na telefon i zapytał:

- Mogę skorzystać?

- Oczywiście - kiwnął głową Joe.

Kapitan podniósł słuchawkę, wystukał numer i po chwili spokojnym głosem wydał komendę:

- Proszę przyprowadzić pannę Caroline Evans, C-12X-114, do biura pułkownika Mackenziego. Powtórz! - zakomenderował kapitan.

Osoba odbierająca telefon najwidoczniej powtórzyła właściwy kod, bo po chwili padło tylko krótkie:

- Tak jest. Dziękuję. - Potem powoli odwrócił się do pułkownika. - Będą tu za dziesięć minut - powiedział spokojnie.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Caroline siedziała sztywno na krześle w biurze Joego, próbując uchwycić choć na chwilę jego spojrzenie. Jeszcze nigdy nie czuła się tak przeraźliwie poniżona i zraniona zarazem. Chciała, by choć na moment spojrział jej w oczy. Miała nadzieję, że wtedy od razu by zrozumiał, że nigdy nie zrobiłaby czegoś podobnego. Ale jak miała tego dokonać, skoro w ogóle nie patrzył jej w oczy. Choć nie, właściwie patrzył na nią lodowatym, przyprawiającym ją o dreszcze wzrokiem. Patrzył na nią tak, jakby była całkowicie przezroczysta; patrzył i nie widział jej. A może widział, ale na pewno nie ją - Caroline Evans. Patrzył tak, jakby jej zupełnie nie znał, jakby była mu całkowicie obca. Ten jego lodowaty wzrok przerażał ją najbardziej, bardziej niż wszystkie inne mrozące krew w żyłach okoliczności. Jak mógł jej nie wierzyć?

- Nie, nie przebywałam w biurze we wspomnianym przez pana czasie - powtórzyła już chyba po raz setny.

- Proszę zrozumieć, panno Evans, czujniki zarejestrowały zarówno pani wejście, jak i pani wyjście. - Kapitan Hodge był wyraźnie zniecierpliwiony.

- Więc czujniki się mylą - skwitowała jego wypowiedź Caroline.

- Nie ma takiej możliwości, to najwyższe osiągnięcie techniki w tym zakresie. Sama pani doskonale o tym wie.

- Nie ma innego wyjścia, musiały się pomylić.

- Czuła się zmęczona tymi powtarzającymi się pytaniami, a do tego kompletnie wewnątrznie rozbita i śmiertelnie przerażona. - Może to coś panu wyjaśni. - W końcu postanowiła powiedzieć prawdę. - W czwartek zapomniałam gdzieś mój identyfikator - wyznała.

- Ale odkryłam to dopiero w piątek rano, kiedy już wychodziłam do pracy... - Caroline urwała i westchnęła głęboko.

- Proszę kontynuować - wycedził przez zęby Joe. - Słuchamy...

- Przepraszam, ale nie mamy żadnego raportu o zaginięciu identyfikatora - przerwał kapitan. - Zdaje sobie pani sprawę, że to nie jest zgodne z przepisami. Każde zagubienie identyfikatora należy zgłaszać przełożonym. Zechce pani opowiedzieć to wszystko raz jeszcze?

- Wiem, że kiedy wchodziłam do biura w czwartek rano z całą pewnością miałam jeszcze identyfikator. Więc nie sprawdzałam w czwartek wieczorem, czy jest na swoim miejscu. Kiedy w piątek rano stwierdziłam, że go nie ma, byłam przekonana, że znajduje się w biurze.

- Ale przecież tego czwartkowego popołudnia czujniki zarejestrowały pani wyjście z budynku wraz z innymi pracownikami zespołu. A zatem musiała pani mieć przy sobie swój identyfikator, w innym przypadku czujniki nie mogłyby zarejestrować pani wyjścia. I proszę mi wierzyć, panno Evans, system działa naprawdę niezawodnie i nikt nie może go w

zaden sposób obejść. A nawet gdyby próbował, natychmiast uruchomiłby się alarm.

- Też tak myślałam jak pan. Przecież, wychodząc w czwartek z biura, musiałam posłużyć się moim identyfikatorem, a więc pewnie zapodział się gdzieś w domu. Ale po przeszukaniu rano w piątek całego mojego mieszkania doszłam do wniosku, że jednak musiałam zostawić identyfikator w biurze. A jak wyszłam? Nie potrafiłam sobie tego wytłumaczyć. Podejrzewałam, że musiałam chyba razem z kimś wychodzić i zaaferowana nie zauważyłam, że nie posługuję się swoim identyfikatorem. Nie miałam innego logicznego wytłumaczenia. Wiem tylko, że w piątek rano nie mogłam znaleźć mojego identyfikatora. Nie zgłosiłam tego, bo nie chciałam robić zamieszania. Byłam pewna, że nie zginął, tylko po prostu zostawiłam go w biurze.

- W takim razie, jak dostała się pani do biura w piątek rano? - spytał poirytowanym głosem kapitan.

- Gdy się już upewniłam, że na pewno nie mam w domu identyfikatora, zadzwoniłam do Cala, z którym jestem w przyjacielskich stosunkach, i poprosiłam, żeby poszukał go w biurze i przyniósł mi go do domu.

- Do Cala Gilchrista?

- Tak.

- I co dalej ? - ponaglał kapitan.

- No i przyniósł mi go do domu. Powiedział, że znalazł go w biurze pod moim biurkiem. Podziękowałam mu i poszłam do pracy. Jeżeli mi nie wierzycie, sami go o to spytajcie.

- Cal Gilchrist będzie przesłuchany w swoim czasie. Póki co, czujniki pokazały, że razem weszliście tego ranka do biura, by po dwóch minutach je opuścić. Potem weszła już tylko pani.

- To niemożliwe, nie weszłam przecież do budynku, zanim pan Gilchrist nie przyniósł mi mojego identyfikatora. Sam pan mówi, że to niemożliwe. Przecież gdybym miała identyfikator w domu, nie prosiłabym o pomoc Cala. A nawiasem mówiąc,

co wskażą pana super-czujniki, jeśli jedna osoba wejdzie lub wyjdzie z dwoma identyfikatorami?

Kapitan jednak zdawał się całkowicie ignorować jej pytanie. Pochylił się i zanotował coś na kartce leżącej przed nim na biurku.

- A jak pani wytłumaczy noc z niedzieli na poniedziałek- - spytał nieco sarkastycznie kapitan.

- Nie byłam w biurze przez cały weekend, aż do poniedziałku rana.

Nie mogła powstrzymać się, żeby nie spojrzeć na Joego. Co on myślał, chyba nie posądzał jej na serio o sabotowanie projektu -

- Przykro mi, ale to właśnie wskazują czujniki, a zgodnie z pani zeznaniami cały czas była pani w posiadaniu swego identyfikatora.

- Trudno mi to wyjaśnić, wiem tylko, że w poniedziałek rano znajdował się dokładnie tam, gdzie go położyłam w piątek wieczór. Z tego też miejsca wzięłam go dzisiejszego poranka.

- I nie ruszała się pani przez cały weekend ze swojej kwatery?

- Wręcz przeciwnie, spędziłam cały weekend w Las Vegas.

- I identyfikator zostawiła pani w swoim pokoju - obruszył się kapitan.

- A czy pan nosi identyfikator poza bazą- - odcięła się Caroline.

- Nie, ale to nie na mnie ciążyą pewne podejrzenia - powiedział kapitan oschle.

- Podejrzenia- A niby jakie podejrzenia- Może mi je pan w końcu przedstawi-

Hodge zdecydował, że lepiej będzie na razie przemilczeć kwestię podejrzeń. Sprawa nadal nie była jasna.

- A zatem twierdzi pani, że spędziła cały weekend w Vegas i że była pani poza bazą zarówno w piątkową, jak i w sobotnią noc i wróciła dopiero w niedzielę wieczorem?

- Dokładnie tak było.
- A jeśli można wiedzieć, gdzie się pani zatrzymała w Vegas?
- W Hiltonie - odparła krótko.
- Wprawdzie w Vegas jest ich kilka, ale w porządku, sprawdzimy to.
- Panna Evans spędziła cały weekend ze mną - wtrącił Joe. - Mogę więc potwierdzić wszystko, co działo się pomiędzy piątkowym popołudniem aż do godziny siódmej w niedzielę.
- Rozumiem - skwitował kapitan beznamiętnie.
- I identyfikator zostawiła pani w swojej kwaterze i był tu przez cały ten czas?
- Oczywiście, przecież już mówiłam - powiedziała cicho Caroline. Głupio poczuła się w tej sytuacji, jak nastolatka przyłapaną na gorącym uczynku.
- I drzwi do pani kwatery były zamknięte?- kontynuował kapitan.
- Tak, zawsze sprawdzam dwa razy, czy dobrze je zamknęłam. Nie ma mowy o pomyłce.
- Zawsze, to trochę ryzykowne słowo. To tak, jakby pani nie dopuszczała możliwości błędu. Czy chce pani przez to dać do zrozumienia, że nigdy się pani nie myli?
- Nic nie chcę dać do zrozumienia, a to, że drzwi były zamknięte może potwierdzić pułkownik Mackenzie, sam sprawdzał.
- Joe pokiwał głową, ale jego oczy były nadal nieprzeniknione i chłodne.
- Zgadza się - rzucił zdawkowo.
- A zatem twierdzi pani, że identyfikator przez cały weekend był w pani posiadaniu?
- A gdzie miałby być? - Powoli traciła cierpliwość.
- To jak zechce pani wyjaśnić fakt, że dokładnie o... Chwileczkę, niech sprawdzę. O godzinie dwudziestej trzeciej czterdzieści siedem w niedzielę czujniki zarejestrowały pani wejście na teren biura?

- Nie mam pojęcia, o tej porze leżałam już w łóżku - wyjaśniła Caroline.

- Sama? - zapytał kapitan i ściągnął brwi.

- Tak, sama.

- A zatem nikt nie może tego potwierdzić?

- Tak z tego wynika. - Miała już tego dość.

- No cóż, pani twierdzi, że była pani w łóżku, a komputery wykazują, że była pani w biurze - podsumował sarkastycznie.

- Niech pan nie traci więcej czasu, kapitanie, i skontaktuje się z Calem Gilchristem. Może on zdoła to panu jakoś wytłumaczyć, ja naprawdę nie potrafię tego zrobić.

- W czwartek rano - powiedział Joe - kiedy wszedłem do biura, natychmiast zamknęłaś jakiś plik, a zaraz potem wyłączyłaś komputer. - Jego głos był obcy i lodowaty. - Co to było? Dlaczego nie chciałaś, żebym zobaczył, co robisz?

Caroline spojrzała na niego z niedowierzaniem. A więc i on był przekonany o jej winie i nie wierzył jej słowom? Poczula się zagubiona. Próbowwała zebrać myśli, przypomnieć sobie, co to było. Zaraz, czwartek rano, co robiła w czwartek rano? Była w nie najlepszym stanie i czymś faktycznie usiłowała się zająć, ale co to było, nie miała teraz pojęcia, w żaden sposób nie potrafiła sobie przypomnieć.

- Niestety, nie pamiętam - powiedziała ledwie słyszalnym głosem.

- Panno Evans, proszę spróbować sobie przypomnieć - ponaglił ją kapitan. - Ma pani z pewnością świetną pamięć.

- W tej chwili nie jestem w stanie zebrać myśli, po prostu nie pamiętam - powtórzyła, patrząc kapitanowi prosto w oczy.

Rzuciła Joemu spojrzenie pełne wyrzutu i w tej samej chwili przeszył ją lodowaty dreszcz. Patrzył na nią z taką wściekłością i z takim obrzydzeniem, jak patrzy się na zadeptywanego robaka; jakby wyrządziła mu jakąś wielką osobistą krzywdę, jakby chciał ją zniszczyć, bez najmniejszego wahania i żalu. Ogarnęło ją przerażenie, nie mogła zaczerpnąć powietrza i

poczuła, jak wokół jej piersi zaciska się jakaś niewidoczna żelazna obręcz. Przecież oddała mu się bez reszty, jak mógł ją podejrzewać o taką zdradę? Jak mógł jej tak zupełnie nie ufać? Więc to wszystko nic dla niego nie znaczyło? Było jedynie przelotną przygodą, pomyślała z rozgoryczeniem. Poczuła się tak, jakby ktoś wylał jej na głowę kubel zimnej wody. Raz jeszcze spojrzała na Joego, na jego obcą, wrogą twarz, i w tej samej chwili twarz Caroline zbladła, a jej oczy zmatowiały.

- Więc nad czym pracowała pani tamtego poranka ? - powtórzył swoje pytanie.

- Nie pamiętam. - Jej głos był teraz równie matowy, jak jej oczy. - Jeśli dobrze rozumiem, jestem podejrzana o sabotaż - dodała po chwili beznamiętnym głosem.

- Nikt tego jeszcze nie powiedział - odparł kapitan Hodge.

- Ale z tej rozmowy jasno wynika, o co chodzi. To praktycznie przesłuchanie, a może się jednak mylę? - Uporczywie wpatrywała się w kapitana. Nie mogłaby teraz spojrzeć Joemu w oczy. Nie wiedziała, czy kiedykolwiek będzie to jeszcze możliwe. Być może, kiedy będzie już sama, łatwiej się pozbiera, ale teraz miała wrażenie, jakby coś wypalało ją od środka. Ból zawodu sprawił, że nie była w stanie poradzić sobie z sytuacją, w której się znalazła. - Jak dotąd, mimo wielokrotnych prób, nie udało nam się znaleźć żadnego błędu w systemie laserowym samolotu, którym leciał kapitan Wade - wyjaśniła rzeczowo. - Omawialiśmy to dzisiaj w zespole i nasz szef, Yates Korleski, miał zamiar rozmawiać na ten temat dziś wieczorem z pułkownikiem Mackenzie. Sądzymy, że błąd tkwi w programie komputerowym.

Kapitan Hodge zdawał się być zainteresowany jej słowami.

- O jakim rodzaju błędu pani mówi?

- Tego jeszcze nie wiemy. Musielibyśmy porównać program, który znajduje się w komputerze z oryginałem - wytłumaczyła - i zobaczyć, czy są w nim jakieś zmiany.

- A jeżeli okaże się, że są, to co wtedy?



- To trzeba sprawdzić, jakiego rodzaju są to błędy - dodała.  
- Jeśli można spytać, czyj to był pomysł, żeby porównać nasz program z jego oryginałem? - zapytał Hodge.

- Mój.

- Co naprowadziło panią na ten pomysł - dopytywał się kapitan.

- W drodze eliminacji doszłam do wniosku, że po kilkakrotnym sprawdzeniu wszystkiego, co mogło zawierać błąd bądź mechaniczną usterkę, pozostał do sprawdzenia jedynie program komputerowy. Myślę, że być może tam udałoby się stwierdzić jakiś błąd.

- Tak się składa, że ów program działał idealnie, zanim pojawiła się pani. Z drugiej strony rozumiem, że byłoby to nie lada osiągnięciem dla pani rozwiązać tak skomplikowany problem.

Zszokowały ją te słowa, ale nawet nie drgnęła jej powieka. Popatrzyła jedynie na kapitana kamiennym wzrokiem.

- Jako że to nie ja usiłowałam sabotować ten projekt, to faktycznie ma pan rację, że to właśnie mnie przypadłaby chwała za zlokalizowanie błędu.

- O nic panią nie oskarżam - zaproponował kapitan. - Ja tylko wypełniam swoje...

- Mam nienaganną reputację i właśnie dlatego się tu znalazłam - przerwała mu ostro.

- Ale jednak nie wzięto pani do tego projektu od razu na samym początku. Nie była pani tym rozczarowana? - naciskał.

- Nie, nie byłam, ponieważ pracowałam nad czymś innym. Trudno byłoby mi znaleźć się w tym samym czasie jednocześnie w dwóch miejscach. Nie sądzi pan? Kiedy zakończyłam swoją pracę, a było to jakiś miesiąc temu, projekt Nocny Jastrząb był już od dawna w toku. To wszystko może sobie pan sprawdzić - dodała, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć.

- Yhm... - mruknął pod nosem, przeglądając rozłożone na biurku notatki. Po chwili spojrział na nią, lekko się uśmiechając. - Wydaje mi się, że to na razie wszystko, panno Evans. Może pani już odejść. Aha - dodał jeszcze - proszę na razie nie opuszczać bazy. Nie przyniosłoby to pani najmniejszych korzyści, gdyby panią złapano na próbie ucieczki.

- A może także nie wolno mi korzystać z telefonu?

- A czy potrzebuje pani do kogoś zadzwonić? - spytał, marszcząc czoło. - Może na przykład do prawnika?

- A czy uważa pan, że potrzebuję prawnika?

I znowu ten jego niewinny uśmiech, pomyślała ze złością.

- Dlaczego? Przecież nie postawiliśmy pani żadnych zarzutów. Jeszcze nie - dodał po chwili.

Te rzucone na zakończenie dwa słowa „jeszcze nie” wkurzyły ją do reszty.

- A więc nie postawiono mi żadnych zarzutów, ale nie wolno mi opuścić bazy. Coś tu się nie zgadza, nie sądzi pan? Proszę nie zapominać, że jestem pracownikiem cywilnym i nie podlegam wojskowej jurysdykcji.

- Proszę pozwolić sobie zatem przypomnieć, że jest pani zatrudniona na terenie bazy militarnej i pracuje pani nad ściśle tajnym wojskowym projektem. Woli pani, abym postarał się o nakaz aresztowania? Jeśli pani sobie życzy, mogę to naturalnie zorganizować.

- Uprzejmie dziękuję, osiągnął pan swój cel.

- Tak też sądziłem.

Caroline powoli wstała. Była tak bardzo zdenerwowana, że nie wiedziała, czy uda jej się powstrzymać drżenie kolan. Wyszła z biura, nawet nie spoglądając w kierunku Joego.

Jak pogadają z Calem, wszystko się wyjaśni, pocieszała się. Wtedy się przekonają, gdzie mogą sobie wsadzić te swoje drogocenne, nieomyłne czujniki. A może w wyniku jakiegoś nieporozumienia wydano dwa identyfikatory z tym samym

kodami? A może ktoś wszedł z duplikatem jej identyfikatora do biura i rzeczywiście grzebał przy programie komputerowymi?

Tak naprawdę nie przerażało jej to, że chciano oskarżyć ją o sabotaż, choć ta rozmowa z kapitanem naprawdę nie należała do przyjemności. Wiedziała jednak, że jakoś sobie z tym poradzi. Na pewno znajdzie się jakieś wyjaśnienie i zostanie oczyszczona z podejrzeń kapitana Hodge'a. Ale Joe?- Jak on mógł jej coś takiego zrobić? Najmocniej utknęło jej w pamięci to jego lodowate spojrzenie, a świadomość, że jej nie ufał, doprowadzała ją do czarnej rozpacz. Co więcej, sposób, w jaki na nią patrzył, nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że był absolutnie przekonany o tym, że byłaby zdolna do tak ohydnych czynu.

Popełniła fundamentalny błąd, który wynikał z jej braku doświadczenia w kontaktach z mężczyznami. Była przekonana, że kochać się z facetem, i to jak się kochać, oznaczało automatycznie być z nim w bliskim związku. A tymczasem okazało się, że seks nie ma nic wspólnego z jakimikolwiek innymi relacjami. To sprawa czysto fizjologiczna i naiwnością byłoby sądzić, że jest inaczej. Przywiązywała do tego wszystkiego zbyt wielką wagę, i podczas gdy ona się z nim kochała, on jedynie uprawiał seks.

Jak mogła się tak strasznie pomylić?- Na szczęście przynajmniej nie zagalopowała się na tyle, by sądzić, że jest w niej zakochany, ale miała przecież autentyczne wrażenie, że w pewien sposób mu na niej zależy.

Do diabła z tym wszystkim! Po takiej aferze nie może przecież tu pracować, widywać go każdego dnia ze świadomością, że była jego kochanką. Nie miała pojęcia, jak upora się z tym problemem, ale jedno było pewne: albo uda się jej pokonać własne opory i zostanie w bazie, albo poprosi, aby wyłączono ją z projektu i w ten sposób zrujnuje swoją zawodową reputację. Wiedziała, że byłby to krok całkowicie

desperacki, i że praca będzie jedyną rzeczą, która jej po tym wszystkim tak naprawdę zostanie. Nie mogła więc zrobić czegoś tak głupiego. Błąd na błędzie, tego byłoby zbyt wiele. A zatem skończy ten cholerny projekt i nie zaprzepaści swojej zawodowej kariery przez faceta, nawet gdyby miał nim być Joe Mackenzie. Zatnie się w sobie i będzie traktować go jak każdego innego kolegę w pracy, a nawet spróbuje być dla niego miła. Nie pozwoli zrujnować się psychicznie, o nie, co to, to nie. Niech sobie nie myśli, że wpadnie w rozpacz z jego powodu, ale niech też nie liczy na to, że kiedykolwiek jeszcze otworzy przed nim serce. Zbyt wiele kosztowała ją ta historia, znacznie więcej, niż mogła wytrzymać. Drugi raz nie przeżyłaby takiego zawodu.

Wkrótce okazało się, że ten incydent z przesłuchaniem, to zaledwie początek kłopotów, jakie miały spaść na Caroline Evans.

Późnym wieczorem kapitan Hodge poinformował pułkownika Mackenziego, że Cal Gilchrist kategorycznie zaprzeczył, jakoby miał znaleźć identyfikator panny Evans w biurze, i w ogóle brać udział w jego poszukiwaniu.

- Powiedział - kontynuował Hodge - że zadzwoniła do niego w piątek rano i poprosiła go, by odprowadził ją do biura. Podobno bała się, bo ktoś niby miał ją śledzić poprzedniego dnia. Wszedł więc z nią do biura, szybko sprawdził budynek, a potem wrócił do swojej kwatery, wziął prysznic i ogolił się, by następnie wyjść do pracy.

Joe przysłuchiwał się temu z kamienną twarzą. Do tej pory miał jeszcze nadzieję, że Gil potwierdzi wersję Caroline. Ale teraz wszystko było już praktycznie przesądzone. Caroline wielokrotnie złamała przepisy, a teraz jeszcze do tego kłamała. Skąd jej przyszło do głowy, że Gilchrist będzie ją krył? No, może, w końcu zaprzyjaźnili się ze sobą. Kto wie, może nawet w przeszłości łączyło ich coś więcej i stąd jej przekonanie, że w razie czego wstawi się za nią... Nie, zaraz, co jak co, ale to

jedno wiedział na pewno. Caroline wcześniej nie była z żadnym innym mężczyzną. A dlaczego nie zwróciła się do Adriana? Bo Adrian z pewnością nie kiwnąłby palcem, żeby jej pomóc. Wszyscy słyszeli, jak sobie nawzajem docinali.

- A co z Korleskim? - zapytał Joe kapitana. - Czy rzeczywiście omawiali wcześniej możliwość błędu w programie komputerowym?

- Tak, to prawda. I potwierdził także, że to ona zasugerowała sprawdzenie programu. Yates Korleski uważa - dodał kapitan sceptycznym tonem - że nie posunęłaby się do sabotowania projektu, żeby zebrać laury za jego uratowanie. Uważa, że nie zrobiłaby tego także dla pieniędzy.

- A ma jakieś podejrzenia wobec kogoś innego? - zapytał bez ogródek Joe.

Kapitan pokręcił przecząco głową.

- Nie padło żadne nazwisko, nawet na moje wyraźne pytanie.

- Sprawdzono już wszystkich?

- Jeszcze nie, ale wydają się być bez skazy. Jej też nikt by nie podejrzewał, gdyby nie to, co zarejestrowały czujniki.

Joe także nigdy w życiu by się po niej tego nie spodziewał. Gdyby nie czujniki, byłaby ostatnią osobą, którą wzięłby pod uwagę. Ale tak? Zastanawiał się tylko, czy to, co ich połączyło, było ściśle zaplanowane i wykalkulowane. Ale po co miałyby to robić? Przecież nie potrzebowała od niego żadnych informacji, do wszystkiego miała pełen dostęp. Zresztą, nie rozmawiali o sprawach zawodowych poza bazą. Z pewnością nie liczyła na to, że będzie ją krył tylko dlatego, że ze sobą spali.

Coś tu było nie tak. Nigdy wcześniej nie był jeszcze taki wściekły i tak piekielnie zraniony. Marzył o tym, by mógł odciąć się od wszelkich emocji i spojrzeć na całą sprawę chłodnym okiem, obiektywnie. A jednak nie potrafił, Caroline za bardzo go pociągała, za bardzo się zaangażował. A z drugiej strony wiedział, że praca nad projektem Nocnego Jastrzębia

jest najważniejszą sprawą w jego życiu. Oddałby je zresztą bez wahania, by tylko chronić te maszyny. I nawet jeśli ktoś miał go za szaleńca, było mu to całkowicie obojętne. Kochał te samoloty tak, jak ludzie kochają własne dzieci i wiedział, że mają wprost nieocenioną wartość strategiczną dla obronności jego ojczyzny. Każdego, kto w jakikolwiek sposób im zagraża, jednym ruchem zmiotłby z powierzchni ziemi. Należały do niego, tak jak Caroline, i gdyby wybór dotyczył czegoś innego, bez wahania wybrałby ją. Ale w tym wypadku nie mogło być mowy o żadnym wyborze, bo Nocny Jastrząb stał poza wszelkimi wyborami.

Joe wziął głęboki oddech i przymknął oczy. Na Boga, wszystko świetnie, ale przecież na zdrowy rozsądek Caroline nie była typem człowieka, który mógłby zakradać się nocą do biura i robić takie rzeczy. Oczywiście nie znał jej zbyt dobrze, ale wiedział, że mógł się zdać na własne przeczucie. Miał intuicję i na ogół go nie zawodziła. Poczul nagle, że musi spotkać się z Caroline sam na sam, bez żadnych świadków. Musi z nią porozmawiać i poznać całą prawdę. Tak, to było jedyne rozsądne wyjście.

Nie myśląc dłużej, wstał z miejsca i ruszył w stronę drzwi.

- Wychodzę - mruknął. - Idzie pan, kapitanie, czy zostaje tu?

- Idę. - Kapitan Hodge poderwał się z krzesła, lekko zaskoczony zachowaniem pułkownika Mackenziego.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Joe szedł szybkim, zamaszystym krokiem, czując, że natychmiast musi pomówić z Caroline. Był tak napięty i sfrustrowany całą tą historią, że zatrzymał się dopiero w pół drogi. Trochę oprzytomniał. Rozejrzał się wkoło. Na szczęście nikogo nie było w pobliżu. Wiedział, że zachowuje się irracjonalnie, ale nie miał zbyt wiele czasu, żeby się teraz nad tym zastanawiać. Zaskakując samego siebie, nagle zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni. Nie, w takim stanie nie mógł się u niej pokazać, nic dobrego by z tego nie wynikło. Był zbyt wściekły, zbyt naładowany, żeby stanąć z nią twarzą w twarz. Jak nigdy dotąd. Ale też nikt jeszcze nigdy nie zdradził go w tak ohydny sposób. Jak mogła coś takiego zrobić? Zachodził w głowę, ale zupełnie nie mógł znaleźć żadnego rozsądnego wytłumaczenia. Może zrobiła to dla pieniędzy...

Zdrada! Słowo to echem odbijało się w jego głowie. Zdrada... Jeśli zostanie postawiona przed sądem, to z pewnością wiele lat spędzi za kratkami, bez możliwości zwolnienia warunkowego. I być może już nigdy i więcej nie będzie trzymał jej w

ramionach. Poczul, jak wzbiera w nim wściekłość, która bez wysiłku rozsądziłaby ściany jego kwatery. Więc ten jeden weekend miał starczyć mu do końca życia? To niemożliwe, jęknął. A jeśli jest w ciąży? Co wtedy? Z tego powodu sąd jej nie ulaskawi i nikt nie zdoła wybronić jej przed więzieniem. Zresztą, czy w ogóle powiedziałaby mu o tym? Od chwili, kiedy wynikła ta historia z sabotażem, nawet na niego nie spojrziała. Przyglądał jej się bacznie, chcąc odczytać jej myśli, ale nic z tego nie wyszło, żadnych wniosków. W ciągu kilku zaledwie godzin zmieniała się nie do poznania: z uroczej, pełnej życia i energii dziewczyny zamieniła się w sztywnego manekina ze szklanymi oczami. Obserwowanie tej przemiany było naprawdę przerażające, mroziło krew w żyłach.

Miał ochotę złapać ją za ramiona i potrząsnąć nią z całej siły, żeby przywrócić ją do życia. Lecz tego nie zrobił. O niczym innym nie mógł myśleć, jak tylko o tym, żeby porwać ją w ramiona i kochać się z nią; udowodnić jej, że należy do niego, tylko do niego.

Caroline leżała na wąskim łóżku w swoim skromnym apartamencie i raz po raz wstrząsały nią silne dreszcze. Była zbyt słaba, by wsunąć się pod koc. Nie miała siły nawet się poruszyć. Zdołała jeszcze wziąć prysznic i włożyć piżamę, ale na tym koniec, jej akumulator się wyczerpał. Leżała w ciemności, wpatrując się w niewidoczny sufit i wsłuchiwała się w rytm swojego serca. Mimo że był słaby i mało wyrazisty, to jednak utwierdzał ją w przekonaniu, że wciąż jeszcze żyje. Przynajmniej fizycznie. Miała bowiem wrażenie, że jej dusza umarła.

Przecież musieli już rozmawiać z Calem i z pewnością wszystko się wyjaśniło, a zatem Joe wie już, że popełnił błąd. Tylko dlaczego nikt jej o tym jeszcze nie poinformował? Podświadomie cały czas czekała na telefon. Chyba nie byli na tyle głupi, żeby sądzić, że po tym wszystkim śpi sobie



smacznie. A może woleli poczekać z tym do rana i dopiero rano wszystko się wyjaśni? Lecz co będzie, jeśli Cal skłamał? Caroline zeszywniała. Nie mogła przecież nie brać pod uwagę tej możliwości.

Cal był absolutnym mistrzem, jeśli chodzi o komputery. Przypomniała sobie, jak stali w hangarze i analizowali wszystkie możliwe przyczyny tej wcześniejszej awarii. Cal pierwszy wpadł na właściwy trop, ale dopiero wtedy, gdy zaczęła gmerać w jego komputerze. Wcześniej się jakoś nad tym nie zastanawiała, może dlatego, że w ogóle nie brała takiej możliwości pod uwagę. Ale jeżeli faktycznie mataczył coś przy komendach, to z pewnością nie chciałby, żeby ktoś grzebał mu w komputerze. Wiedział przecież, że skończyła informatykę. A poza tym, od czasu, kiedy wynikła ta cała sprawa, wyglądał na kompletnie wyczerpanego. Czyżby z niewyspania? No i był jedyną osobą, która dotykała jej identyfikatora. Może znalazł jej identyfikator już wcześniej, w czwartek po południu, i wyszedł razem z nią, żeby zmylić czujniki? Nie miała pojęcia, że czujniki rejestrują każde wejście i wyjście, ale to nie znaczy, że on tego nie wiedział. Pracował przecież przy Nocnym Jastrzębiu od samego początku, więc z całą pewnością był we wszystkim doskonale zorientowany.

No dobrze, o ile w czwartek dało się to wszystko jeszcze jakoś wyjaśnić, to jakim cudem miałyby dostać się do budynku przy użyciu jej identyfikatora w niedzielę? Czy taki identyfikator można podrobić? Dla takiego geniusza jak on wszystko jest możliwe. A kiedy zadzwoniła do niego w piątek rano z prośbą, żeby poszukał jej identyfikatora w biurze, dała mu tym samym idealną okazję, żeby mógł jej go zwrócić, nie wzbudzając najmniejszych podejrzeń. Na jakiej podstawie przypuszczał, że to jego poprosi o pomoc? Caroline szybko przeprowadziła pobieżną selekcję: do Adriana nie zadzwoniłaby nigdy w życiu, do Yatesa tak, ale od razu też nie i do Joego tym bardziej nie. A zatem mógł się tego

spodziewać. Ale gdyby nie ten jej telefon, to przecież nigdy w życiu nie podejrzewałyby właśnie jego.

Już sama nie wiedziała, co ma o tym wszystkim sądzić. Nie miała pojęcia, czy to Cal, czy ktoś inny, ale miała nadzieję, że przynajmniej i jego wezmą pod lupę.

Że nie będzie już jedyną podejrzaną i zamieszaną w tę aferę.

Wiele można było wyjaśnić przez porównanie programów komputerowych, a jeśli Cal rzeczywiście coś zmajstrował przy komendach, to z pewnością będzie można to udowodnić. A może będzie próbował wszystko zatuszować i jeżeli okaże się to konieczne, także dostarczyć więcej dowodów przeciwko niej?- Skoro już raz wziął ją na muszkę...

Serce Caroline zaczęło mocniej bić. Jeżeli słusznie podejrzewa Cala, a on planuje coś jeszcze, to z pewnością nie będzie czekał z tym długo i zrobi to dzisiejszej nocy, póki wszystko jest w miarę świeże, a ochrona nie dostała polecenia, by zdwoić swoją czujność. Wprawdzie zespół odpowiedzialny za lasery został chwilowo odsunięty od pracy, ale nie oznaczało to, że zablokowano także ich kody.

Pomyślała, że na pewno zakończyli już przesłuchania, ale ponieważ zrobiło się bardzo późno, postanowili poczekać z tym do jutra. Najważniejsze, że formalnie nie postawiono jej dziś żadnych zarzutów. Może jednak Cal swoimi zeznaniami oczyścił ją ze wszystkich podejrzeń?- Zrobiło się jej głupio, że jeszcze przed chwilą uważała go za głównego podejrzanego, który pewnie zechce ją zrobić w tę aferę.

Zwlokła się z łóżka i wolno podeszła do okna. Na ulicy, przed jej domem, stał zaparkowany samochód ochrony. Mimo panujących ciemności widziała dwóch mężczyzn siedzących wewnątrz. Nie wyglądało na to, że chcą robić ze swojej obecności tajemnicę. A więc gdyby chciała teraz wyjść z domu, na pewno zostałaby zauważona. Ani okno, ani drzwi nie wchodziły w rachubę. Pozostało jeszcze małe, wąskie okienko w sypialni, ale nie była pewna, czy udałoby się jej przez nie

wydostać. Wyrzała na zewnątrz. Nie zauważyła niczego podejrzanego, teren wydawał się być czysty. Ale i jaki był sens ładować się w kłopoty, wymyślając jakieś i nocne eskapady? A może te jej wszystkie podejrzenia, to czysta fantazja i Cal śpi teraz smacznie w swoim łóżku? Może jest zupełnie niewinny?

Po omacku podeszła do telefonu i wybrała numer Cala. Nie chciała zapalać światła. Ci dwaj nie musieli wiedzieć, że ma kłopoty z zaśnięciem.

Jeśli Cal odbierze, pomyślała, pogadam z nim chwilę, a jeśli nie... Przy piątym dzwonku zaczęła powątpiewać, czy Cal jest u siebie, ale czekała dalej, na wypadek, gdyby mocno spał. W końcu z wściekłością i odłożyła słuchawkę.

Niech go szlag trafi! Sądziła, że jest jej przyjacielem. Lubiała go i mu ufała. Cholera, co za życie! Najpierw Joe, a teraz Cal. Nie, o Joem nie może teraz myśleć, to za bardzo by bolało. Całą swoją złość skierowała więc na Cala.

Jeszcze raz rzuciła okiem na okno w sypialni. Psiakrew, to nie okno, to lufcik! Poza tym musiałyby rozmontowywać po ciemku cały zamek, bo okna zamykane tu były na klucz. Zerknęła raz jeszcze, a niech tam, nie zaszkodzi spróbować. W końcu nie najgorzej radziła sobie z takimi rzeczami i praktycznie nigdzie nie ruszała się bez podstawowego zestawu narzędzi. Wymagała tego praca przy montowaniu komputera. Wyjęła z szafy swój podręczny komplet i położyła go na łóżku. Miała tam też maleńką latarkę. Na tyle małą, że jej światło z pewnością nie zaalarmuje strażników.

Sprawa okazała się prostsza, niż przypuszczała i po kilku minutach wymontowany lufcik leżał na jej łóżku obok narzędzi. Wbrew pozorom była to łatwiejsza część tego przedsięwzięcia. Teraz bowiem musiała jakimś cudem prześliznąć się przez ten wąski otwór w murze, najpierw jednak postanowiła się przebrać. Najpraktyczniejsze byłyby jakieś ciemne ubrania, ale niczego takiego nie miała. Była w końcu na pustyni w południowej Nevadzie i nie przewidywała,

ze będzie musiała przemykać się niepostrzeżenie w ciemnościach nocy. Zajrzała do szafy, świecąc sobie przy tym mini-latarką. Wybrała wreszcie spodnie do joggingu i bawełnianą podkoszulkę. Wsunęła do kieszeni identyfikator. Jeżeli ją przyłapią, to przynajmniej nikt jej nie zarzuci, że włóczy się po nocy bez żadnego dokumentu. Wzięła też ze sobą klucze, mając nadzieję, że jej powrót do domu będzie wyglądał nieco inaczej niż wyjście. Jeśli uda jej się przyłapać Cala na gorącym uczynku, to nie będzie musiała martwić się ochroniarzami przed jej domem.

Spojrzała na wąski otwór w murze i wróciła do kuchni po krzesło. Okno było stosunkowo wysoko, i wspięła się więc na palce i udało jej się przełożyć jedną [nogę przez tą dziurę w murze. Następnie wsunęła ramię, głowę i tułów. Otwór był faktycznie bardzo wąski. Poczowała piekący ból; coś zadrapało ją w pośladek. Zignorowała ten ból i po chwili znalazła się po drugiej stronie muru. Nie było już drogi odwrotu. Od ziemi dzieliły ją jakieś dwa metry, musiała liczyć się z tym, że się nieźle potłucze. A jeśli skręci kark lub złamie rękę albo nogę?

Zderzenie z ziemią było bardziej bolesne, niż przewidywała. Teren pod oknem wysypany był bowiem drobnymi kamyczkami. Przewróciła się, raniąc sobie skroń i policzek, zaś w jej lewej dłoni utkwily mikroskopijne drobinki. Syknęła z bólu, ale po chwili podniosła się i otrzepała ubranie. Nie zamierzała przecież czekać w tym miejscu, aż ją nakryją. Kręciło się jej w głowie i nie wiedziała, czy to z powodu upadku, czy skoku adrenaliny bo przecież nie mogła zaprzeczyć, że była zdenerwowana. Uszła może jakieś sto metrów i przycupnęła w pobliskich krzakach. Obrażenia jednak dały jej się we znaki. Delikatnie oczyściła dłoń i bolące kolana, obejrzała też zranione miejsce na pośladku. Na szczęście już nie leciała jej krew. Delikatnie dotknęła dłonią policzka. Zadrapania piekły, jakby płonęły żywym ogniem. Zawahała się na moment. A może nie powinna się ukrywać? Jeśli będzie

zachowywała się zwyczajnie, może nikt nie zwróci na nią uwagi?

Joe odrzucił prześcieradło i zerwał się na równe nogi.

Dłużej nie był w stanie tego znieść. Dosłownie wskoczył w spodnie i buty, naciągnął na siebie podkoszulek. To już nie chodziło o sprawy służbowe, ale o jego życie. A długa, bezsenna noc do reszty wyczerpała jego cierpliwość. Spojrzał na zegarek i z niedowierzaniem pokręcił głową. Dopiero druga? To niemożliwe, pomyślał. Wiedział, że nie zaśnie, dopóki nie porozmawia z Caroline. Chciał usłyszeć od niej, dlaczego to zrobiła, chciał, żeby mu to jakoś wyjaśniła, chciał zrozumieć. Niech mu powie to prosto w oczy.

Zdecydował, że pójdzie piechotą. Miał nadzieję, że ta krótka przechadzka ukoji trochę jego skołatane nerwy. Był dosłownie bliski eksplozji, czuł wyraźnie, jak narasta w nim wściekłość i rozczarowanie. Ostatni raz stracił nad sobą kontrolę gdy miał sześć lat i przyrzekł sobie wtedy, że nigdy więcej się to nie powtórzy. Ale nie mógł się przecież spodziewać, że kiedykolwiek przydarzy mu się w życiu coś tak bezsensownego. Tak, Caroline wystawiła jego cierpliwość na ciężką próbę.

Nie przeszedł jeszcze nawet połowy drogi, gdy dostrzegł w ciemności szczupłą sylwetkę, podążającą z naprzeciwka. W pierwszej chwili pomyślał, że ma halucynacje. Ukrył się za pobliskim krzewem i przycupnął w oczekiwaniu na to, co nastąpi. Nie miał najmniejszych wątpliwości, kto to był. Jasne włosy, wąskie ramiona i ten szczególny sposób, w jaki poruszała biodrami. Czyżby szła do niego, żeby się z nim spotkać? Poczuł, jak jego serce przyspiesza bieg. Jakim cudem ominęła ochraniarzy? Sprawa wydawała się być bardziej skomplikowana, niż się spodziewał. Przecież sam ustalił z kapitanem Hodge'em, że będą pilnować i jej kwatery całą noc. Słyszał przecież na własne uszy, jak Hodge wydawał

odpowiednie rozkazy. A tymczasem ona, jak gdyby nigdy nic, spacerowała sobie tu o drugiej w nocy, nic nie robiąc sobie z żadnych zakazów. Nikogo z ochrony nie było w polu widzenia. Przeszła obok niego, nie zauważając go. Dopiero gdy znalazła się w bezpiecznej odległości, bezszelestnie ruszył za nią. Przez ułamek sekundy miał jeszcze nadzieję, że skręci na drogę prowadzącą do jego kwatery. Lecz ku jego rozczarowaniu, szła wprost na budynki, w których znajdowały się biura zespołu laserowego.

Poczuł w sobie narastającą do granic wytrzymałości wściekłość. Miał ochotę złapać ją za ramiona i potrząsnąć nią na tyle mocno, żeby wreszcie oprzytomniała. Co ona wyprawiać Czyżby nie zdawała sobie sprawy, w jakich znalazła się tarapatach?- Musiała wiedzieć, a jej obecny czyn dobitnie świadczył o jej winie. Zapewne miała zamiar dokończyć swe zdradzieckie dzieło. Przez moment zastanawiał się, czy przypadkiem nie powiadomić ochrony. Doszedł jednak do wniosku, i sam zajmie się tą sprawą i zdecydował się ją śledzić. Pomyślał, że właściwie przyłapanie jej na gorącym uczynku sprawiłoby mu niemal fizyczną przyjemność.

Obserwował, jak Caroline się zatrzymuje, jak wyjmuje coś z kieszeni i przyczepia do koszulki. Identyfikator? Dlaczego Hodge jej go nie odebrał? Najwyraźniej nie widział takiej potrzeby. Tak bardzo był przekonany o niezawodności swoich ludzi, że i on zaniedbał w oczywisty sposób swoje obowiązki. Znowu ogarnęła go wściekłość, tym razem wściekłość na siebie i na Hodge'a. Byli kompletnymi idiotami, dyletantami, a przecież tu chodziło o bezpieczeństwo Nocnego Jastrzębia. Przechytrzyła ich wszystkich. I co z tego, że nie wolno było jej opuścić bazy? Dla niej tym lepiej, tu mogła narobić niezłego bigosu.

Spojrzał w stronę ich biura i ku swemu zdziwieniu dostrzegł na górze przytłumione światło. A więc ktoś już tam był? Ale kto? Caroline też to zauważyła. Widział, jak odwróciła głowę

w kierunku światła. Podeszła do drzwi, otworzyła je i po cichu wśliznęła się do środka. Nie dalej niż po dwudziestu sekundach i on był już wewnątrz budynku. Nie miał przy sobie identyfikatora, bo przecież nie przewidział takiego rozwoju sytuacji. Wiedział, że natychmiast zostanie zaalarmowana ochrona. Ale nie było to teraz ważne. Caroline wchodziła właśnie do pomieszczeń biurowych.

- Co ty tu robisz? Dlaczego użyłeś mojego identyfikatora? - krzyknęła z wściekłością do kogoś, kto znajdował się w pomieszczeniu. - Nie sądzisz, że wszystkie czujniki oszaleją, gdy zarejestrują, że Caroline Evans dwa razy pod rząd weszła do budynku, wcale go nie opuszczając? Jaki masz w tym interes? Dlaczego chcesz sabotować ten projekt, zdrajco!

Kompletna idiotka, zaklął w duchu Joe. Wpakowała się tam, bez żadnych zabezpieczeń, a zdrajca może być przecież niebezpieczny. Bezszelestnie puścił się biegiem w stronę drzwi, modląc się w duchu, by zdążył przed wystrzałem z pistoletu. W tym samym momencie usłyszał nagły, raptowny ruch, a potem krótki jęk, poprzedzony odgłosem uderzenia. Wpadł do środka i ujrzał Caroline leżącą na podłodze. Cal Gilchrist stał przed monitorem komputera.

- Za późno - powiedział i spojrzał w kierunku Joego.

W tym momencie Joe poczuł silne uderzenie w skroń. Nie zdążył się już odwrócić, by choć jednym okiem dojrzeć, kto za nim stał. Odruchowo chwycił się ręką za głowę, chcąc spróbować zebrać myśli, lecz już po chwili zapadł się w całkowitą ciemność.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Caroline z wielkim trudem otworzyła oczy, lecz natychmiast je znowu zamknęła. Silne, jasne światło poraziło ją boleśnie. A więc jest już dzień, pomyślała, z wysiłkiem zbierając myśli. Spróbowała się poruszyć i w tym samym momencie zamarła. Miała wrażenie, że głowa za chwilę jej po prostu pęknie. Była nieprawdopodobnie obolała i tak mocno związana, że dosłownie nie czuła rąk i nóg.

- O Boże - jęknęła cicho i wtedy dopiero się zorientowała, że jest także zakneblowana. Usłyszała w pobliżu jakieś dwa męskie głosy. Jeden z nich z pewnością należał do Cala, ale ten drugi... Skądś go znała, ale nie mogła sobie przypomnieć, czy to głos.

Zaryzykowała raz jeszcze próbę otwarcia oczu. W żółtym tempie podniosła powieki i po chwili zorientowała się, że leży na podłodze jakiegoś samochodu, a obok niej znajduje się czyjeś ciało. Zacisnęła i z przerażeniem powieki, uświadomiwszy sobie, że jest to mężczyzna. A jeżeli mają zamiar mnie zgwałcić albo, co gorsze, już to zrobili? Zaraz, zaraz, tylko spokojnie, pomyślała, raz jeszcze zerkając w stronę, leżącego obok niej mężczyzny. Nagle napotkała rozjuszony spojrzenie błękitnych oczu... To Joe! Nawet gdyby nie była zakneblowana, nie wydusiłaby z siebie ani słowa. Zamurowało ją ze zdumienia. Jakim cudem się tutaj znalazło? Jak to możliwe, że dorwali i jego? Tysiące pytań kłębiło się w jej głowie. Same znaki zapytania. Dopiero teraz ogarnęła ją panika. A więc oboje wpadli w łapy tego zdrajcy Cala i jego wspólnika. I co będzie dalej?

- Lepiej się stąd zabierajmy - wyrzucał z siebie gorączkowo Cal. - Zwiejemy zagranicę i wszystko pójdzie w zapomnienie. Jestem spalony, nie mogę już nic zrobić, rozumiesz? Przetestują cały system od A do Z i znajdą wszystko, co do joty, rozumiesz?



- Zawsze mówiłem, że się nie nadajesz do tej roboty - podsumował lekceważąco drugi głos.

Caroline oderwała wzrok od Joego i nadludzkiem wysiłkiem przekręciła głowę tak, że mogła dojrzeć, co dzieje się na przedzie samochodu. Obok Cala, który prowadził samochód, siedział jakiś mężczyzna. Nie rozpoznała go od tyłu, ale mimo to miała wrażenie, że go zna.

- Stary - syknął przez zęby Cal - nie było mowy o morderstwie.

- A gdyby zginął ten pilot podczas akcji, to co by to było?

- To co innego - wymamrotał Cal. - To byłby wypadek, a ty mówisz teraz o morderstwie z zimną krwią. Nie mam zamiaru brać tego na siebie.

- Nikt cię o to nie prosi - odparł chłodno ten drugi. - Nie nadajesz się do tego, niech cię więc to nie obchodzi. My się tym zajmujemy, to już nie twoja sprawa. Nawet się nie dowiesz, gdzie i jak.

Psiakrew, gdyby tylko mogła rozwiązać jakoś ręce, pomyślała Caroline, chyba rzuciłaby się do gardła temu bandziorowi! Mówił o zabójstwie, jak gdyby to była zwykła robota, jakieś pranie lub sprzątanie, albo coś w tym rodzaju. Nie mogła tego pojąć.

Poczuła, że Joe poruszył się i po chwili aż stęknęła z bólu. To Joe, chcąc nawiązać z nią kontakt, kopnął ją w nogę. Była tak strasznie poturbowana, że omal nie zawyła. Odwróciła głowę i zaczęła gwałtownie nią potrząsać, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że nie wolno mu tak więcej robić. Na wszelki wypadek, by nie miał już żadnych wątpliwości, odpląciła mu silnym kopniakiem. Zacisnął powieki i wiedziała, że teraz na pewno zrozumiał, o co jej chodzi.

Zdażyła się już zorientować, że jadą dużą furgonetką. Co jakiś czas słychać było mijające ich samochody.

Zapewne był to samochód dostawczy, nie przeznaczony do przewożenia pasażerów. Podłoga była bowiem z twardej,

zimnej blachy. Na każdej najmniejszej nierówności na drodze samochód podskakiwał i trząsał się, jakby w ogóle nie miał resorów, co boleśnie dawało im się we znaki.

Caroline namacała palcami nylonowy sznurek, stąd wiedziała już, czym ma związane ręce. Poczwała też, że i klucze od mieszkania wciąż znajdują się w jej kieszeni. Gdyby udało im się jakimś cudem odwrócić się do siebie plecami i wyciągnąć z jej kieszeni klucze, może mogliby spróbować przy ich pomocy przeciąć sznurek.

Klucze nie były najlepszym narzędziem, ale miały ostre ząbki, a to dawało nadzieję na przerżnięcie sznurka. Pod warunkiem oczywiście, że mieliby sporo czasu. Była pewna, że kieszenie Joego zostały dokładnie przeszukane. Faceci na ogół miewają przy sobie coś w rodzaju u scyzoryka. Mogła więc mówić o względnym szczęściu, że przeoczyli u niej te klucze.

- Uważam, że nie ma sensu ich, likwidować - przekonywał Cal siedzącego obok mężczyznę. - To już koniec i tak ledwo udało nam się zwać przed ochroną. Na pewno postawili całą bazę na nogi i już dawno zauważyli, że zniknąłem. Poza tym mają przecież numery furgonetki i jak tylko stwierdzą, że zniknął również Mackenzie i ta jego Evans, szybko się zorientują, o co w tym wszystkim chodzi. Pewnie już to się stało, a teraz są na tropie i za chwilę zaczną deptać nam po piętach.

- Co, znowu tchórz cię obleciał? - zapytał ten drugi lodowatym głosem.

- Nie o to chodzi - zachnął się Cal. - Czuję, że będą nas mieć w ciągu godziny i jeśli zabijemy tych dwoje, to nieodwołalnie czeka nas stryczek. Nic nam już wtedy nie pomoże.

Caroline wyteżala słuch, ale ten drugi facet milczał jak zaklęty. Argumenty Cala najwyraźniej nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. Ale zaraz, zaraz, pomyślała nagle, jeżeli ten facet tak mało przejmował się słowami Cala, to przecież musiało to być czymś spowodowane. No tak, pewnie jedyną

osobą, która wiedziała, że i on maczał w tym wszystkim swoje brudne łapy, był Cal i tylko Cal mógł go sypanąć... Ogarnęła ją panika. W ułamku sekundy wszystko stało się jasne. Czasami wolałaby nie być aż tak logiczna; czasem lepiej jest o niczym nie wiedzieć i niczego nie rozumieć. Więc i Cal miał zginać, tylko że jeszcze o tym nie wiedział.

Zaczęła pojękiwać i szamotać się, by uwolnić się choć od knebla. Joe rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie, ale je zignorowała.

Odgłosy dochodzące z tyłu samochodu zwróciły uwagę mężczyzny siedzącego obok Cala. Zerknął w lusterko i roześmiał się na głos.

- Witamy na pokładzie - powiedział, rechocząc. - Proszę dać sobie spokój, szkoda czasu i atłasu, jak się to mówi. - I znowu się roześmiał. - Nie uda się pani uwolnić, to dobra robota, proszę mi wierzyć, że umiem wiązać jeńców. Nie jestem jakimś tam partaczem.

Och, jakże chętnie posłałaby mu solidną wiąchę. Caroline poczuła nagle, że na skutek tego szamotania klucze, które znajdowały się w jej kieszeni, przesunęły się trochę. Dalej więc miotała się jak ryba na piasku, w przekonaniu, że jest to jakiś sposób na uwolnienie się. Niespodziewanie jej głowa znalazła się w pobliżu paska od spodni Joego i nie zastanawiając się długo, zahaczyła knebel o sprzączkę i po kilku mocnych szarpnięciach pozbyła się go z ust.

Mężczyzna przyglądał się jej z rozbawieniem i już miał wstać i udać się w jej kierunku, kiedy krzyknęła na całe gardło:

- Ty bandyto! Zabiłeś go! - Miała wrażenie, że ma język z drewna, a szczęki lada moment się jej rozsypią.

Cal oderwał wzrok od drogi i na chwilę stracił panowanie nad kierownicą. - Patrz na drogę, idioto! - ryknął mężczyzna.

- Mówiłeś, że jest tylko nieprzytomny! - krzyknął Cal.

- Bo jest nieprzytomny! - wrzasnął ten drugi. - Dostał w głowę, ale nic mu nie będzie. Lada moment się ocknie.

- Nie wierz mu, Cal, Joe nie oddycha! - ciskała się Caroline. - Nie wierz mu, on ciebie też zabije i całą winę za wszystko rzuci na ciebie. Zobaczysz, że tak będzie, nie ufaj mu!

Nieznajomy mężczyzna tego już nie wytrzymał, odwrócił się i chwycił ją za gardło. Bez zastanowienia wbiła zęby w jego przedramię. Próbował wycofać rękę, ale Caroline nie popuszczała. Z całą furią zacisnęła szczęki, nie myśląc, co może się teraz wydarzyć. Cal próbował odciągnąć go od niej i samochód przez chwilę jechał zakosami, chyba tylko cudem nie rozbijając się na drzewach rosnących po obu stronach drogi.

Bandzior zacisnął drugą rękę w pięść i z całej siły uderzył Caroline po głowie. Cały świat zawirował jej przed oczami, rozluźniła zęby i puściła jego rękę, ale nie straciła przytomności.

Furgonetka podskoczyła na jakimś wyboju i Caroline przeturlała się do Joego. Wtedy dobiegł jej uszu ledwo słyszalny szept:

- W moim prawym bucie jest nóż.

I już znowu silny wstrząs oddalił ją od niego i znalazła się pod ścianą furgonetki.

Obaj mężczyźni wydzielali się na siebie i wygrażali sobie nawzajem. Nagle Caroline zobaczyła metalowy błysk i dojrzała pistolet, ale to nie Cal trzymał go w ręku.

Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Cal wymierzył silny cios współnikowi, jednym zdecydowanym ruchem otworzył drzwi samochodu i błyskawicznie wyskoczył na drogę. Jego współnik już po sekundzie uczynił to samo. Furgonetka zachybotowała się, potoczyła się jeszcze kilka metrów i zatrzymała na poboczu.

Caroline, pełzając na brzuchu jak wąż, dotarła wreszcie do stóp Joego. Kosztowało ją to sporo wysiłku, ale już po krótkiej chwili udało jej się wyciągnąć nóż z jego buta. Joe kilkoma

szybkimi ruchami odwrócił się tak, by mogła przeciąć sznurek na jego nadgarstkach. Cięła na oślep, bo przecież ręce cały czas miała związane z tyłu, nie widziała więc, co robi. Mimo że była tym przerażona i drżały jej ręce, poradziła sobie ze sznurkiem w ciągu zaledwie kilku sekund, i Joe usiadł, roztarł zdętwiałe nadgarstki i zaraz poczuła, że wyjmuje z jej dłoni nóż. Przeciął pęta u nóg i w chwilę później ją także uwolnił. A więc nie skaleczyłam go, odetchnęła z ulgą Caroline. Przez moment spoglądali na siebie spode łba, gdy nagle na dworze padł strzał.

- Zostań tu - szepnął i wśliznął się za kierownicę, ale Caroline nie posłuchała go i usiadła obok niego.

Silnik wciąż jeszcze chodził. Joe wrzucił bezszelestnie bieg i mocno wcisnął pedał gazu. Silnik zawył, koła zaczęły się kręcić jak szalone, ale samochód nawet nie drgnął z miejsca. Wrzucił szybko wsteczny, ale również bez żadnego skutku. Nagle dostrzegł mężczyznę biegnącego w stronę furgonetki. Nie, to nie był Cal. Caroline nieopatrznie wstała, aby lepiej zobaczyć, kto to jest, a wtedy mężczyzna zatrzymał się i bez namysłu wymierzył w nią z pistoletu. Joe zdążył pociągnąć Caroline w dół i w tym samym momencie usłyszeli brzęk roztrzaskiwanej przedniej szyby. Joe raz jeszcze wrzucił bieg i przycisnął stopą gaz, ale tym razem delikatniej. Koła przez jakiś czas obracały się w miejscu, lecz po chwili jakby nagle znalazły oparcie i samochód ruszył. Rozległo się jeszcze kilka strzałów, ale chyba byli już poza ich zasięgiem.

- Caroline? Wszystko w porządku?

- Tak jakby - odparła nie do końca jasno

-Nie wstawaj przypadkiem.

W tym momencie padły kolejne strzały, ale praktycznie nie mogły już stanowić zagrożenia.

- Caroline?

- Co znowu?! - krzyknęła rozwścieczona.

Joe uśmiechnął się pod nosem. Wściekła czy nie, przynajmniej nic jej się nie stało. Ale jego radość trwała tylko krótką chwilę. Spojrzał na tablicę rozdzielczą i uśmiech zastygł mu na twarzy. Z przerażeniem obserwował, jak wskazówka temperatury silnika wędruje niebezpiecznie do góry. No tak, pomyślał ze złością, jeden z pocisków musiał przedziurawić chłodnicę. Znajdowali się gdzieś pośrodku pustyni, nigdzie żywego ducha, ani domostwa, ani nawet najmniejszego światełka. Tylko miliony gwiazd nad ich głowami. Parł do przodu, wiedząc, że już wkrótce będzie koniec jazdy. Wskazówka zbliżała się do czerwonego pola. Po chwili silnik zagotował się, a spod maski buchnęła gorąca para. Stanęli w miejscu.

- Co się dzieje? - zapytała Caroline.

- Jeden z pocisków zrobił dziurę w chłodnicy. Chodź, wysiadamy. - Wprawdzie można było mówić o jakiejś przewodze nad tym szaleńcem z pistoletem, ale nie była ona duża.

Caroline zeskoczyła na ziemię.. Wokół panowała chłodna noc.

- I co dalej i - zapytała, rozglądając się niepewnie dokoła.

- Musimy iść ha piechotę, nie ma innego wyjścia. Mam nadzieję, że masz dobre buty.

Wzruszyła ramionami. Dobre jak dobre, pomyślała, ale przynajmniej nie mam sandałów. Co to zresztą miało za znaczenie, nawet gdyby miała w tej chwili na nogach szpilki, i tak musiałyby iść.

- A jeśli można wiedzieć, w którą stronę?

- Z powrotem, skąd przyszedliśmy.

- Ale przecież tam jest on, ten morderca z pistoletem! - oburzyła się Caroline.

- To prawda, ale nie mamy pojęcia, gdzie jesteśmy i dokąd prowadzi ta droga, musimy zatem zawrócić, nie ma innego

wyjścia. Jedno jest pewne: żeby dotrzeć do bazy, trzeba wracać.

- To dlaczego od razu nie pojechałeś w tamtym kierunku? - Nie dawała za wygraną.

- Bo wiedziałby wtedy, dokąd jedziemy- wyjaśnił. A tak, nawet jeśli znajdzie furgonetkę, nie będzie wiedział, gdzie nas szukać.

- A jak chcesz go minąć, przecież ma broń?

- Nie jestem do końca przekonany, że trafimy na niego. Może zamiast nas ścigać, postanowił zwiać?

- Niby racja, ale równie prawdopodobne jest, że nas ściga - obstawała przy swoim, choć wiedziała, że wyprawa w głąb pustyni prawdopodobnie graniczyłaby z samobójstwem.

Nie zaryzykowali powrotu drogą, szli w bezpiecznej od niej odległości, bacznie obserwując okolicę. Zważywszy na panującą wokół ciemność, niełatwo było ich zauważyć.

- Masz zegarek? - zapytała po chwili.

- Raczej nie zdążyli wywieźć nas zbyt daleko.

- Spojrzał na zegarek. - Czwarta trzydzieści. O, to później, niż myślałem. W takim razie musimy się pospieszyć, już niedługo zacznie świtać.

- Ciekawe, jak daleko stąd do bazy - mruknęła pod nosem.

- Pomyślmy. Jeżeli od razu wrzucili nas do furgonetki i ruszyli w drogę, to jesteśmy oddaleni od bazy o jakąś godzinę jazdy. Godzina jazdy - powtórzył i podrapał się po głowie - czyli coś między trzydzieści a sześćdziesiąt mil w niewiadomym kierunku.

Piesza wycieczka na dystansie sześćdziesięciu mil była dla Caroline czymś przerażającym. Ale jeszcze straszniejsza wydała jej się wizja natknięcia się na tamtego bandziora.

- Może spotkamy kogoś po drodze? Jakiś samochód - powiedziała pełna nadziei.

- Musimy uważać, miał współników, więc nie wolno nam nikomu ufać.

- Racja - jęknęła z rezygnacją. - A zatem jesteśmy zdani sami na siebie.

- No tak, mamy przed sobą niezły spacer. Chyba, że masz inne pomysły? - zapytał Joe. - Kiedy wstanie słońce, może uda nam się zorientować, gdzie się znajdujemy.

Caroline nie miała ochoty na pogawędkę. Przestała się więc odzywać i szła, rozmyślając o tych wszystkich strasznych wydarzeniach. Była wyczerpana i obolała, kompletnie nie czuła się na siłach, żeby iść dalej, a co dopiero tyle mil. Huczało jej w głowie i z trudem posuwała się do przodu. Każdy krok sprawiał jej ból i miała kłopoty z oddychaniem. Ale cóż w tym dziwnego? Najpierw przeciskała się przez okno w swojej sypialni i już wtedy się potłukła, potem dostała silny cios w głowę, prawdopodobnie jakimś ciężkim przedmiotem, a potem w samochodzie jeszcze rąbnął ją pięścią ten barbarzyńca. Trochę dużo, jak na jedną słabą kobietę, pomyślała i miała ochotę się rozpłakać. A wszystko to zawdzięczała temu facetowi, który podejrzewał ją o zdradę, a teraz, jak gdyby nigdy nic, szedł obok niej i był nawet skłonny do żartów. Co za tupet ma ten facet, rozeźliła się w duchu.

Powoli, leniwie słońce zaczęło wytaczać się zza horyzontu. Dzięki temu szybko zorientowali się, że wywieziono ich na północ, a teraz szli na południe, czyli w kierunku bazy. To dało im przynajmniej poczucie, że dokonali właściwego wyboru.

- Musimy rozejrzeć się za jakimś ukryciem - powiedział niespodziewanie Joe.

- Ukryciem? Dlaczego?

- Nie możemy iść dalej. W każdej chwili może pojawić się samochód na horyzoncie i będą nas mieli na muszce. A wokół nie ma nic, za czym by można choćby przycupnąć. Poza tym niedługo zrobi się bardzo gorąco.

Idziemy jak na patelni.

Taka wersja wydarzeń jeszcze mniej przypadła jej o gustu, mimo że z całą pewnością była o niebo bezpieczniejsza, ale



chciała, żeby skończył się już ten koszmar. Marzyła o tym, żeby wrócić do bazy, umyć się i przebrać. Wcale nie uśmiechało się jej spędzić cały dzień z Joem w jakiejś przydrożnej kryjówce. Nagle jednak z przerażeniem zdała sobie sprawę, że zupełnie nie jest w stanie zrobić kolejnego kroku. Była całkowicie wykończona i wiedziała, że musi koniecznie odpocząć.

Ruszyli więc w głąb pustyni i choć za każdym razem miała wrażenie, że tego następnego kroku już nie uda jej się zrobić, jednak jakoś się przełamywała i szła dalej. Wciąż jednak wszystko dookoła zdawało się mieć rozmazane kontury. Nagle, stosunkowo niedaleko, wyrosły przed nimi skały. Teraz już rozumiała, dokąd zmierzał Joe. Zaciśnęła zęby i walczyła o każdy krok i wygrała tę bitwę. Już wkrótce stała oparta o duży zimny głaz.

- I co teraz? - zapytała ledwo słyszalnym głosem.

- Zostaniemy tu.

- To dobrze - szepnęła i położyła się na ziemi. Jej skronie pulsowały, a serce waliło mocno.

- Nie, nie - zaprotestował Joe - zostaniemy, ale nie w tym miejscu. Chodź, wstawaj. - Joe wyciągnął rękę, żeby jej pomóc. - Musimy się ukryć. Stój tu i czekaj, zaraz wracam.

Przez kilka minut Joe rozglądał się po okolicy, aż wreszcie znalazł przestronną niszę, która miała stanowić dla nich schronienie na najbliższe godziny.

- Sprawdziłem ją, nie ma węży - powiedział, podając jej kij do ręki. - Jeśli się jednak pojawią, to wal tym. Ja pójdę zatrzeć ślady i może uda mi się znaleźć gdzieś trochę wody.

Caroline zaciśnęła mocno palce wokół kija, patrząc podejrzliwie wokół, ale już po kilku minutach wszystko stało się jej obojętne. Położyła się na prawym boku, zwinęła w kłębek i nie była w stanie już ani chwili dłużej walczyć z sennością.

Joe spojrział na nią i aż ścisnęło mu się serce. Lewa strona jej twarzy była cała w zadrapaniach i siniakach, podobnie zresztą jak jej prawa ręka. Na skroni miała olbrzymią ciemną śliwę, ale poza tym była biała jak kreda. Jej ubranie było brudne i podarte. Jakże żałosny był to widok!

Westchnął ciężko. Z pewnością Cal Gilchrist już nie żył, ale ten drugi wciąż jeszcze był na wolności. Chociażby za to, co jej zrobili, należała im się śmierć, nie mówiąc o reszcie...

On zresztą też się nie popisał. Co zrobił, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo? Wydała mu się teraz taka mała i bezradna, choć dobrze wiedział, że potrafi walczyć jak kotka. Przypomniawszy sobie, z jaką furją pozbyła się knebla i co wykrzyczała Calowi. Może to dzięki temu w ogóle jeszcze żyli. Ale teraz to już jego głowa była w tym, żeby się jej nic złego więcej nie przydarzyło.

Mimo zmęczenia ruszył do przodu i pozacierał wszystkie ślady. Wiedział też, że za wszelką cenę musi znaleźć wodę. Gdy Caroline się obudzi, na pewno będzie jej się chciało pić. Łyk wody w takich sytuacjach może zdziałać cuda. Zaczął rozglądać się dookoła i dostrzegł kilka roślin, co pozwoliło mu wierzyć, że gdzieś tu musi być woda. Zajrzał do nisz. Caroline nadal spała, nawet nie drgnęła. Oddychała powoli i głęboko. Miał wrażenie, jakby minęły setki lat od momentu, kiedy po raz ostatni trzymał ją w ramionach. Na chwilę położył się obok niej i przytulił ją do siebie. Cholera, dlaczego nic nie powiedziała o swoich podejrzeniach co do Gilchrista? Sama wybrała się w nocy do biura, narażając się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Może nie zdawała sobie sprawy z zagrożenia? Nie, to nie w stylu Caroline, na pewno wiedziała, co ją może spotkać. Pamiętał przecież doskonale, nie była ani przestraszona, ani zaskoczona obecnością Cala. Wiedziała, że go tam zastanie. A mogła przecież zadzwonić, choćby do Hodge'a, skoro już nie chciała kontaktować się z nim. To będzie pierwsza rzecz, którą muszą sobie wyjaśnić, kiedy się

tylko obudzi. Dlaczego mu nie zaufałaś? Odgarnął jej włosy z twarzy, mocniej do siebie przytulił i zasnął.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Mimo że obudził ją skwar, czuła się dużo lepiej. Przed wszystkim nie była już tak bardzo wykończona, a nawet ból głowy zdawał się być do wytrzymania. Powoli usiadła i rozejrzała się dookoła. Jak okiem sięgnąć, wszystko mieniło się pomarańczowo-żółtą barwą, a jedynie z rzadka widoczne były małe plamki zieleni

Gdzieś tam, spory kawałek drogi stąd, leżał Cal. Wiedziała, że najprawdopodobniej był martwy i choć postąpił wobec niej obrzydliwie, to jednak było jej go żal. Z pewnością nie chciał ich zabić, przecież bronił ich przed tym drugim i gdyby tylko żył, nie dopuściłby do ich śmierci. Owszem, na pewno był zdrajcą, ale nie był mordercą. Choć przecież nie był głupi, musiał wiedzieć, że jego postępowanie może kosztować kogoś życie. Na przykład pilota.

Caroline przetarła twarz brzegiem koszulki. Gdyby nie te chłodne skały, upał byłby nie do zniesienia. Przyłożyła dłonie do najbliższej ściany i na jej twarzy pojawił się błogi uśmiech. To nie do wiary, ale faktycznie była zimna.

Rozejrzała się raz jeszcze w poszukiwaniu Joego, ale nie było go w pobliżu. Czuła przez sen, że kładł się koło niej, a ślad na ziemi potwierdzał jej przypuszczenia. Spojrzała na siebie z dezaprobatą i zrobiło jej się jakoś nieswojo. Była brudna i spocona jak jeszcze nigdy w życiu. Ale też jeszcze nigdy w życiu nie przeżyła czegoś takiego! Takiej zatrwającej przygody. W dzieciństwie przedkładała książki i komputer nad szaleństwa z rówieśnikami w deszczu i w błocie.

Przeciągnęła się i dopiero wtedy poczuła, jaka jest obolała. Z trudem wstała i ruszyła przed siebie w poszukiwaniu jakiegoś ustronnego miejsca. Prędzej czy później potrzeby fizjologiczne musiały dać znać o sobie. I dobrze, przynajmniej wiedziała, że jej organizm nadal funkcjonuje normalnie.

Kiedy wróciła, Joe czekał już na nią. Stał oparty o skałę i testował ją swoim baczny spojrzeniem. Zastanawiała się, czy nadal podejrzewa ją o sabotaż. Przyjrzała mu się nieco dokładniej. Teraz, w promieniach słońca, dostrzegła, że jest równie umorusany jak ona, ale jakoś to lepiej na nim wyglądało. Poza tym na jego spodniach i koszuli w kolorze khaki brud nie był aż tak bardzo widoczny, jak na jej jasnych spodniach i białej koszulce.

Minęła go bez słowa i usiadła na ziemi. Joe zacisnął zęby. Liczył na to, że uda mu się pohamować nadciągający wybuch, ale jak miał to zrobić, skoro po raz kolejny został wystawiony na ciężką próbę. Nienawidził, gdy ktoś w tak ewidentny sposób go ignorował. Wziął więc głęboki oddech, chcąc zapanować nad nerwami.

- Chodź, musimy się czegoś napić - odezwał się niecierpliwym tonem. - No, chodźmy - ponaglił ją.

Bez słowa sprzeciwu wstała i podążyła za nim. Wynioskował z jej reakcji, że była bardzo spragniona, choć oczywiście nie powiedziała na ten temat ani słowa. Nie miała zwyczaju się uskarżać.

Okazało się, że wcale nie musieli iść daleko. Joe odkrył w pobliżu spory kawałek ziemi porośnięty niewielkimi roślinami o grubych, mięsistych liściach. Przykląkł przy jednej z nich i zaczął rozgarniać dłonią piasek. Czas jakiś pogłębiał dołek, aż pojawiła się w nim błotnista woda. Sięgnął do kieszeni, wydobyl chusteczkę z materiału i zrobił z niej coś na kształt filtra. Potem odwrócił się do niej i powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu:

- Napij się.

Caroline postanowiła nie zwracać uwagi na jego arogancki ton. Było jej też obojętne, że musiała uklęknąć i nisko się pochylić, by dostać się do tego błotnistego źródła. Czuła się jak pies, ale jakie to miało teraz znaczenie? Była potwornie spragniona i tylko to się liczyło. Nigdy w życiu nie spodziewałaby się, że łyk czegoś tak paskudnego może wydawać się tak zbawienny. Naturalnie nie zaspokoila pragnienia, ale przynajmniej nie było jej już tak przeraźliwie sucho w ustach. Nie miała pojęcia, ile wody można wycisnąć z takiego dołka, pociągnęła więc jeszcze kilka łyków i ustąpiła mu miejsca.

- Twoja kolej - powiedziała z kurtuazją i usunęła się na bok.

Uznała, że Joe miał lepszą metodę niż ona. Położył się bowiem płasko przy otworze, co było o wiele lepszą i wygodniejszą pozycją. Szkoda, że sama na to nie wpadła, ale nie miała przecież w tym względzie żadnego doświadczenia. Na drugi raz będzie już lepiej zorientowana.

Tak bardzo zagłębiła się w swoich myślach, że dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, że Joe stoi obok niej i czeka na odpowiedź na postawione przez siebie pytanie.

- No więc jak, chcesz jeszcze pić czy nie? - powtórzył zniecierpliwiony.

- Tak, jasne, że tak - odparła trochę nieprzytomnie. Tym razem, tak jak on, położyła się na brzuchu i chleptała aż do momentu, gdy poczuła, że już więcej nie może.

- A ty pijesz jeszcze?- - zapytała, podnosząc się z ziemi.

- Już nie - mruknął.

Wyjęła więc chusteczkę z dolka i namoczyła ją w wodzie. Gdy tylko dotknęła nią podrapanej twarzy, syknęła z bólu. Miała wrażenie, że wszystko ją piecze i szczypie. Mimo to po chwili jednak odczuła ulgę. Przetarła jeszcze ręce i podała chustkę Joemu. On także przetarł twarz i dłonie i na tym skończyła się ich poranna toaleta.

- Musimy tu zaczekać aż do zachodu słońca. Wtedy ruszymy w dalszą drogę.

Caroline nie powiedziała ani słowa, kiwnęła tylko głową i ruszyła w stronę kryjówki między skałami.

Cholera, traktowała go, jakby był całkiem obcym facetem, a nawet jeszcze gorzej, pomyślał. Wobec nieznanego starałaby się być miła i choć próbowałaby nawiązać jakiś kontakt, poprowadzić rozmowę. A jego miała najwyraźniej gdzieś. Ani razu nie spojrzała mu w oczy, ani razu się do niego nie uśmiechnęła. Zachowywała się tak, jakby był przechodniem, którego po prostu mija się na ulicy. No cóż, nadszedł zatem czas konfrontacji, pomyślał Joe.

Kiedy wszedł do niszy, Caroline siedziała na ziemi i obejmowała ramionami podciągnięte pod brodę kolana. Specjalnie podszedł tak blisko, że jego buty nieomal dotykały jej stóp. Tak, to była prowokacja. Musiała przecież zrobić coś w takiej sytuacji, posunąć się, wstać albo chociażby spojrzeć na niego. Ale przeliczył się, wciąż siedziała w tej samej pozycji i nawet nie drgnęła.

- Może wytłumaczysz mi - zaczął podniesionym głosem - dlaczego, do jasnej cholery, nie zadzwoniłaś do mnie wczoraj w nocy, tylko na własną rękę próbowałaś złapać Gilchrista na gorącym uczynku?- Nie udało mu się ukryć wściekłości, która czaiła się dosłownie w każdym wypowiedanym słowie.

Caroline nie przejęła się zbyt jego tonem, a przynajmniej nie dała tego po sobie poznać.

- Nie przyszło mi to do głowy - powiedziała spokojnie i wzruszyła ramionami. - A zresztą, po co miałabym to zrobić? - zapytała niespodziewanie dla samej siebie.

- Jak to po co? To oczywiste, żebym się tym zajął! - Głos Joego zadudnił nad jej głową. - Żebyś nie znalazła się w tej sytuacji, w której teraz jesteś. Nie zdawałaś sobie sprawy, w co się pakujesz, czy co? Chciałaś zginąć?

- A ty? - odgryzła mu się szorstko. - Jak ty zamotałeś się w to wszystko?

- Sledziłem cię - wypalił bez zastanowienia.

- A, pięknie! Pewnie to mnie miałaś nadzieję schwytać na gorącym uczynku? Boże, jaka przykra niespodzianka! Wyobrażam sobie, jak ci było głupio - dodała z satysfakcją.

- Ale ty już o tym wiedziałaś, kiedy tam polazałaś. Cholera, Caroline, taka mądra kobieta nie powinna robić tak kardynalnych błędów. Wiesz, czym to się mogło skończyć? Powinnaś zadzwonić do mnie natychmiast, jak tylko zaczęłaś coś podejrzewać. Rozumiesz?! Dlaczego nie zadzwoniłaś?

- No pewnie, jeszcze tego by brakowało! To czysta strata czasu. Zdażyłam się przekonać wcześniej, jak bardzo mi ufasz. Możesz mi wierzyć lub nie, ale prędzej zadzwoniłabym do Adriana niż do ciebie.

Joe gwizdnął przeciągle przez zęby. Potem nachylił się, chwycił ją za ramiona i podciągnął do góry.

- No to sobie zapamiętaj - zaczął powoli i dobitnie - że jeśli kiedykolwiek będziesz czegokolwiek potrzebowała, zadzwoń do mnie! Moja kobieta powinna zwracać się o pomoc do mnie, a nie do obcych facetów. Rozumiesz?

Próbowała uwolnić się z jego uścisku, ale bezskutecznie.

- To niezwykle interesujące, co mówisz - wycedziła przez zęby. - Nie zapomnij jej o tym powiedzieć, kiedy ją spotkasz! Jeśli zaś chodzi o mnie, to bardzo mi przykro, ale nie jestem zainteresowana tą jakże pociągającą ofertą.

- Nie doprowadzaj mnie do ostateczności! - podniósł głos. - Należysz do mnie, słyszysz! I nie możesz temu zaprzeczyć.

Znowu próbowała się wyrwać, ale nie miała najmniejszych szans. Czy coś mu się w głowie pomieszało? Wyobrażał sobie, że mogą, jakby nigdy nic, zacząć tam, gdzie przerwali? - Chciało jej się krzyczeć, ale zamiast tego, zdecydowała się na uszczypliwą replikę.

- Wprawdzie spędziliśmy ze sobą przyjemny weekend, ale wybaczone, to nie daje ci jeszcze do mnie prawa własności. Zastanawiam się, gdzie ja miałam oczy? Owszem, zdawałam sobie sprawę, że nie jesteś we mnie szaleńczo zakochany, ani nic w tym rodzaju, ale pozwoliłam sobie sądzić, że trochę lepiej mnie oceniasz. A ty co? Byłeś przekonany, że jestem sabotażystką, i że byłabym w stanie dopuścić się takiej zdrady? O, muszę przyznać, że to było bardzo pouczające doświadczenie.

- Zamilcz! - syknął ze złością.

- Nie będziesz mi mówił, kiedy mam milczeć, a kiedy nie! - krzyknęła rozjuszona. - Następnym razem, zanim pójdę z facetem do łóżka, upewnię się przedtem, że...

- Nigdy nie pójdziesz z żadnym innym facetem do łóżka! Rozumiesz? - ryknął Joe i zaczął nią potrząsać.

Należała tylko do niego i nie zamierzał pozwolić jej odejść. Mocno trzymał ją w uścisku i sam nie wiedział, jak to się stało, ale po chwili jego wargi przywarły do jej ust. Poczuł, jak wypełnia go pożądanie. Przewrócił ją na ziemię, zerwał z niej spodnie i bieliznę, cały czas całując ją namiętnie.

Caroline leżała bez ruchu, wpatrując się w niego, trochę przerażona tą sceną, a trochę nią zafascynowana. Po raz pierwszy Joe dał się ponieść emocjom, nie wytrzymał, eksplodował. Wiedziała, że nic złego jej nie robi, wcale się go nie obawiała. Za to pragnęła go i to jak bardzo! Poczuła tak silne podniecenie, że chwyciła go oburącz za koszulę i przyciągnęła do siebie. Szarpnęła za pasek jego spodni,



rozsunęła zamek i już po chwili był w niej. Wdarł się w nią z taką pasją, tak szaleńczo, że aż krzyknęła, ale nie z bólu. Była tak bardzo emocjonalnie naładowana, że nie mogła nad sobą zapanować, myślała, że za chwilę oszaleje. Zaplotła nogi wokół jego bioder i całkowicie poddała się tej niezwyklej namiętności, jaka niespodziewanie ich ogarnęła.

Kiedy ich ciała przestały już drżeć, Joe opadł obok niej i przygarnął ją do siebie z taką siłą, jakby już nigdy nie chciał wypuścić jej ze swych ramion, jakby już nic nie było w stanie do końca życia ich rozdzielić.

Joe nareszcie odkrył, czym Caroline tak go fascynowała. Nie była typową kobietą, była bojowniczką zawsze gotową do walki. I w tym była podobna do niego.

- Kocham cię - powiedział, unosząc się na łokciu. - Słyszysz? Kocham cię - powtórzył, patrząc na nią błyszczącymi oczami. - Jesteś moja, moja i nigdy o tym nie zapominaj.

Caroline wpatrywała się w niego ze zdumieniem i niedowierzaniem.

- Co powiedziałeś? - zapytała cicho, jakby nie rozumiejąc.

- Powiedziałem, że cię kocham, i że ty, Caroline Evans, należysz do mnie. I tak już będzie do końca dni naszych, aż do chwili, gdy rozłączy nas śmierć.

- W zdrowiu i w chorobie - dodała słabnącym głosem i po chwili po jej policzkach zaczęły płynąć łzy.

Ujął jej twarz w swoje dłonie i delikatnie je scałowywał. Nigdy by nie przypuszczał, że tak nieugięte bojowniczki mogą płakać. Ciężko mu było to znieść.

- Dlaczego płaczesz? - zapytał wreszcie. - Zraniłem cię? - wyszeptał.

- Prawie mnie zabiłeś - wyrzuciła z siebie, szlochając. - Wtedy, kiedy mi nie uwierzyłeś, kiedy potraktowałeś mnie jak sabotażystkę! - Nagle zacisnęła dłoń w pięść i całej siły uderzyła go w plecy. Było to jedyne miejsce, do którego mogła dosięgnąć.

Wprawdzie nie było to tak silne uderzenie, jakby sobie życzyła, ale ponieważ jęknął, poczuła małą satysfakcję. Skwitowała jego reakcję uśmiechem.

- Nigdy więcej tego nie rób. Dobrze ci radzę - dodała jeszcze.

- Dlaczego mnie bijesz? - zapytał z udawaną pretensją w głosie.

- Bo na to zasłużyłeś - powiedziała i zatrzepotała rzęsami.

- Wybaczysz mi to kiedyś, Caroline? Proszę, byłem... zachowałem się, jak zaślepiony krety! Ale świadomość, że mogłaś mnie okłamać - zawiesił na chwilę głos - doprowadzała mnie do czarnej rozpacz. Wczorajszej nocy szedłem właśnie do ciebie, żeby się z tobą rozmówić, kiedy nagle zobaczyłem, jak idziesz gdzieś sama, po nocy... Jak ci się udało wymknąć? Przecież byłaś pilnie strzeżona.

- Wymontowałam lufcik w sypialni - poinformowała go krótko.

- Lufcik? Przecież jest tak wąski, że nawet mysz się przez niego nie przecisnę.

- No widzisz, a ja się precisnęłam. Wprawdzie skaleczyłam się w pośladek i potłukłam przy zeskakiwaniu, ale udało mi się uciec.

- Do tej pory nikt jeszcze tego nie wymyślił - podsumował ją Joe.

Wymknęła się, niezauważona przez ochroniarzy. O tym należałoby powiadomić Hodge'a. Niech postawi ich do apelu za brak czujności. Oczywiście, jeżeli zgodzi się na to Caroline.

Gładził ją delikatnie po plecach, a ona zwinęła się swoim zwyczajem w kłębek i wtuliła w jego szerokie ramiona. Lecz nagle potrząsnął nią, uniósł do góry jej brodę i zapytał:

- A ty, czy ty mnie kochasz, Caroline? Powiedz mi prawdę.

- Tak jest, panie pułkowniku! - powiedziała tonem szeregowego, meldującego się na rozkaz. - Zakochałam się w panu, choć pan nie dał mi, jak dotąd, nic, poza kilkoma

upojnymi nocami. To był tylko wspaniały seks. Żadnych wyznań, żadnych słów, żadnych uczuć. To głupie, prawda?

Spojrzał jej w oczy i zrozumiał nagle, że przy niej będzie musiał zaprzestać nieustannego kontrolowania uczuć. Ona tego nie zniesie, wiedział to już na pewno. Nie będzie mógł wydzielać jej siebie po kawalku, nigdy w życiu by tego nie zaakceptowała. Chciała go całego, bez ograniczeń i bez konieczności rezygnacji z czegokolwiek. Czuł, że jeśli wyjdzie naprzeciw jej oczekiwaniom, jego życie zmieni się bezpowrotnie i już nigdy nie będzie takie samo. Ale wiedział również i to, że jeżeli tego nie zrobi, być może straci ją na zawsze. Nie mógł do tego dopuścić. Caroline Evans była jego brakującą połową, której szukał od dawna. Miał pozwolić jej odejść? Musiałby być wyjątkowym idiotą. Drżącymi wargami wyszeptał:

- Nie umiem się nie kontrolować.

Poczuł, jak kładzie mu na policzku swoją małą dłoń i delikatnie gładzi go po twarzy.

- Zauważyłam to już - powiedziała cicho.

Napięcie rosło w nim, nie wytrzymał dłużej, wstał z miejsca i pomógł jej się podnieść. Otrzeptał ją z piasku i podał jej swoją koszulę, gdyż nagłym gestem przykryła dłońmi swoje piersi. Była urocza i taka kobieca. Pocałował ją i cofnął się o kilka kroków. Odwrócił się do niej plecami i zatopił wzrok w pustyni.

- Kiedy miałem kilka lat - zaczął cicho - mój ojciec poszedł do więzienia. Matka już wtedy nie żyła. - Jego głos był szorstki i lekko drżał. - Ojciec był niewinny, ale nie mógł tego udowodnić. Dopiero gdy złapano właściwego przestępcę, wyszedł na wolność. Ale odsiedział dwa lata w więzieniu i przez te dwa lata tułałem się po sierocińcach i rodzinach zastępczych. - Rysy Joego zaostrzyły się. - Może faktycznie było we mnie coś, co powodowało, że mężczyzna w pierwszej rodzinie zastępczej nienawidził mnie. A może nie cierpiał mnie

dlatego, że byłem mieszańcem?- Trudno dziś powiedzieć, bo inne dzieciaki traktowali raczej dobrze. Nie byłem łatwy, psulem zabawki, zdarzały mi się wybuchy złości, kiedy bawiłem się z innymi dziećmi, ale to chyba normalne, byłem w końcu małym chłopcem, któremu brutalnie nagle zabrano ojca. Nie potrafiłem panować nad swoją siłą, a że byłem większy od moich rówieśników, często się na mnie skarżyli. Pamiętam, że niejednego stłukłem na kwaśne jabłko, za to, że źle wyrażał się o moim ojcu. Tak sobie teraz myślę, że niezły miałem charakterek. Ale on, ten gość, nie pozostawał mi dłużny. Za każdym razem, gdy zrobiłem coś nie tak, lał mnie na oślep, nawet jeśli potknąłem się o popielniczkę, którą postawił na podłodze. Na początku używał pasa, potem już wyłącznie pięści. Ponieważ nie padałem pod jego ciosami, a walczyłem z nim, jak gdybyśmy byli sobie równi, bił mnie coraz dotkliwiej. Przestałem pojawiać się w szkole, bo zabronił mi tam chodzić. Byłem zbytnio posiniaczony.

Słowa Joego stawały się coraz ostrzejsze i twardsze. Ale najgorsze i najtrudniejsze wyznanie było jeszcze przed nim.

- Kiedyś zrzucił mnie ze schodów. Potłukłem się wtedy okropnie, ale i to nie powstrzymało mnie od walki. Nie umiałem przestać, nie byłem w stanie. A on wziął sobie za punkt honoru złamać mnie. Zaczął przypalać mnie papierosami i wyłamywać mi palce. Chyba sprawiało mu przyjemność patrzeć, jak płacę. To był koszmar i miałem wrażenie, że już nigdy się nie kończy. Nikogo nie obchodziło, co się ze mną dzieje. Byłem mieszańcem, rozumiesz? Czułem się mniej warty od kundla porzuconego na ulicy. Wreszcie kiedyś uderzył mnie w twarz i wtedy wpadłem w furję. Dokładnie pamiętam, jak roztrzaskałem w kawałki telewizor i kilka porcelanowych figurek. Zacząłem tłuc wszystko, co miałem pod ręką. Próbował mnie złapać, ale jakoś mu się nie udawało. Okładał mnie pięściami, kopał po plecach, w końcu przewróciłem się i wtedy już mnie miał. Przegrałem tę bitwę.

Nie było innej możliwości, miałem przecież zaledwie sześć lat. Zatargał mnie do piwnicy, rozebrał i niemal zatłukł na śmierć. - Mimo że od tamtego dnia minęło już prawie trzydzieści lat, serce Joego waliło dokładnie tak samo jak wtedy. Nigdy tego nikomu nie opowiadał, ale teraz jakoś musiał. Musiał jej to powiedzieć. -I potem mnie zgwałcił - dodał cicho.

Poczuł, jak Caroline podchodzi do niego od tyłu, jak obejmuje go ramionami i przytula do siebie, ale się nie odwrócił.

- Gdy patrzę na to zdarzenie z perspektywy lat, mam wrażenie, że ten człowiek sam był zszokowany swoim zachowaniem. Potem już nigdy więcej mnie nie dotknął. Może on, a może jego żona, tego nie wiem, ale ktoś zadzwonił po opiekę społeczną. Po jakichś dwóch tygodniach opuściłem ten dom, w którym tak strasznie cierpiałem. Zresztą większość czasu w tych ostatnich dniach spędziłem sam w piwnicy, w absolutnej ciszy. Pamiętam, że od tego wydarzenia w ogóle przestałem mówić. Potem wszystkie inne sierocińce były całkiem w porządku, albo może po prostu ja robiłem to, czego ode mnie oczekiwano. Cały czas się kontrolowałem i było do wytrzymania. Kiedy miałem osiem lat, pewnego dnia pojawił się mój tata. Gdy tylko wypuścili go z więzienia, wszczął poszukiwania i odnalazł mnie. Nawet nie wiem, czy miał pozwolenie, żeby mnie stamtąd zabrać. Tego nie pamiętam, ale nawet jeżeli nie, to nie znalazł się nikt na tyle odważny, żeby go powstrzymać. Podszedł do mnie, wziął mnie na ręce, mocno przytulił i dopiero wtedy poczułem, że jestem znowu bezpieczny.

- Powiedziałeś mi o tym wszystkim? - zapytała Caroline, przerażona i zdumiona tym, co usłyszała.

- Nie, nigdy nikomu nie powiedziałem o tym wszystkim, aż do dzisiejszego dnia. Gdybyś znała mojego ojca, zrozumiałabyś dlaczego. Dopadłby tego faceta i zabiłby go gołymi rękami. Za wiele przeszedłem, bym nie rozumiał, czym

to pachnie. Nie chciałem znowu na lata stracić ojca. - Odwrócił się i spojrzał jej w oczy. Sądził, że zobaczy w nich litość i współczucie, ale pomylił się. Caroline stała z dłońmi zaciśniętymi w pięści, z wściekłością wymalowaną na twarzy. Gotowa do boju. Gdyby tamten facet był tu gdzieś w pobliżu, i ona nie zawahałaby się go zabić. Tak, to była jego Caroline. Uśmiechnął się czule i chciał pogłodzić ją po włosach.

- To nie jest śmieszne! - krzyknęła. - Niech by mi tylko wpadł w ręce, a zabiłabym go jak psa!

- Już nie żyje - dotknął jej rozpalonego policzka. - Umarł w dwa lata po tym, jak się stamtąd wyprowadziłem. Dowiedziałem się o tym dopiero po ukończeniu akademii, wcześniej nie byłem gotowy. Po prostu chciałem wiedzieć, co się z nim dzieje. Nie, nieprawda, nie ma sensu się oszukiwać. Gdyby żył, nie mógłbym za siebie ręczyć. Ale jakoś udało mi się z tego wyjść. To pewnie dzięki mojemu ojcu, który był dla mnie bardzo dobry, a może też dlatego, że byłem silniejszy niż inne dzieci. W każdym razie jakimś cudem nie pozostawiło to większych śladów na mojej psychice.

- Z wyjątkiem tego, że chciałbyś kontrolować się dzień i noc - podsumowała.

- Jestem pilotem i często moje życie zależy właśnie od tego. Muszę się kontrolować.

- No cóż, ale i tak nie mogę powiedzieć, żebym to lubiła.

- Czy to dlatego cały czas mnie prowokowałaś? Chciałaś, żebym kiedyś wreszcie pękł? W takim razie możesz sobie pogratulować, osiągnęłaś swój cel. Jesteś teraz z siebie zadowolona? A czy wiesz, że mogłem zrobić ci krzywdę?

- Taką krzywdę możesz mi robić codziennie. To było cudowne! I wcale się nie bałam. Wiedziałaś, że nic mi nie zrobisz, wiem przecież, że mnie kochasz. A tak długo, jak mnie kochasz, nie zrobisz mi nic złego.

- Jesteś zatem bezpieczna do końca życia - szepnął jej do ucha i mocno ją przytulił.

Mimo że przegrał sam ze sobą, poczuł się uwolniony od wspomnień o tamtych dramatycznych zdarzeniach i zwolniony z danych sobie obietnic. A była to najslodsza przegrana, jaką mógł sobie wyobrazić, bo w zamian za to dostał od losu prawdziwy dar - kobietę, o której marzył i śnił. I mimo że w tej chwili była umorusana i półnaga, wcale mu to nie przeszkadzało. Lekko poklepał ją po pośladku i szepnął:

- Pora się ubierać, słońce już zachodzi. Musimy wracać do bazy.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

I znowu przedzierali się przez pustynię, z trudem stawiając każdy krok. Panująca wokół nieprzenikniona ciemność dawała się Caroline we znaki. Nie radziła sobie tak dobrze jak Joe, który swoim sokolim wzrokiem dostrzegał niemal każdą przeszkodę. Widząc, że Caroline nie da dłużej rady, postanowił, że dalej będą już szli drogą.

Niespodziewanie pojawił się na horyzoncie samochód patrolowy z charakterystycznym światłem umieszczonym na dachu. Joe stanął na środku drogi i rozpostarł ramiona. Po chwili pojazd, nie mając praktycznie innego wyjścia, zatrzymał się.

- Przepraszam bardzo, nazywam się Joe Mackenzie, jestem pułkownikiem z bazy w Nellis i muszę jak najszybciej dostać się tam - powiedział głosem nie znoszącym sprzeciwu.

- Szukaliśmy pana, pułkownika - odparł żołnierz siedzący za kierownicą. - Nic się panu nie stało?- Nie jest pan przypadkiem ranny?- Znaleźliśmy na poboczu, kawałek drogi stąd, furgonetkę...

- Tak, wiem, właśnie tą furgonetką zostaliśmy porwani - wyjaśnił oschle Joe.

Dopiero teraz żołnierz zorientował się, że pułkownik nie jest sam.

- O, przepraszam - powiedział - to jest zapewne panna Evans.

- Tak jest.

- Dostaliśmy rozkaz od gubernatora szukać pana aż do skutku.

Joe objął ramieniem Caroline i pomógł jej wsiąść do samochodu na tylne siedzenie. Sam zaś usiadł obok kierowcy, z przodu.

W tym momencie Caroline zdała sobie sprawę, że oddziela ich metalowa siatka.

- Hej, co to ma znaczyć? - zapytała zirytowana. Joe odwrócił się i wybuchnął śmiechem.

- Wreszcie znalazłem sposób, żeby cię poskromić. Żołnierz włączył koguta, znajdującego się na dachu, i nie zwlekając dłużej, ruszył przed siebie.

Kapitan Hodge, mimo późnej pory, czekał na nich w swoim biurze.

- Proszę mi wierzyć, że czujniki dosłownie oszalały - mówił podekscytowany, co jak na niego było zdecydowanie nietypowe. - Pierwszy raz, gdy weszła do środka panna Evans, choć przedtem raz już weszła i nie wyszła, a potem drugi raz, kiedy pan wszedł bez identyfikatora. Już po jakichś dwóch minutach do gmachu wkroczyła pierwsza grupa pracowników ochrony, ale wewnątrz panowała absolutna cisza - tłumaczył się Hodge. - Musieli ogłuszyć was i natychmiast wyciągnąć na zewnątrz, a potem z pewnością spanikowali, wrzucili was do furgonetki Gilchrista i odjechali. Natychmiast też zarządziłem przeszukanie kwatery panny Evans, ale nie znaleziono jej tam. To naprawdę niesłychane, nigdy nie przypuszczałbym, że komukolwiek uda się przedostać przez tak wąski otwór



okienny. Moje uznanie - powiedział i spojrzał wymownie na Caroline.

- Na szczęście nie należę do osób otyłych - odparła chłodno.

- Chciałem pana o tym poinformować i wtedy okazało się, że i pan zniknął bez śladu, choć nigdzie nie znalazłem żadnej wiadomości o tym, że pan opuścił bazę. Nieźle się tu nagłowiliśmy, panie pułkowniku. Po jakimś czasie dostałem informację, że zaraz po włączeniu alarmu bazę opuścił Cal Gilchrist.

- Musiał być z nim i ten drugi facet - przypomniał Joe. - Pewnie przejechał przez punkt kontrolny, leżąc z tyłu, razem z nami.

- Tak - potwierdziła Caroline. - Nawet miałam w pierwszej chwili wrażenie, że go skądś znam, ale nie mogę sobie przypomnieć ani imienia, ani nazwiska. Wiecie, kto to był?

Hodge rzucił okiem na swoje notatki.

- Wiemy. Nazywa się Carl Mabry. Może go pani pamiętać, bo na pewno widziała go pani w pomieszczeniu kontroli lotów. To cywil, który pracował przy radarach.

- Jak to się stało, że pocziwy Cal wmieszał się w taką aferę? Wiecie coś na ten temat? - zapytał Joe, wciąż nie mogąc uwierzyć, że człowiek, któremu tak ufał, okazał się zdrajcą.

Siedzieli oboje w biurze kapitana i wspólnie próbowali dociec prawdy. Przebadał ich już lekarz i zdążyli się przebrać i umyć. Na szczęście okazało się, że właściwie nic im nie jest, że oboje nad podziw dobrze znieśli trudy tej przeprawy. Caroline miała na sobie zieloną sukienkę, typowy strój średniego personelu medycznego, którą pożyczyła jej pielęgniarka.

- Z tego, co zdążyliśmy wywnioskować, Gilchrista zwerbował już po tym, jak zaczął tu pracować - powiedział kapitan Hodge. - Mabry w młodości podobno należał do tych radykałów, którzy sprzeciwiają się zbrojeniom. Zna pan z pewnością takich szaleńców. Żądają, by zwiększyć wydatki z budżetu na rozwiązywanie palących problemów społecznych i

straszą, że będą o to walczyć nawet kosztem ludzkiego życia. Trudno im cokolwiek wytłumaczyć.

- Jakim więc cudem dostał tutaj pracę? Skoro wszyscy są tak dokładnie sprawdzani, jak pan zapewniał, nie powinno do czegoś podobnego w ogóle dojść.

Hodge zmarszczył brwi.

- No właśnie, prawdę mówiąc, sam się dziwię. Musiał chyba zafalszować swoją przeszłość i udało mu się zmylić czujność. Na szczęście nie do wszystkiego miał dojście i dlatego właśnie musiał ukraść identyfikator.

- Wciąż nie pojmuję, jak dostał się do środka bez alarmowania czujników - powiedział wzburzony Joe.

- Czujniki to tylko urządzenia - westchnęła Caroline. - Nawet jeśli są wyjątkowo sprawne i czułe, to jednak mają swoje słabe strony. Te, na przykład, uruchamiają się, gdy ktoś wejdzie lub wyjdzie bez identyfikatora, ale nie reagują, jeżeli jedna osoba użyje dwóch identyfikatorów.

- Co takiego! - wykrztusił z siebie kapitan Hodge.

- Co pani mówi? - niemal krzyknął przerażony i w odruchu bezradności chwycił się za głowę.

- To oczywiście - wyjaśniła spokojnie Caroline.

- Przecież ja nie weszłam do budynku razem z Calem, gdy udawał, że szuka w biurze mojego identyfikatora, a mimo to komputer zarejestrował, że tam byłam, a raczej, że oboje tam byliśmy tego dnia i o tej porze. Cal chciał sobie zapewnić w ten sposób alibi, miał dowód na to, że nie był tam sam. Zresztą, jak się później okazało, jego rozumowanie było słuszne. W końcu to ja w pierwszej chwili zostałam posądzona o sabotaż, to na mnie w ten sposób skierował wszelkie podejrzenia. I nic nie pomogły moje tłumaczenia, że to nieprawda. Cal o komputerach wiedział po prostu wszystko. Sądzę, że już dosyć dawno zorientował się, jak funkcjonują tutejsze czujniki. A tego feralnego dnia, kiedy zapodziałam mój identyfikator, wychodziliśmy z biura wszyscy razem, dlatego też czujniki nie

zanotowały żadnej nieprawidłowości. Jestem więcej niż pewna, że Cal zrobił duplikat mojego identyfikatora, a następnego ranka, jakby nigdy nic, mi go zwrócił. W ten sposób zapewnił sobie dostęp do wszelkich danych o każdej porze dnia i nocy, i to nie jako Cal Gilchrist, ale jako Caroline Evans. Zaraz, kiedy to było? Wczoraj? - Spojrzała pytająco na Joego.

- Tak - kiwnął głową na potwierdzenie - wczoraj.

- Boże, a wydaje się, jakby od tego czasu minęły wieki. - Zamilkła na chwilę. - Jeśli przeanalizuje się dokładnie wydruki z komputera, to można stwierdzić, że Cal musiał rzucić swojemu kompanowi identyfikator przez wejściowe drzwi. Niech pan przyjrzy się temu wszystkiemu jeszcze raz: najpierw znajdzie pan moje wejście, zaraz potem wyjście, a po kilku sekundach kolejne wejście. Gdyby był pan dostatecznie czujny, panie kapitanie, natychmiast zablokowałyby pan mój kod dostępu, a nie czekał do rana, mając nadzieję, że pańscy ochraniarze są na tyle czujni, że mnie upilnują.

Kapitan Hodge zrobił się purpurowy. - Tak jest, ma pani rację, panno Evans - wymamrotał Hodge pod nosem. - Wygląda na to, że program chroniący dostęp do poszczególnych działów musi być poprawiony lub wręcz napisany od nowa. To wprost upokarzające, że dwóch facetów w tak prosty sposób przechytryło skomplikowany system bezpieczeństwa. Przykro mi, ale ma pani absolutną rację.

Joe chrząknął i zasłonił dłonią usta, żeby ukryć uśmiech, który pojawił się na jego twarzy. Jego błękitne oczy lśniły jednak wesołym blaskiem. Postanowił włączyć się do rozmowy, w obawie, że ta mała drapieżna kotka za chwilę jeszcze bardziej upokorzy kapitana.

- Co jest z Carlem Mabrym? Użył pan podczas rozmowy o nim czasu przeszłego. Czy należy z tego wnioskować, że on nie żyje?

- Samobójstwo - skwitował jednym słowem Hodge. - On naprawdę wierzył w to, że projekt Nocny Jastrząb prowadzi do

szerzenia zła na świecie i uważał, że powinien być jak najprędzej przerwany - wyjaśnił. - Carl Mabry działał z pobudek ideowych, a Cal robił to wszystko głównie dla pieniędzy. Wspólnie mogli jednak spowodować takie problemy, że Kongres na pewno nie przyznałby dalszych funduszy na kontynuowanie tego projektu. Carl Mabry miał świetny plan, trzeba mu to przyznać, biorąc pod uwagę panujące obecnie nastroje i tendencje. Wiadomo przecież, że Waszyngton nie lubi wydawać pieniędzy na projekty, które już w czasie pierwszych prób się nie sprawdzają. Natknęliśmy się też na powiązania łączące Carla Mabry z terrorystyczną grupą o nazwie Najpierw Pomóżmy Ameryce. To ideowi wywrotowcy, ale trudno mi powiedzieć, czy uda nam się cokolwiek im udowodnić, szczególnie teraz, gdy Mabry nie żyje. Wiemy natomiast z całą pewnością, że zarówno pani, panno Evans, jak i pan, pułkowniku Mackenzie, mieliście w tej akcji zginąć. Uznali was za swoich groźnych wrogów, których w pierwszej kolejności należy zlikwidować.

- Muszę ich dostać, Hodge - wycedził Joe przez zęby.

- Tak jest, panie pułkowniku. FBI już nad tym pracuje.

Caroline ziewnęła przeciągle. Mimo że przecież spała cały dzień, była ledwo żywa. To z pewnością były najbardziej wyczerpujące dwadzieścia cztery godziny w jej życiu.

Joe oparł się o krzesło, zaplótł ręce na karku i przyglądał się jej przez chwilę. Potem zwrócił się do kapitana.

- Będzie pan pierwszym, kapitanie, który się dowie - zaczął leniwie - że panna Evans i ja pobieramy się wkrótce.

Kapitan spojrzał z niedowierzaniem najpierw na Caroline, a potem na Joego. Był najwyraźniej całkowicie zaskoczony tą wiadomością, ale już po chwili otrząsnął się i wyjąkał urywanym głosem:

- Zatem życzę panu wiele szczęścia, pułkowniku. To znaczy wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia i pani, i panu. Wiele, wiele szczęścia...

- Dziękuję, prawdopodobnie będę go bardziej potrzebował, niż mi się wydaje - rzekł Joe ze śmiechem.

Zaledwie dwa tygodnie później, przy akompaniamencie oklasków zgromadzonej tu śmietanki towarzyskiej Waszyngtonu, Caroline odtańczyła walca w ramionach swego nowo poślubionego małżonka. Olbrzymia sala balowa wypełniona była mężczyznami w czarnych, nienagannie skrojonych smokingach i kobiet w najbardziej wyszukanych toaletach. Przeważały jedwabie i satyny przystrojone drogocenną biżuterią.

Młoda para wyglądała wręcz zniewalająco i Caroline wielokrotnie wychwyciła wśród tłumu dam pełen zachwyty wzrok, dość bezceremonialnie skierowany na Joego, a następnie przenoszony na nią, ale już bez tego podziwu, a raczej z pewną dozą krytycyzmu. Pod wpływem tych spojrzeń straciła humor i poczuła się lekko sfrustrowana.

- Może powinniśmy byli jeszcze trochę poczekać? - powiedziała, pełna wątpliwości.

- Poczekać? Ale z czym?

- Jak to z czym? Ze ślubem, oczywiście.

- Ale dlaczego? Na miłość boską, Caroline! - Joe mocniej objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- O co chodzi?

- O twoją rodzinę - wymamrotała cicho.

- Nie martw się o nich. Tata mnie zrozumie. Kiedy on postanowił ożenić się z Mary, wystarczyły mu dwa dni na zrealizowanie planów. I tak czuję się gorszy, bo mnie zajęło to aż trzy.

- A czemu generał Ramey jest dziś w tak doskonałym humorze? - zmieniła temat na bezpieczniejszy.

- Bo bardzo lubi, kiedy jego oficerowie żenią się. Stają się wówczas bardziej stateczni i nie uganiają się za dziewczynami.

A poza tym podobno Kongres przyznał już pieniądze na kontynuację naszego projektu.

W ostatnich dniach wszczęto postępowanie przeciwko ugrupowaniu Najpierw Pomóżmy Ameryce. Zarówno Joe, jak i Caroline zeznawali w tej sprawie w charakterze świadków.

Testy związane z projektem Nocny Jastrząb dobiegały powoli końca i jak okazało się, system laserowy działał od momentu wykrycia sabotażu bez zarzutu. Szkody, jakie poczynił w programie komputerowym Cal, zostały odnalezione i zweryfikowane. Po ostatecznym zamknięciu testów Joe miał zostać dowódcą pierwszej tego typu taktycznej eskadry lotnictwa w Langley w Wirginii.

- Cudownie wyglądasz w bieli - szepnął jej Joe do ucha.

- To miło, bo bardzo lubię biel.

- Ale najpiękniej ci, gdy owinięta jesteś w białe prześcieradło.

- No, coś takiego - zachnęła się. - Ale to dobrze się składa, bo już wkrótce mam zamiar wziąć lekcje pilotażu i będę potrzebowała kilka kombinezonów. Jak wszyscy wiedzą, są one na ogół białe.

- Słucham? Lekcje pilotażu?- A co to znowu za pomysł? - wyrzucił z siebie nieco nerwowo i spojrzał na Caroline badawczym wzrokiem.

- Coś nie tak? - zapytała zaczepnie.

- Jeśli koniecznie chcesz nauczyć się latać, ja cię tego nauczę - powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Ale ona nic sobie z tego nie robiła.

- Nie, nie ma mowy, zszarpałabym ci nerwy. To po pierwsze. A po drugie, niewykluczone, że udusiłabym cię podczas którejś lekcji własnymi rękami.

- Caroline - Joe patrzył na nią niepewnie - to nie najlepszy pomysł, jak mi się wydaje.

- No to ci się źle wydaje. Jeśli już się na coś decyduję, to jestem w tym dobra. Weźmy choćby fizykę, komputery, seks...

Wiem, że będę sobie świetnie radzić za sterem i... z rodzeniem dzieci.

Joe próbował trzymać się pośrodku parkietu. Nie wszyscy musieli słyszeć tę rozmowę.

- Caroline, jak mam to rozumieć? Jesteś w ciąży?

- Jest to w każdym razie możliwe - szepnęła mu wprost do ucha. - Co się tak dziwisz, przecież nie zabezpieczaliśmy się w żaden sposób. A nawet jeśli nie, to z całą pewnością już wkrótce będę.

Miał wrażenie, że serce stanęło mu w miejscu. Zatrzymał się i popatrzył na nią nieprzytomnie. Więc prawdopodobnie jest w ciąży! Pod jednym względem na pewno się dobrali: oboje byli naprawdę dobrzy w tym co robili. Co jak co, ale to z pewnością nie będzie nudne małżeństwo, pomyślał.

- Planujesz dziewczynkę czy chłopca? -zapytał po chwili.

- Nie planuję, to przecież obojętne. A ty?

- Jeśli ty będziesz szczęśliwa, ja też nie będę zgłaszał żadnych zastrzeżeń. - Jego oczy błyszczały jak zawsze, kiedy na nią patrzył.

- Już jestem, pułkowniku Mackenzie, i to bardzo. Powiedz, kiedy pojedziemy do Wyoming?

Zaskoczyła go tak nagłą zmianą tematu. Znow zaczął poruszać się w takt muzyki i odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- W przyszłym miesiącu. Powinienem dostać tydzień urlopu. A potem wrócimy znowu na święta. Co ty na to?

- Świetnie. Rozmawiałam już z Bolling-Wahl Optics, spróbują przypisać mnie do projektu gdzieś niedaleko ciebie. Ale nie będę mogła już pracować dla lotnictwa. Kto wie, może uda się znaleźć coś w Baltimore. Połączenia do Langley są całkiem niezłe.

- Może i niezłe - powtórzył z powątpiewaniem. - Jednak nie podoba mi się, że będziesz musiała tak daleko dojeżdżać.

Odsunęła się o krok, zmarszczyła brwi i spojrzała na niego zaskoczona.

- Ja? - zapytała, nie kryjąc zdziwienia.

Roześmiał się, a potem mrugnął do niej okiem.

- Okej, w porządku, zrozumiałem aluzję, ale będziesz miała wobec mnie szalony dług wdzięczności.

- Jakoś się tym nie martwię.

Objął ją i przytulił do siebie. - Mary cię pokocha, zobaczysz.

I rzeczywiście Mary ją pokochała. To była sympatia od pierwszego wejrzenia. Zaprzyjaźniły się i już wkrótce ktoś, kto ich nie znał, nigdy nie powiedziałby, że to tak świeża znajomość. Caroline zakochała się nie tylko w Joem, w jego rodzinie, w tym spokojnym miasteczku i w Wyoming, ale przede wszystkim w Księżycowym Ranczo położonym na wzgórzu Mackenziech, nazywanym przez obu panów Mackenziech wzgórzem spełnionych nadziei. Było to jedno z najpiękniejszych miejsc, jakie do tej pory widziała w swoim życiu. A rodziną i ciepłą atmosferę zawdzięczało ono nie komu innemu, jak Mary - Mary Mackenzie; drobnej, niewysokiej osobce o wielkim sercu i pięknych, harmonijnych rysach twarzy. Już na pierwszy rzut oka było widać, jak wielką miłością darzy ją jej mąż, ojciec Joego. To było zabawne, nigdy w życiu nie widziała jeszcze tak bardzo podobnych do siebie mężczyzn jak Joe i jego ojciec. Różnili się jedynie kolorem oczu: bowiem oczy Wolfa były czarne jak noc, podczas gdy oczy Joego miały barwę błękitną i lśniły jak diamenty. Obaj byli niezrównanymi wojownikami i wiedziała, że nie zawahaliby się oddać życie za kogoś, kogo kochali.

Poza Michaelem, który był w college'u, rodzina Mackenziech była w komplecie. Szesnastoletni Joshua wyrósł na mężnego młodego człowieka i wzrostem prawie już dogonił swego ojca i przyrodniego brata. Był wesołym lekkoduchem w odróżnieniu od spokojnego i raczej cichego Zane'a, o niezwykle uważnym i



skoncentrowanym spojrzeniu. Najmłodsza była Maris, niewysoka jak na swój wiek jedenastolatka, która odziedziczyła po matce drobną budowę i nieskazitelną cerę. Włosy miała jasne, ale za to oczy ciemne i przepastne jak jej ojciec. I podobnie jak ojciec potrafiła świetnie radzić sobie z końmi.

Caroline musiała przyznać, że Joe przepięknie wygląda w siodle. Zafascynował ją ten widok tak bardzo, że wprost nie mogła oderwać oczu.

Długo stała w oknie i przyglądała się, jak cała trójka, to jest Joe, Wolf i Maris bawią się z przepiękną czarną klaczą, która wydawała się być ulubienicą małej.

Mary podeszła i stanęła obok Caroline.

- Czyż nie jest wspaniały? - zapytała, jakby sama siebie. - Pokochałam go od tej chwili, kiedy go ujrzałam. Miał wtedy szesnaście lat. Niewielu jest takich mężczyzn na świecie, jak Joe. Już wtedy był mężczyzną. Nie wiem, czy w ogóle kiedykolwiek był małym chłopcem.

- Kiedy tak na niego patrzę, przechodzą mnie dreszcze - wyznała szczerze Caroline. - Ale, broń Boże, nie mów mu o tym, nie musi o wszystkim wiedzieć. Muszę uważać, bo strasznie lubi rozkazywać i podporządkowywać sobie ludzi. Jest do tego przyzwyczajony ze względu na charakter swojej pracy.

- Myślę, że o tym dobrze wie. Tak samo zresztą jest z jego ojcem. Przez ostatnie dwadzieścia lat miałam okazję się o tym przekonać.

- A Joshua i Zane? - uśmiechnęła się Caroline. - Spójrz tylko na nich! - niemal wykrzyknęła zafascynowana ich urodą.

- Tak, wiem. Czasami naprawdę mi żal tych dziewcząt w szkole. I tych w college'u, które uczą się razem z Michaelem.

- A wkrótce dołączy do nich śliczna, pełna wdzięku Maris.

Kobiety spostrzegły, że Joe nagle odwrócił się i ruszył w stronę domu. Wolf pogładził małą Maris po włosach i podążył

za synem. Gdy obaj weszli do środka, kuchnia jakby zmniejszyła się o połowę. Zapachniało wolnością, wiatrem, trawą i koźmi.

- Wyglądacie, jakbyście czuły się winne - wypalił Joe i uśmiechnął się chytrze. - O czym to się rozprawiało?

- O genetyce - natychmiast odwzajemniła mu się Caroline. - I nic na to nie mogę i nie chcę poradzić. Jak sądzę, moje zainteresowanie tą dziedziną wiedzy utrzyma się jeszcze co najmniej jakieś osiem i pół miesiąca. Chcesz rzucać monetą, czy będzie to chłopiec czy dziewczynka?

- To będzie chłopiec - zawyrokowała Mary. Powiedziała to z taką pewnością siebie, że Joe miał wrażenie, że za chwilę ugną się pod nim kolana..

Dostrzegł to Wolf i czym prędzej podsunął synowi krzesło. Dobrze wiedział, co on czuje.

- Dziewczynki są u Mackenziech rzadkością, dlatego też są tak bardzo kochane.

Jak się wkrótce okazało, Mary miała całkowitą rację. John Mackenzie urodził się zdrow jak ryba dokładnie w wyznaczonym terminie i ważył ponad cztery kilogramy. Jego dziedzictwo widoczne było na pierwszy rzut oka: kruczoczarne włosy i niebieskie oczy oraz proste, czarne brwi nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości. Wyglądał jak miniatuurka swego ojca.

Caroline była zmęczona trudami porodu i gdy wszystko wkoło ucichło, natychmiast usnęła. Joe siedział obok łóżka na krześle i trzymał w objęciach swego pierworodnego syna, który zdawał się być w siódmym niebie.

Po jakimś czasie Caroline z błogim uśmiechem na ustach otworzyła oczy i jej spojrzenie natychmiast powędrowało w kierunku męża. Wyciągnęła rękę i pogładziła najpierw dużą, silną dłoń Joego, a potem małą rączkę swojego synka.

- Cześć, kochanie - powiedział miękko Joe.

- Cześć - odparła wesoło.

Joe wyglądał zniewalająco. Był wciąż jeszcze w mundurze, w którym przyjechał wprost z bazy. Pewnie wszystkie pielęgniarki wpadły w zachwyty, kiedy go zobaczyły.

- Pocałuj mnie - pociągnęła go za rękaw.

- Yhm, już za parę tygodni dostaniesz więcej, malutka.

A potem zaczął szeptać jej coś do ucha, coś, co spowodowało, że jej serce przyspieszyło biegu.

W końcu odepchnęła go delikatnie i wyjęła mu z objęć śpiącego malucha.

- Daj mi go - roześmiała się. - Nie powinienes tak przy nim świntuszyć. Jest na to za mały.

- E, dla niego to żadna nowina, znamy się w końcu już od jakiegoś czasu.

- Jaki on jest śliczny - rozczuliła się Caroline. Po chwili przypomniała sobie o swoich teściach i o rodzicach, którzy byli właśnie w drodze powrotnej z kolejnego urlopu w Grecji, i zapytała: - A gdzie jest Mary i Wolf?

- Są w kawiarence. Pewnie chcieli, byśmy zostali sami, choć udawali, że są głodni i muszą coś zjeść.

- Szkoda, że nie przywieźli ze sobą Maris i chłopców.

- Nie mogli, chłopcy mają teraz egzaminy w szkole. Ale już wkrótce ich zobaczysz.

Caroline dotknęła delikatnie buzi malca. Mały, ku jej niepomiernemu zdziwieniu, otworzył swoje małe usta i zaczął ssać jej palec.

- Mój syn! - podsumował z dumą Joe. Jeszcze większa duma ogarnęła go, gdy po chwili mały przyssał się do piersi matki. - Skąd on to wie? No nie, gdzie on się tego nauczył? Moja szkoła, słowo daję. Jestem z niego naprawdę dumny.

John zaczął wydawać z siebie pomruki zadowolenia. Może spowodowały to słowa ojca, kto wie, ale chyba pewniejsze jest, że poczuł smak życiodajnego pokarmu i był szczęśliwy, że mógł zaspokoić głód.

- Typowy Mackenzie - szepnęła w zachwycie i zaraz się poprawiła: - Czyli zupełnie nietypowy. - Spojrzała na rozświetlone oczy Joego i poczuła, jak jej serce wypełnia miłość. I wiedziała, że tak właśnie będzie do końca świata, a może nawet o jeden dzień dłużej.